JUDITH

GOULD

Trzy gwiazdy

* * *

Interludium: 1956

Rok 1946 był początkiem nowej ery na Bliskim Wschodzie. Zarówno Arabowie, jak i Żydzi zbuntowali się przeciwko brytyjskiej dominacji. Zaczęto uciekać się do przemocy i aktów terrorystycznych. Brytyjczycy, nie mogąc zapanować nad sytuacją, zwrócili się w końcu o pomoc do Narodów Zjednoczonych.

W 1948 roku, po opuszczeniu przez Brytyjczyków Palestyny, David Ben Gurion z dumą obwieścił narodziny niepodległego państwa Izrael. Wywołało to największy wybuch przemocy, jaki kiedykolwiek miał miejsce na Bliskim Wschodzie. Zaraz po tym wydarzeniu wojska arabskie, sprzeciwiające się decyzji Narodów Zjednoczonych, wtargnęły na teren Izraela i zajęty Jerozolimę.

Krótką, krwawą bitwę, która odbyła się po inwazji, zaliczyć można do cudów współczesnej historii. Ten cud miał się zresztą jeszcze wielokrotnie powtórzyć. Żydzi odparli przeważające siły arabskie i oswobodzili najpierw Jerozolimę, następnie Tel Awiw, Hajfę, Jaffę, Galileę, a na końcu Negew.

W 1949 roku państwo Izrael otworzyło swoje podwoje dla Żydów z całego świata, pragnących powrócić do ziemi ojczystej.

Contrucci and Sullins, *The Mideast Today: Strategies to Cope with the Seeds of Yesteryear.*

Minęła godzina druga po południu. Drobniutka stewardesa MEA pojawiła się pomiędzy rzędami, rozsiewając dyskretny zapach perfum Chanel numer 5.

Zatrzymała się w czternastym rzędzie i pochyliła ponad dwoma pustymi fotelami.

– Wylądujemy mniej więcej za pół godziny – powiedziała po angielsku, z obcym akcentem, pokazując w uśmiechu nieskazitelnie białe zęby. Zwracała się do czarnowłosego młodego mężczyzny o śniadej skórze, siedzącego przy oknie. – Straciliśmy prawie czterdzieści minut omijając pasmo burzy. Może podać drinka albo kawę? – spytała.

Skinął potakująco głową.

– Napiję się whisky. Czystej whisky.

Odchodząc stewardesa uśmiechnęła się znowu. Patrzył, jak porusza się zręcznie na niskich obcasach, dotykając lakierowanymi paznokciami oparć foteli i obdarzając pasażerów profesjonalnym uśmiechem.

Po chwili wręczyła mu plastykową szklaneczkę oraz serwetkę.

– Proszę bardzo – powiedziała.

– Dziękuję. – Wziął od niej szklankę i trzymał ją w ręku, nie otwierając stolika.

Stała oparta o poręcz zewnętrznego fotela.

– Z jakiej części Anglii pan pochodzi? – spytała.

– Nie jestem Anglikiem. – Uśmiechnął się do niej. – Jestem Palestyńczykiem.

– Och – odparła zaskoczona. – Wzięłam pana za Brytyjczyka z powodu akcentu.

– To się dość często zdarza.

Popatrzyła na szklaneczkę whisky w jego ręku.

– Mogłabym przynieść panu jakiś sok.

Roześmiał się.

– Ostatnie cztery lata spędziłem na uniwersytecie Harvarda, a przedtem sześć lat w angielskich szkołach. Dopóki nie wylądujemy, mogę sobie pozwolić na alkohol. – Spojrzał na szklankę. – Nie sądzę, żebym szybko miał z nim znowu do czynienia.

Dziewczyna skinęła głową. Najwyraźniej nie pochodził z Bejrutu, gdzie pełno było nocnych lokali, alkoholu i innych przyjemności.

– Czy zatrzyma się pan jakiś czas w Bejrucie? – spytała miękko, wpatrując się w niego czarnymi oczami.

– Obawiam się, że nie – uśmiechnął się przepraszająco.

Ona również przywołała profesjonalny uśmiech, chociaż głos jej zdradzał rozczarowanie.

– Rozumiem... Gdyby pan czegoś potrzebował, to proszę mnie wezwać. Wystarczy nacisnąć przycisk.

Skinął głową i opuścił oparcie swojego fotela, stale trzymając szklaneczkę w ręku. Wiedział, że była to propozycja, i grzecznie ją odrzucił. Wstrząsnął się z lekka. Mimo młodego wieku miał już do czynienia z wieloma kobietami. Mógł wśród nich wybierać, ponieważ zawsze mu się narzucały. Usiłował przypomnieć sobie, co powiedziała mu w Nowym Jorku pewna modelka firmy Revlon: – Jesteś tak cholernie przystojny, że nie może ci to wyjść na dobre, Nadżib al-Ameer. Zawsze tylko bierzesz i bierzesz, a nigdy nie dajesz! – Uśmiechnął się na to wspomnienie.

Zamknął oczy, zapominając tymczasem o kobietach.

Prawie dziesięć lat minęło od jego wyjazdu z al-Nadżafi przez cały ten czas tylko jeden raz powrócił na Bliski Wschód, zaraz po tym, jak otrzymał dyplom w Eton. Wydawało mu się, że było to przed wiekami.

12 lipca, 1952 rok. Dzień, którego nie zapomni do końca życia. Podróżował wtedy prawie trzy tygodnie, aby 12 lipca znaleźć się w środku Negew. Nie miał pojęcia, co go tam czeka. Jechał pełen radości i miał ku temu powody. Jego ludzie mogli być z niego dumni. Wiózł ze sobą dyplom ukończenia ekskluzywnej szkoły angielskiej. Nigdy wcześniej żaden z mieszkańców jego rodzinnej wioski nie chodził przez tyle lat do szkoły, nie mówiąc już o tak dobrej uczelni. Sądził, że odbędzie się wiele uroczystości na jego cześć. Ogłoszone zostaną dni świąteczne, będzie tydzień ucztowania, krucha jagnięcina, tańce i muzyka. Nie było go sześć długich lat... sześć lat, które jemu, najbardziej utalentowanemu synowi tej wioski, przyniosły wykształcenie godne księcia. Było to zarówno jego, jak i ich zwycięstwo. Dał im powód do dumy kończąc szkołę jako prymus. Niepokoiła go tylko jedna sprawa – przez ostatnich sześć miesięcy nie otrzymał z wioski żadnej wiadomości.

Podróż przez Negew wywoływała wiele wspomnień, podnosiła na duchu, lecz mimo to odczuwał zdenerwowanie. Był lipiec, jeden z najgorętszych miesięcy na Bliskim Wschodzie, a po kilku latach spędzonych w Anglii zdążył zapomnieć o przytłaczającym upale pustyni. Było południe i słońce uderzało w niego z pełną siłą. Czuł się fatalnie, chociaż zmienił ubranie na luźne szaty pustynne.

Nie był przygotowany na to, co miało go spotkać. Spokojna, porośnięta bluszczem angielska szkoła chroniła go przed gorzkimi realiami życia na Bliskim Wschodzie, osłaniała przed grożącym zewsząd niebezpieczeństwem. Zapomniał w niej o stałym

zagrożeniu, które, jak miał się o tym przekonać, wstrząsnęło spokojnym miejscem jego urodzenia, podczas gdy on, w błogiej nieświadomości, spokojnie studiował.

Wszystkie wspomnienia dotyczące tego dnia zostaną na zawsze wyryte w jego pamięci.

Pustynia była cicha i spokojna, co rzadko spotyka się w Negew, nawet w czasie największych upałów. Nie widać było śladu żywej istoty. Ta cisza pod bezchmurnym niebem i jaskrawym słońcem napawała go przerażeniem. Przywodziła na myśl destrukcję i zbielałe kości. Taka martwota panuje zwykle w wymarłych miastach, opuszczonych nawet przez muchy i robactwo.

Kiedy wysiadł z wypożyczonego w Hajfie samochodu, nie chciał wierzyć własnym oczom. Wolał myśleć, że obraz, który miał przed oczami w drgającym od upału powietrzu, był tylko mirażem na pustyni.

W głębi serca wiedział jednak, że nie był to żaden miraż, i zrobiło mu się słabo. Oczekiwał hałaśliwego powitania w wiosce, którą spodziewał się zastać taką samą, jaką była, kiedy z niej wyjeżdżał, pełną ruchu i gwaru; pamiętał dumnych mężczyzn o lekko brązowych twarzach, ubranych w galabijje, przedwcześnie postarzałe kobiety w ciemnych, pokrytych kurzem chustach, cierpliwie pracujące motykami w polu lub przygotowujące tradycyjne potrawy. Dzieci bawiące się pod wysokimi, zgrabnymi palmami daktylowymi, obwieszonymi gronami dojrzewających owoców. Zielone pola, wśród których przebłyskiwały kanały irygacyjne i jezioro z mieniącą się srebrzyście cenną wodą, w którą zaopatrzył mieszkańców wioski ich szczodry Allach. Była to piękna, żyzna oaza i chociaż utrzymanie się w niej przy życiu wymagało ciężkiej pracy, to ludziom żyło się tam dobrze i szczęśliwie.

Lecz teraz dotknęła ją jakaś okropna klęska, jakaś plaga nawiedziła al-Nadżaf.

Gaj, w którym przedtem wznosiły się dumnie palmy daktylowe, stał się teraz zbiorowiskiem zamarłych pni, pozbawionych liści i owoców. Pustynia zagarnęła pola uprawne. Tam, gdzie kiedyś stały małe, zgrabne domki, wznosiły się sterty gruzu – czarne, podziurawione kulami kikuty ruin. Spalony, leżący kołami do góry samochód, wyglądał jak ostatni krzyk rozpaczy pod palącym bezlitośnie słońcem. Małe jezioro, które podtrzymywało życie oazy, wyschło. Stale skrzypiący kołowrót do wyciągania wody, który Nadżib pamiętał od najwcześniejszego dzieciństwa, milczał. Jego cenne drewno było albo zagrzebane w piasku, albo spalone w tej pożodze, która przeszła przez wioskę.

Słone łzy paliły mu powieki. Nie mógł uwierzyć, że była to jego ukochana wioska! Wcześniej tylko raz zdarzył się atak Żydów, tuż przed jego wyjazdem do Anglii, przez cały czas wioska żyła w spokoju i wszystkim dobrze się wiodło. Na pewno pomylił się i pojechał w niewłaściwym kierunku!

Ale wielkie formacje skalne, które widział w oddali, były mu za dobrze znane. To one towarzyszyły jego dzieciństwu, wryły mu się w pamięć jako wizerunki ogromnych zwierząt i ludzi. Teraz te łagodne twory jego dziecięcej wyobraźni przeszły metamorfozę, szydziły z niego, stały się groźne. Tak, to była jego wioska i nie miał innego wyjścia jak przyznać, że przestała istnieć. Łzy napłynęły mu do oczu, upadł na kolana, odrzucił głowę do tyłu i z gardła wydarł mu się krzyk wściekłości, który przeszedł w zawodzenie z rozpaczy nad tym, czego już nie było.

Wtedy właśnie zobaczył Abdullaha stojącego w całkowitej ciszy na stercie gruzów. W talii miał pas z nabojami, a drugi przewieszony

był przez pierś. *Hutra*, którą nosił dla ochrony przed słońcem, była czarna.

Nadżib podniósł się i patrzył na niego, nie mogąc wymówić słowa.

Abdullah przywitał go cichym głosem:

– Witaj, bratanku.

Nadżib nie odezwał się, kiedy tamten zszedł ze sterty gruzów i zbliżył się do niego.

Jego silne ciało było całkowicie pozbawione tłuszczu; wydawało się, że emanująca z niego siła fizyczna otacza go aurą okrucieństwa. Dłonie miał prawie kobiece, szczupłe i smukłe. Ale najbardziej przyciągała uwagę ponura twarz: wysokie, szlachetne czoło, szeroko rozstawione kości policzkowe, grube, zmysłowe, a jednocześnie okrutne usta i wspaniały nos. Taki sam jastrzębi nos miał Naemuddin, obaj odziedziczyli go po matce. Nadżib pamiętał jednak, że oczy Naemuddina były mądre i dobre, a oczy Abdullaha, skryte pod gęstymi czarnymi brwiami, wydawały się fanatyczne. Jak na Araba miał stosunkowo jasną skórę, gładką, nie zniszczoną jeszcze i nie pomarszczoną, zbliżał się dopiero do trzydziestu pięciu lat. Tak jak wszystkie drapieżne zwierzęta, wydawał się jednocześnie rozluźniony i czujny, obdarzony szóstym zmysłem, który ostrzegał go przed najodleglejszym nawet niebezpieczeństwem.

Kiedy wyciągnął rękę, Nadżib przycisnął ją do ust.

– A więc – powiedział miękko Abdullah – nie zapomniałeś tradycyjnego gestu uszanowania. To dobrze. Obawiałem się, że staniesz się zbyt europejski, aby o tym pamiętać. – Potem wziął go w objęcia, spowijając fałdami swojej szaty i całując w oba policzki, jak nakazywał zwyczaj. – Długo cię nie było – powiedział odsuwając się i

dotykając jednocześnie jego, ramienia. – Chodź. Mamy wiele spraw do omówienia.

Nadżib stał jednak, nie ruszając się z miejsca.

– Co się tutaj wydarzyło? – spytał wskazując ręką ruiny. – Jakie moce piekielne tego dokonały?

Twarz Abdullaha zmieniła się nagle, policzki zapadły, a skóra napięła tak mocno, że Nadżib miał przez chwilę wrażenie, iż patrzy na trupią czaszkę.

– Nadeszła plaga – powiedział.

– Jaka plaga, wuju?

– Żydowska plaga! – wykrztusił Abdullah przez zaciśnięte zęby. – Żydowskie świnie ukradły naszą wodę i naszą ziemię, a teraz rozmnażają się jak szarańcza.

Wściekłość oślepiła Nadżiba.

– A nasi ludzie? – spytał z trudem. – Gdzie oni są?

– Rozproszeni – odpowiedział Abdullah – jakby ich rozegnały cztery wiatry. Słabsi, którzy ocaleli, są w obozach uchodźców w Libanie i Syrii. Silni walczą przy moim boku.

Coś ścisnęło serce Nadżiba, omal nie wyrywając go z piersi.

– A moi rodzice? Dziadkowie?

– Są bezpieczni i czują się dobrze.

– Niech Allach będzie pochwalony. Czy oni są również w obozach?

– Nie. Twój ojciec jest dzielnym mężczyzną i walczy u mojego boku, a twoja matka i dziadkowie mieszkają w małym domu niedaleko Bejrutu.

Nadżib spojrzał na niego ze złością.

– Dlaczego nikt mnie o tym nie zawiadomił?

Oczy Abdullaha były zimne i okrutne.

– Chciałem, żebyś sam zobaczył, co Żydzi z nami zrobili – powiedział szorstko. – Wtedy o tym nie zapomnisz.

– Nigdy! Nie spocznę, dopóki ich krew nie spłynie z mojego noża albo moja kula nie rozszarpie ich ciała! – Spostrzegł nagle ironiczny uśmiech Abdullaha i wezbrał w nim jeszcze silniejszy gniew. Jego szczupła, przystojna twarz nabrała drapieżnego wyrazu. – Ty zawsze byłeś przywódcą, Abdullahu. Od kiedy tylko pamiętam, walczyłeś przeciwko Brytyjczykom i Żydom.

Abdullah nie odzywał się.

Wściekłość znowu ogarnęła Nadżiba, mówił teraz bardzo szybko.

– Chcę się przyłączyć do ludzi, którymi wuj przewodzi! Chcę odbyć trening w waszym obozie i walczyć w twoim wojsku, *Ammi*...

Abdullah wyciągnął ręce i w okamgnieniu chwycił go za ramiona.

– Powiedz! Co słyszałeś o moim obozie?

Nadżib przestraszył się.

– Ja... ja nic nie słyszałem! Ale pamiętam...

– Najlepiej o tym zapomnieć. – Abdullah puścił go i obrócił się, powiewając swoją czarną szatą. Spojrzał na odległe góry.

– Proszę, pozwól mi przyłączyć się do was – błagał Nadżib. – Na pewno wuj będzie mógł być ze mnie dumny!

Gdy Abdullah odwrócił się, jego usta skrzywione były w uśmiechu.

– Jesteś pewny, że to wytrzymasz, mój młody sokole?

– Jestem pewny.

– A pokój? – spytał z cynicznym uśmiechem. – Czy sposób myślenia twojego słabego dziadka nie skaził twojej krwi?

– Moja krew nie jest słaba! – Nadżib miał ściągniętą twarz. Nie odczuwał już strachu. – Czy przyjmiesz mnie do swojej grupy, czy mam szukać zemsty na własną rękę? Czyżby to, co o tobie słyszałem, było tylko wymysłem bajarzy?

Bez żadnego ostrzeżenia Abdullah uderzył go otwartą dłonią w twarz, z taką siłą, że Nadżib zachwiał się na nogach. Przyłożył dłoń do policzka, na którym widniał biały odcisk ręki, i spojrzał na wuja ze zdziwieniem.

– To tylko ostrzeżenie – powiedział miękko Abdullah. – Jeśli jeszcze raz tak się do mnie odezwiesz, to będziesz tego żałował do końca życia.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – powiedział Nadżib z uporem. – Czy przyjmiesz mnie do swojej grupy?

Abdullah wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym skinął głową.

– Kiedy? – dopytywał się Nadżib.

– Zawiadomię cię. Tymczasem masz nic nie robić. Czy to jest jasne?

Abdullah odwrócił się i odszedł. Stało się to tak szybko, że Nadżib nie zdołał zauważyć triumfalnego lśnienia jego zwykle nieprzeniknionych oczu.

Dopiero po tygodniu został dopuszczony do tajemnego obozu Abdullaha, zlokalizowanego w małej górskiej dolinie w Syrii. Dla Nadżiba od początku było jasne, że jest to wojskowa baza szkoleniowa. Wszyscy mężczyźni byli w pełni uzbrojeni, a w oddali widać było wieżę strażniczą i dał się słyszeć odgłos strzałów. Na całym terenie stały małe namioty, wokół których unosił się zapach pieczonej na ogniu jagnięciny.

Abdullah nie nosił tutaj swojej czarnej szaty. Ubrany był w zielony mundur polowy, ale na głowie zawiązaną miał tradycyjną arabską chustę. Stał przed swoim namiotem, czekając, aż Nadżib podejdzie do niego.

Nadżib szedł pewnym krokiem i spojrzał mu prosto w oczy.

– Przyszedłem – powiedział. Był ciekaw, czy wuj usłyszy, jak wali mu serce. – Jestem gotów złożyć przysięgę.

Abdullah wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym podniósł rękę do góry. Na ten sygnał natychmiast otoczyła ich grupa mężczyzn.

– Mój bratanek, Nadżib al-Ameer, prosi o przyjęcie do naszej Organizacji – ogłosił zebranym. – Chce być waszym bratem. Jeśli któryś z was ma powody, aby mu nie dowierzać, niech powie to teraz.

Rozległy się szepty, a Nadżib poczuł na sobie twardy, oceniający wzrok zebranych. Kilku z nich znał jeszcze z rodzinnej oazy, większość jednak była mu obca.

Abdullah położył rękę na jego ramieniu.

– Więc mam twoje słowo? Czy będziesz wykonywał wszystkie moje rozkazy, bez względu na to, czy będą ci się one podobać i czy będziesz się z nimi zgadzał? Uznasz tych mężczyzn oraz tych, którzy się później do nas przyłączą, za swoich prawdziwych i jedynych braci?

– Przysięgam na Allacha.

– Radzę ci dobrze się zastanowić, bratanku – powiedział miękko Abdullah. – Jeśli jesteś zdrajcą, albo my będziemy cię o to podejrzewać, to śmierć dosięgnie nie tylko ciebie i twoją najbliższą rodzinę, lecz również wszystkich waszych potomków. Cały wasz ród wyginie. Rozumiesz?

Nadżib odetchnął głęboko. Zdumiała go ta groźba. Kiwnął jednak potakująco głową.

– Rozumiem – powiedział twardo.

– A więc zrobione. Ci ludzie są świadkami. – Abdullah wyjął nóż. – Wyciągnij rękę.

Nadżib wyciągnął prawą rękę. Nie wydał żadnego dźwięku, kiedy nóż przecinał mu skórę. Patrzył spokojnie na wypływającą krew.

Bez wahania Abdullah odsłonił swój pokryty szramami nadgarstek. Były to ślady poprzednich przysiąg. Kiedy robił nowe nacięcie, jego wpatrzone w Nadżiba oczy wyrażały radość.

– Czy przysięgasz na wszechmocnego Allacha, że będziesz zawsze wiernie służył naszej Organizacji, że uznasz mnie za swojego przywódcę, którego rozkazy nie mogą być kwestionowane, i że każdego z tych ludzi uznasz za prawdziwego brata aż do śmierci?

Nadżib wyprostował się dumnie.

– Przysięgam na Allacha – szepnął, a oczy błyszczały mu gorączkowo.

Abdullah potarł swój nadgarstek o nadgarstek Nadżiba, pocałował go w oba policzki, po czym odsunął się.

– Nasza krew została zmieszana! – ogłosił wszystkim zebranym. – Teraz jesteśmy prawdziwymi braćmi.

Nadżib spojrzał na swoją zakrwawioną rękę, a potem przeniósł wzrok na otaczających ich mężczyzn. Poczuł, że wzbiera w nim duma. Był teraz jednym z nich. Mógł walczyć razem z nimi i zemścić się za zniszczenie al-Nadżaf. Zwrócił się do Abdullaha.

– Łaknę krwi.

Abdullah potrząsnął głową.

– Musisz czekać na pozwolenie – powiedział spokojnie. Gestem odprawił otaczających ich mężczyzn, którzy natychmiast odeszli. Spojrzał na bratanka. – Chodź, przejdziemy się. Dam ci pierwsze rozkazy.

Nadżib szedł krok za nim.

– Spędzisz tutaj dwa tygodnie na szkoleniu – powiedział. – Zrobią tu z ciebie mężczyznę i żołnierza. Potem, pod koniec lata, znowu wyjedziesz. Tym razem do Ameryki.

– Nie! – Nadżib chwycił go za ramię. – Muszę zostać, aby pomścić hańbę, jakiej doznaliśmy! Muszę walczyć.

Głos Abdullaha był jednak stanowczy.

– Zrobisz to, co ci mówię! – powiedział chłodnym tonem. – Przed chwilą ostrzegałem cię przecież i mówiłem, jaka kara grozi zdrajcy! Czy aż tak pragniesz śmierci, że już chciałbyś umrzeć?

Nadżib nie odezwał się.

– Musisz kształcić się dalej – powiedział szybko Abdullah. – Pójdziesz na dobry uniwersytet, Harvarda.

Nadżib wpatrywał się w wuja.

– Harvarda?

– To jedna z najlepszych szkół w Ameryce. Teraz słuchaj uważnie. Większość naszych ludzi... łatwo ulega wpływom. Są niewykształceni. Widzą przed sobą tylko najbliższe cele: atak na dziedziniec szkolny, kilka strzałów snajpera do mieszkańców kibucu, zbombardowanie synagogi. To głupcy! – powiedział z irytacją. – Nie rozumieją, że jest to bitwa na całe życie i że można ją wygrać jedynie na innym polu walki. – Abdullah zerknął w stronę Nadżiba.

Ten słuchał uważnie.

– Mów dalej – powiedział.

– Mam podwójny cel. Pierwszy, krótkofalowy projekt to stałe dręczenie tak zwanego narodu, który nazywa siebie Izraelem. To zaspokoi żądzę krwi, jaka ogarnęła naszych ludzi, a jednocześnie nie pozwoli Żydom żyć w spokoju. Zawsze będą musieli mieć się na baczności.

Nadżib odetchnął głęboko.

– A drugi projekt?

– Ten projekt – powiedział Abdullah – jest o wiele ważniejszy i bardziej skomplikowany. Od lat się nad nim zastanawiam. Dlatego przeznaczyłem fundusze, które otrzymaliśmy na zakup broni, na opłacenie twojej edukacji w Eton.

– Ty, *Ammi!* – Nadżib patrzył z niedowierzaniem na wuja. – Ty, *Ammi*, zapłaciłeś za Eton?

Abdullah skinął głową.

– Ja myślałem, że dziadek...

– Czym? – spytał kpiąco Abdullah. – Wiesz, że Naemuddin nie ma pieniędzy.

Nadżib skinął głową. Powinien był o tym wiedzieć. Ale nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że Abdullah ma jakieś plany związane z jego osobą. W wiosce niewiele mieli ze sobą wspólnego.

– Ale jaki może być związek między moim wykształceniem a twoimi planami, wuju? – spytał zaciekawiony Nadżib.

– Mówi się, że dla człowieka Zachodu ukończenie dobrego uniwersytetu jest równoznaczne z możliwością wstąpienia do ekskluzywnego klubu.

Nadżib nie potrafił ukryć zdumienia. Nigdy nie podejrzewał, że Abdullah ma tyle wiadomości na temat życia na Zachodzie.

Wydawało mu się, że jedyne, co go interesuje, to broń i środki przemocy.

– Plan jest następujący – mówił dalej Abdullah. – Na Harvardzie zaprzyjaźnisz się z ludźmi, których inaczej nie miałbyś okazji poznać. Te przyjaźnie przysłużą się nam w przyszłości. Poznasz młodych ludzi, którzy będą kiedyś potężnymi biznesmenami i zajmą wysokie stanowiska rządowe. Będą mogli zdradzić ci wtedy różne ważne tajemnice. Ty z kolei, kiedy nadarzy się okazja, będziesz mógł skierować ich myśli w naszą stronę.

Nadżib wpatrywał się w niego, zdumiony odwagą i dalekosiężną strategią planu.

Abdullah uśmiechnął się.

– Jak widzisz, twoja rola jest niezwykle ważna. Trudno zaprzyjaźnić się z naszymi wrogami, poznać ich z bliska i zrozumieć sposób ich myślenia. Jeszcze trudniej zdobyć na nich wpływ, zyskać szacunek i zaufanie. Lecz tylko w ten sposób możemy wykorzystać ludzi Zachodu do naszych celów. Pomyśl, jakie kryją się w tym ogromne możliwości! Stworzysz legalny, dobrze prosperujący biznes, będziesz bogatym, szanowanym człowiekiem. Nikt się nie domyśli, że to kamuflaż. A wtedy... zachodnie banki, nawet Żydzi – Abdullah zaśmiał się cicho – mogą nieświadomie finansować naszą sprawę. Będziemy mieć całą broń i wszystkich potrzebnych nam polityków. Ich fabryki mogą dostarczać nam, chociaż niebezpośrednio, amunicję! Ich statki będą nam ją przywozić! Będziemy mogli zachwiać całą podstawą Izraela, a nawet, jeśli będzie to konieczne, krajami zadufanych w sobie ludzi Zachodu.

– Jest tylko jeden problem – zauważył Nadżib. – Wiem z doświadczenia z Eton, że ludzie Zachodu nie lubią Arabów. Pogardzają nami i traktują z góry.

– Od ciebie będzie zależało, żeby zmienili swój sposób myślenia. Będziesz bogatym studentem, a więc będziesz cieszył się popularnością. Potem staniesz się jeszcze bogatszy, a więc jeszcze bardziej znany. Ludzie Zachodu wielbią pieniądze bardziej niż swojego boga w kościołach, a bank jest dla nich świątynią. Bogactwo ich oślepia. Wybaczą wszystko – nawet morderstwo – jeśli w grę wchodzą miliony dolarów.

– Nie jest łatwo dojść do milionów – ostrzegł Nadżib.

– Kiedy ma się pieniądze na początek, to fortuna rośnie, pod warunkiem że zajmują się tym odpowiedni ludzie.

– Ale my nie mamy pieniędzy.

– Mamy. Ja dostarczę pieniądze, tak jak dostarczyłem je na twoje wykształcenie. Jest wielu bogatych Arabów, którzy nie mówią tego otwarcie, bo boją się stracić swoje inwestycje w Ameryce, ale którzy chcą to finansować. A ty, Nadżib al-Ameer, będziesz stał na czele. Zachowaj tę tajemnicę i nie wspominaj o tym nikomu. Będziesz zdawał sprawozdania tylko mnie. Pomyśl! Mając prawdziwą siłę – siłę ekonomiczną – możemy zajść o wiele dalej. W końcu... Kto wie? – Abdullah wzruszył ramionami z uśmiechem. – Możemy stać się nawet światową potęgą, z którą trzeba będzie się liczyć.

Nadżib patrzył na niego z szacunkiem.

– To jest... niezwykłe, genialne – powiedział.

– To prawda – zgodził się Abdullah. – Zrobisz więc tak, jak ci mówię?

Nadżib zawahał się. Abdullah zaplanował wszystko z wyjątkiem jednej rzeczy.

– A Żydzi z osady? Ci, którzy zamordowali moją siostrę i ukradli naszą wodę. Czy nigdy nie będę mógł się na nich zemścić? – spytał.

Twarz Abdullaha pociemniała z gniewu.

– Moje plany związane z tobą są zbyt ważne, aby zwykła zemsta miała stanąć im na przeszkodzie! – powiedział lodowatym tonem. – Wyrzuć piasek z oczu, nie bądź tak ślepy! Odpłacisz im i milionom innych, odpłacisz tysiąckrotnie! Nie rozumiesz tego?

– Ale przysiągłem zemstę – powiedział z uporem Nadżib.

– Przysiągłeś. – Abdullah popatrzył na niego. Zobaczył zaciętą twarz, ciemne, zimne oczy, zdecydowaną linię podbródka. Ten młody człowiek stanowił jego najsilniejszą broń. Od niego zależała przyszłość. Jeśli Nadżib zrobiłby teraz jakieś głupstwo, całe lata precyzyjnego układania planu poszłyby na marne.

– Porozmawiamy o twojej prywatnej wendecie, kiedy przyjdzie na to czas – powiedział pragnąc skończyć rozmowę na ten temat.

Nadżib uśmiechnął się. Poczuł się pewniej. Abdullah dał mu przecież do zrozumienia, że jest niezastąpiony.

– Zrobię, jak każesz wuju – powiedział spokojnie – ale musisz obiecać mi jedną rzecz. Odłożę moją zemstę na później i nie zrobię nic, co mogłoby zaszkodzić twoim planom. Ale kiedy przyjdzie czas na to, aby zniszczyć osadników żydowskich, ich rodziny i przywódców, chcę brać w tym udział. Osobiście. Chcę dotrzymać przysięgi.

– Dobrze – skinął głową Abdullah. – Będzie to można załatwić. – Był zadowolony, chociaż tego nie okazywał.

– Pamiętaj tylko o jednym – powiedział ostrzegawczo – i nigdy tego nie zapomnij, bratanku. Jedną nogą będziesz w świecie Zachodu, a drugą w naszym świecie. Nie zapomnij ani na chwilę, której stronie masz być wierny. Gdybyś zapomniał... – nie dokończył swej groźby.

Zostanę unicestwiony, jak również moja najbliższa rodzina i wszyscy nasi potomkowie, pomyślał Nadżib. Wszyscy, którzy pochodzą z mojej krwi, ci żyjący i ci jeszcze nie narodzeni.

W ostatnim tygodniu sierpnia Nadżib zamienił swoją *hutra* i długą szatę na zachodni garnitur i wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Przebywał tam cztery lata, do momentu ukończenia Harvardu. Kiedy wyjeżdżał, jego notes zapełniony był nazwiskami przyjaciół – nazwiskami, które przywodziły na myśl poprzednich i obecnych prezydentów, ambasadorów, sędziów Sądu Najwyższego, bankierów, firmy prawnicze, korporacje oraz niezliczonych milionerów ze wszystkich dziedzin biznesu.

W tym czasie Abdullah wzrósł w siłę, a jego partyzancka grupa zyskała taką reputację, że wiadomości o niej pojawiały się regularnie w zachodnich mediach.

Przed DC–4 ukazał się pas startowy, koła samolotu schodzącego do lądowania dotknęły betonu. Pasażerowie odczuli wstrząs. Nadżib oderwał się od swoich wspomnień i wrócił do rzeczywistości w chwili, gdy samolot, z powoli obracającymi się śmigłami, kołował w kierunku terminalu. Kiedy wychodził z kabiny pasażerskiej, znajoma stewardesa stała na szczycie schodków. Obdarowała go zawodowym uśmiechem.

– Do widzenia – powiedziała. – Mamy nadzieję, że miło spędzi pan czas w Bejrucie.

Twarz Nadżiba stężała pod uderzeniem gorącego powietrza, kiedy schodził na płytę lotniska. Zapomniał, że klimat w jego kraju przypomina rozżarzony piec, a światło jest tak oślepiające. Przeklinał w myśli przepocony letni garnitur, który krępował jego

ruchy. Nienawidził zachodnich ubrań. Nie potrafił w nich swobodnie oddychać. Dobrze czuł się tylko w długich, przewiewnych, luźnych szatach swojego ludu, które były odpowiedniejsze w tym klimacie.

Uśmiechnął się do siebie. Zbyt długo był nieobecny. Rozpierała go radość powrotu.

Zastanawiał się, jakie plany w stosunku do niego ma teraz Abdullah.

– Pan Nadżib al-Ameer... pasażer MEA, pan Nadżib al-Ameer, proszony jest o zgłoszenie się do informacji – bezosobowy kobiecy głos podawał tę wiadomość z głośników.

Karim Hassad uważnie obserwował pasażerów znajdujących się w komorze celnej. Kiedy Nadżib z walizką w ręku poszedł w kierunku informacji, Karim ruszył w jego stronę. Nie wyprzedzając Nadżiba, szedł równie szybkim krokiem tuż za nim.

–Czy w Londynie była mgła? – cicho spytał.

Nadżib zwolnił krok. Spojrzał uważnie na mężczyznę.

– W Londynie było słonecznie – powiedział ostrożnie w odpowiedzi na skomplikowane hasło, które Abdullah wymyślił jeszcze przed czterema laty.

– A w Barcelonie?

– Nie byłem w Barcelonie, chociaż raz byłem w Lizbonie.

– A czy Portugalki są równie piękne jak Hiszpanki?

– Tak, jeśli nie są w towarzystwie swoich *dueñas*.

– Witamy – powiedział Karim, otrzymawszy od Nadżiba poprawne odpowiedzi. – Nie musi pan już iść do informacji. Musiałem tylko pana zidentyfikować. Proszę dać mi walizkę. Samochód czeka.

Nadżib wręczył mu walizkę i szedł za nim przez hol lotniska aż do momentu, kiedy znaleźli się na zewnątrz w białym blasku słońca.

Karim był potężnym mężczyzną, miał ponad sześć stóp wzrostu i niezwykle szerokie ramiona. Mimo że ubrany był po europejsku, na głowie zawiązaną miał białą chustę, obramowaną czarną, błyszczącą spiralą. Jego pokryta bliznami twarz o oliwkowej cerze ozdobiona była potężnymi wąsami. Wyglądał na ochroniarza.

Pogięty czarny Mercedes, oznakowany jak taksówka, czekał przy krawężniku. Karim wrzucił walizkę do bagażnika, a Nadżib skierował się do przednich drzwi. Mężczyzna potrząsnął głową i otworzył tylne drzwi.

– Proszę udawać zwykłego pasażera. Mam nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, aby spotkać się ze swoim wujem. Potem zawieziemy pana do domu rodziców – powiedział zapalając silnik.

Za chwilę samochód włączył się w ruch uliczny.

Nadżib skinął potakująco głową. Postanowił się odprężyć wyglądając przez okno. Wszędzie widział oznaki dobrobytu. Przez cztery lata jego nieobecności powstało wiele nowych budynków. Bejrut wyglądał teraz bardziej na miasto europejskie, ze swoimi nowoczesnymi blokami mieszkalnymi i nowymi, luksusowymi hotelami. Wszędzie widać było place budowy. Kobiety arabskie, podobnie jak kobiety Zachodu, ubrane były według najnowszej paryskiej mody. W powietrzu czuło się dobrobyt.

Jechali w kierunku północnym, poza śródmieście, do ekskluzywnej podmiejskiej dzielnicy. Wysokie mury okalały spokojne wille, nie docierał tu gwar miasta. Słychać było ptaki ćwierkające w ogrodach.

Karim skręcił na podjazd i zatrzymał się przed wysoką bramą, najeżoną ostrymi kolcami, odznaczającymi się wyraźnie w orientalnym zdobniczym motywie z kutego żelaza. Zatrąbił dwa razy

i czekał. Przed bramą ukazał się uzbrojony strażnik w tradycyjnym stroju. Na znak Karima fotokomórka otworzyła kratę. Dwa brązowe dobermany wybiegły na spotkanie samochodu, rozdzieliły się tak, że jeden biegł po jego prawej stronie, a drugi po lewej. Nie zaniedbywano żadnego ze środków bezpieczeństwa.

Nadżib poczuł ukłucie zazdrości. Była to niewielka, wspaniale utrzymana posiadłość. Po obu stronach wyłożonego zdobionymi płytami podjazdu młode palmy i kaktusy tworzyły żywopłot. Widać było skupiska agawy, a wewnętrzne mury, które otaczały całą posiadłość, pokryte były kwiatami bugenwilli. Lśniący po podlewaniu trawnik mienił się turkusową barwą. Podjazd kończył się koło fontanny, przed białą willą z dużymi łukowatymi oknami i spadzistym dachem.

Karim zatrzymał samochód i wysiadł powoli, aby psy mogły go obwąchać. Potem otworzył drzwi od strony Nadżiba.

– Proszę wyjść i stanąć nieruchomo, aby psy mogły pana poznać – powiedział.

Nadżib zastosował się do tego polecenia i po chwili psy odbiegły.

– Zaczekam tutaj – powiedział Karim. – Proszę zastukać do frontowych drzwi. Zostanie pan zaprowadzony do wuja.

Nadżib skinął głową i ruszył we wskazanym kierunku. Zanim zdążył podnieść miedzianą kołatkę w kształcie głowy gazeli, drzwi otworzyły się. Stanął w nich nieruchomo, ujrzawszy następnego strażnika z półautomatyczną bronią wycelowaną prosto w jego brzuch.

Strażnik cofnął się cztery kroki do tyłu, cały czas trzymając broń w pogotowiu i dając głową znak, aby wszedł do środka. Nadżib

ruszył wolno do przodu, nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów.

– Proszę zamknąć drzwi – powiedział strażnik. – Powoli.

Nie odrywając oczu od wycelowanej w niego broni, Nadżib wyciągnął rękę do tyłu i popchnął drzwi. Wtedy następny strażnik, noszący tradycyjny strój, sprawdził dokładnie, czynie ma przy sobie broni. Kiedy jego ręce znalazły się przy kroczu, Nadżib zmrużył oczy.

– Nie tak intymnie – warknął.

Strażnik zignorował tę uwagę, obszukując dalej, aż wreszcie powiedział:

– W porządku. Proszę zdjąć buty i iść za mną.

Ochroniarz opuścił broń, więc Nadżib zastosował się do tego polecenia, zauważywszy, że obaj strażnicy mieli bose nogi. Zostawił buty na progu i przez drzwi zasłonięte jedwabną tkaniną wszedł do ogromnego pokoju. Na rozległej przestrzeni posadzki z różowego marmuru znajdowały się cztery oddzielne zestawy niskich siedzisk, na których leżały pokryte białym jedwabiem poduchy. Przyćmionego światła dostarczały stojące na podłodze lampy – wysokie na osiem stóp srebrne palmy, których matowe kule podobne były do orzechów kokosowych. Pokój ten sprawiał wrażenie zimnego luksusu. Wzdłuż obu ścian biegły łukowato wygięte okna, przez drewnianą kratownicę widać było ogród, w którym szumiała fontanna.

Abdullah z półprzymkniętymi powiekami leżał na kanapie. Piękna młoda Arabka, której piersi i biodra przepasane były przezroczystym, różowym jedwabiem, klęczała przy nim.

Ona pierwsza zauważyła Nadżiba. Kiedy przerwała masaż, Abdullah otworzył szeroko oczy. Skinął głową Nadżibowi, a następnie zwrócił się do dziewczyny:

– Wyjdź i zaczekaj, aż cię zawołam.

Podniosła się z klęczek i zwinnie pobiegła w kierunku drzwi prowadzących do ogrodu, miękko uderzając bosymi stopami o marmurową posadzkę.

Nadżib patrzył za nią. Zapomniał już, jak piękne są arabskie dziewczyny. Obrócił się w stronę Abdullaha, który właśnie siadał.

– Wygląda na to, że umiesz korzystać z życia, *Ammi*.

Abdullah odchrząknął.

– To jest dom biznesmena, który spędza ze swoją rodziną wakacje w Paryżu, a ta dziewczyna należy do wyposażenia domu. – Wzruszył ramionami. – Jedynie strażnicy są moi.

Po tradycyjnym powitaniu Abdullah wskazał Nadżibowi przeciwległą kanapę. Była niska i miękka. Kiedy zagłębił się w nią, od razu przypomniał sobie wysokie i twarde sofy, do których przyzwyczaił się w Ameryce.

Abdullah zaklaskał i natychmiast w pokoju ukazała się służąca z miedzianą tacą w rękach. Postawiła ją na niskim stole, nalała dwie filiżanki pachnącej herbaty miętowej i położyła na talerzykach złociste ciasteczka w kształcie rogów gazeli. Podała je siedzącym mężczyznom i szybko ruszyła do wyjścia.

– Bardzo dobra herbata – powiedział Nadżib, popijając drobnymi łykami z małej czarki. – W Ameryce najbardziej brakowało mi właśnie herbaty i ciastek.

Abdullah nadgryzł lekko jedno z nich i cmoknął wargami.

– Są napełnione masą migdałową. Spróbuj.

– Lepiej nie. Nie chcę utyć.

Abdullah w milczeniu jadł ciastka, oblizując przy tym palce.

– Domyślam się, że wuj ma dla mnie nowe instrukcje? – spytał odważnie Nadżib, chcąc sprowadzić rozmowę na najbardziej interesujący go temat.

– Tak – skinął głową Abdullah. – Ale najpierw powiem ci o tym, co jest bliskie twojemu sercu.

– Szmaria Boralevi? Ten Żyd, którego mój dziadek pielęgnował w chorobie wiele lat temu...

– ...i który dowodził osadnikami, którzy zaatakowali nas wtedy, kiedy zabito twoją siostrę Iffat – pokiwał głową Abdullah.

Nadżib oderwał plecy od ognia i usiadł prosto.

– Co z nim? – spytał cicho.

– Jego nazwisko dużo teraz znaczy. Zajmuje wysokie stanowisko w izraelskim Ministerstwie Obrony. To, że w 1948 roku brał udział w tworzeniu armii izraelskiej z tak różnych ugrupowań jak Palmach, Haganah, Irgun oraz frakcje Stern, nie było bez znaczenia dla jego kariery. Pomogła mu również przyjaźń z Ben Gurionem, Dayanem i Meir. Wielu politologów uważa, że jest on pierwszą osobą w kolejce do stanowiska ministra obrony.

– Rozumiem – powiedział Nadżib w zamyśleniu. – To znaczy, że nie mieszka już w... Jak się ten kibuc nazywał?

– Ein Shmona. – Abdullah potrząsnął głową. – Moi wywiadowcy donoszą, że większość czasu spędza teraz w Jerozolimie. Jego córka, która była gwiazdą filmową, zięć i wnuki bywają tam często, chociaż mieszkają w Tel Awiwie.

Nadżib milczał przez chwilę.

– A Ein Shmona... rozkwita. – Było to raczej smutne stwierdzenie, nie pytanie.

Abdullah skinął głową.

– Nawet byś go nie poznał. Liczy prawie sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, a zmeliorowane pola uprawne rozciągają się we wszystkich kierunkach. Właściwie to nie jest już kibuc, w pełni zasługuje na nazwę miasta.

– Innymi słowy, będzie mi teraz jeszcze trudniej szukać zemsty.

– Nie obawiaj się. Moi ludzie śledzą całą jego rodzinę. Przyjdzie czas na zemstę. Podejrzewałem, że będziesz się nimi interesował, więc mam aktualne wiadomości. – Abdullah podniósł ze stołu trzy kartki maszynopisu i podał je Nadżibowi, który szybko przebiegł oczami informacje na temat Szmarii Boralevi.

Twarz mu się zachmurzyła.

– Im dłużej czekamy, tym oni stają się potężniejsi. Powinienem był zemścić się cztery lata temu.

– Zemsta jest jak wino – powiedział Abdullah – im starsze, tym lepsze. Tymczasem chodzi o ważniejsze rzeczy, którym twoja osobista wendeta nie może stanąć na drodze. Kiedy nadejdzie czas, zemsta będzie o wiele słodsza. – Wytrzymał wzrok Nadżiba. – Miałeś doskonałe wyniki na uczelni, jestem z ciebie zadowolony. Teraz, kiedy ukończyłeś studia, nadszedł czas na otworzenie legalnego biznesu. Wierzę, że wiele się nauczyłeś.

– Tak.

– To dobrze. Czy podjąłeś już decyzję, jaki biznes najbardziej ci odpowiada?

– Na początek myślałem o firmie importowo-eksportowej, z centralą w Nowym Jorku i z filiami w Londynie, Hongkongu, Stuttgarcie oraz tutaj.

– Doskonale! – powiedział Abdullah z uśmiechem, przykładając złożone palce do ust. – To będzie świetny kanał między kapitalistycznym Zachodem a naszą Organizacją. Dzięki temu

będziemy również mogli wspierać finansowo naszych sympatyków w Europie. W Niemczech i we Włoszech są grupy młodzieżowe propagujące naszą sprawę i potrzebujące wsparcia. W czasie twojej nieobecności wyszkoliliśmy w zakresie taktyki terrorystycznej czwórkę Niemców i dwoje Włochów. Były wśród nich dwie kobiety. – Abdullah wrócił do poprzedniego tematu. – Ile pieniędzy według ciebie będzie wymagało założenie takiej firmy?

– Muszę dokonać dokładnych obliczeń. Potrzebuję na to około tygodnia.

– To dobrze. Pamiętaj jednak, aby podać raczej wyższą sumę niż niższą. Mówi się, że wiele przedsiębiorstw upada w pierwszym roku działalności, ponieważ nie posiadają wystarczającego kapitału. A teraz pomówmy o czym innym. – Abdullah powoli popijał herbatę. W milczeniu patrzył przez jedno z wychodzących na ogród okien. Kiedy odezwał się znowu, jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, ale głos miał łagodne brzmienie. – Za dwa tygodnie od jutra weźmiesz udział w weselu.

– W stylu zachodnim czy arabskim? – uśmiechnął się Nadżib. – Muszę wiedzieć, jak mam się ubrać.

Abdullah nie odwzajemnił jego uśmiechu.

– Przypuszczam, że w arabskim. To będzie oczywiście zależeć od pana młodego.

– A kto jest tym szczęśliwcem? Czy go znam?

– Tym szczęśliwcem, jak zgrabnie to określiłeś, jesteś ty.

– Ja! – Nadżib patrzył na wuja rozszerzonymi ze zdumienia oczami. – Chyba żartujesz, *Ammi!*

Abdullah potrząsnął głową.

– Mówię najpoważniej w świecie.

Z tonu jego głosu Nadżib zorientował się, że wszystko zostało już ustalone. Jedyne, co pozostało mu do zrobienia, to wygłoszenie przysięgi małżeńskiej.

– Uważam, że posunąłeś się za daleko, wuju. – Wstał z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Ze wszystkich sił starał się opanować. – Jeśli nie masz dla mnie w zanadrzu jeszcze bardziej nieprzyjemnych niespodzianek, to mogę już odejść – powiedział ze złością. – Nie fatyguj się, żeby mnie odprowadzić. Znam drogę. – Przeszedł przez pokój, lecz zanim zdążył dojść do drzwi, jeden ze strażników zastąpił mu drogę.

– Jeszcze nie pozwoliłem ci odejść – powiedział spokojnie Abdullah, nie wstając z kanapy.

Nadżib popatrzył na strażnika. Trudno było dyskutować z jego półautomatyczną bronią.

– Czy wszystkie interesy załatwia się tutaj za pomocą lufy karabinu?

– Tylko w przypadku nieposłuszeństwa. – Abdullah wskazał przeciwległą kanapę. – Siadaj! – warknął.

– W porządku – powiedział z rezygnacją Nadżib i usiadł z głębokim westchnieniem. – Powiedz mi coś o niej, *Ammi*.

– Nie ma wiele do mówienia. Nazywa się Yasmin Faziri można nazwać ją piękną, jeśli lubi się samodzielne kobiety, w zachodnim stylu. Jej ojciec to bardzo bogaty bankier z Libanu, a rodzina ze strony matki, również bogata, otoczona jest powszechnym szacunkiem. Zajmują się handlem dywanami w Damaszku.

– A jakie moja przyszła żona ma wady? Pięknych, bogatych córek nie oddaje się biednym młodym ludziom tak łatwo, jak daje się jałmużnę żebrakowi. Czy jest kaleką? Czy nosi aparat na zębach?

– Nie jest obarczona żadną z tych ułomności – powiedział Abdullah z irytacją w głosie. – Zapominasz, że ze swoim wykształceniem nie jesteś żebrakiem. Stałeś się dobrym kandydatem na męża.

– Podaj mi, wuju, choć jeden powód, dla którego miałbym się z nią ożenić.

– Jej ojciec chce dać sto tysięcy dolarów na rozpoczęcie twojego biznesu – powiedział spokojnie Abdullah, obserwując uważnie Nadżiba.

– To jest jeden powód. – Nadżib zagwizdał cicho. – Chyba bardzo chce się jej pozbyć.

– Mogłeś trafić o wiele gorzej – powiedział ostro Abdullah.– Jeśli nasz plan ma się udać, potrzebna ci będzie piękna żona.

– Przykro mi, ale nie bardzo rozumiem, co wuj ma na myśli.

Abdullah machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

– Żona potrzebna jest przy podejmowaniu gości... doda blasku i szacunku twojemu wizerunkowi w oczach innych. Yasmin dobrze nadaje się do tego celu. A jej rodzinę możemy wykorzystywać na wiele sposobów. Jej ojciec hojnie popiera naszą sprawę. Jeśli zaś chodzi o rodzinę jej matki, to będzie pomocna przy zamorskim eksporcie dywanów. Zobaczymy, jak to wszystko się ułoży. Jutro spotkasz się z Yasmin. Jesteś zaproszony, razem ze swoimi rodzicami, na kolację do Fazirów. Oni żyją w zachodnim stylu, więc możesz ubrać się jak chcesz. Wolałem, żeby spotkanie odbyło się dziś wieczór, ale Yasmin, podobnie jak wiele tych głupich zachodnich kobiet, w które jest zapatrzona, upiera się przy zatrzymaniu swojej pracy. Często lata stąd do Europy.

– Mówi wuj o niej jak o ptaku.

– Bądź poważny – powiedział ostro Abdullah. – To nie są żarty. Chodzi przecież o duże pieniądze.

– Raczej o całe moje życie – przypomniał mu Nadżib.

– Chodzi przede wszystkim o naszą Organizację! To jest o wiele ważniejsze niż twoje życie.

– Nie zostawiasz mi żadnego wyboru, *Ammi* – westchnął Nadżib.

Abdullah obdarzył go zimnym spojrzeniem i wstał z kanapy. Nadżib podniósł się również. Wuj objął go ramieniem i odprowadził do drzwi.

Czekała go niespodzianka. Yasmin Fazir okazała się bardzo ładna i poznał ją od razu, ponieważ była to drobniutka stewardesa MEA.

Była piękna, bogata i wyglądała na prawdziwą damę, ale Nadżib wiedział, że na pewno nie jest dziewicą.

W rezultacie jej ojciec przekazał na jego konto bankowe sumę dziesięć razy wyższą niż ustalone początkowo sto tysięcy dolarów.

Yasmin była przecież wybrakowanym towarem.

III

Dalia

1977–1978

Czołowy artykuł w piśmie „People”
NAJBARDZIEJ ZNANY TOWAR Z IZRAELA
POCHODZI Z KIBUCU,
ALE NIE JEST JARZYNĄ

Aktorka Dalia Boralevi żywi się witaminami w pastylkach, a za najbardziej skuteczne uważa zastrzyki z witaminy B12. – Mam na sobie więcej śladów od igieł niż narkoman – mówi. – Zdarza się, że wyglądam jak poduszka na szpilki. – Bez skrępowania podnosi malutką sukienkę, którą zaprojektował dla niej Yves St. Laurent, odchyla wzorzyste majtki, pokazując ślady ukłuć. – Zawsze mówię lekarzowi. Tutaj... – wskazuje na mały punkcik.– Może mnie pan kłuć tylko tu, na tych dwóch calach kwadratowych. Nie chcę mieć dziur na całym ciele.

Prowadząc taki tryb życia niewątpliwie potrzebuje wspomagania witaminami. Ostatnio w ciągu jednego tygodnia skończyła kręcenie filmu w Irlandii, poleciała do Paryża przymierzyć swoje jesienne stroje, a potem do Nowego Jorku, gdzie podpisała

kontrakt na film z Woody Allenem i zjawiła się na przyjęciu u Lizy Minelli. Wzięła udział w zdjęciach reklamowych dla telewizji, odbyła wstępne rozmowy z korporacją Avon w sprawie firmowania swoim nazwiskiem nowych perfum. Zdążyła również spakować się przed wyjazdem na festiwal filmowy w Cannes, gdzie...

Jest godzina dziewiąta rano.

Pierwszy dzień dwutygodniowego festiwalu filmowego.

Jak zawsze o tej porze roku, Cannes pogrążone było w szaleństwie. Hol hotelu Carlton wyglądał jak jarmarczne miasteczko, wypełnione budkami sprzedawców, nad którymi powiewały ogromne płachty reklamujące filmy, a rozpięte na pulpitach plakaty tworzyły prawdziwy labirynt. Nad bulwarem Croisette powiewały flagi wszystkich narodów, tysiące ludzi tłoczyło się na chodnikach. Szeroki, wysadzany palmami bulwar Corniche zapełniony był stojącymi w korkach samochodami, a w dźwięku ich klaksonów słychać było bezsilność kierowców. Przez następne dwa tygodnie Cannes miało się stać rynkiem sprzedaży, kupna i wymiany filmów oraz wszelkiego rodzaju przepływu pieniędzy.

Na tarasie śniadaniowym hotelu Carlton Dalię Boralevi otaczał tłum brzęczących kamer filmowych i aparatów fotograficznych, które stale przybliżały się do niej jak bezlitosna bestia o stu oczach. Mikrofony na długich prowadnicach znajdowały się tak blisko, iż bała się, że zdrapią szkliwo z jej zębów. Za swoimi drogimi Canonami, Leikami i Nikonami oraz kamerami wideo, fotografowie i reporterzy wydawali się jedną, niecierpliwą, skłębioną, nieludzką masą.

Dalia przeczesała palcami fryzurę i potrząsnęła głową. Jej kruczoczarne, błyszczące włosy, z przedziałkiem na środku, spadały luźno poniżej ramion. Piękna owalna twarz pełna była życia, a lekki wyraz niezadowolenia czynił ją bardziej fotogeniczną. Miała na sobie obcisłą bluzkę koloru morskiej wody, z ponaszywanymi dużymi szklanymi ozdobami, czerwoną skórzaną spódnicę i ręcznie szyte tatarskie buty na bardzo wysokich obcasach, które dodawały jej smukłej sylwetce nadliczbowych cali.

Pomimo swojej elegancji i opanowania Dalia była wściekła, gotowa w każdej chwili wybuchnąć.

Niełatwo przyszło jej zgodzić się na konferencję prasową, tym bardziej o tak wczesnej porze, jeszcze zanim zdążyła cokolwiek zjeść. Krople, które zapuściła do oczu, pomogły co prawda usunąć zaczerwienienie – pozostałość po podróży samolotem i zmianie czasu, ale oczy piekły nadal, a pół filiżanki bezkofeinowej kawy, na którą sobie lekkomyślnie pozwoliła, ciążyło w żołądku. Nie to było jednak najgorsze, ale fakt, że Jerome St. Tessier, który powinien być teraz z nią, aby zaprowadzić jakiś porządek i trzymać dziennikarzy na dystans, w ogóle się nie pokazał. Nie zatelefonował ani nie zostawił żadnej wiadomości. Dziennikarze czekali na niego już dwadzieścia minut i nie można było trzymać ich dłużej, z każdą sekundą wyczuwało się bowiem narastającą niecierpliwość. Dalia nie mogła mieć do nich pretensji. W mieście znajdowało się mnóstwo sławniejszych i piękniejszych kobiet. Musiała więc sama, bez pomocy Jerome'a, ułagodzić przedstawicieli prasy, a także dostarczyć materiału do gazet i audycji radiowych, aby zyskać darmową reklamę dla „Czerwonej Satyny”.

Wspomnienie tego filmu rozzłościło ją jeszcze bardziej. Cokolwiek Jerome załatwiał czy gdziekolwiek został zatrzymany,

powinien starać się stamtąd wydostać i być przy niej. Przecież to on jako producent i reżyser „Czerwonej Satyny" zwołał tę konferencję prasową!

Wreszcie, pomimo odkrycia, że poleciało oczko w jej zielonych koronkowych pończochach, odrzuciła do tyłu włosy, podniosła wysoko głowę i wyszła na spotkanie prasy.

Rzucili się na nią jak wilki; musieli przecież przebyć samolotami połowę kuli ziemskiej, żeby znaleźć się tutaj, uważali więc, że mają do tego święte prawo. Dalia z trudnością wychwytywała ich pojedyncze pytania, wszyscy bowiem wykrzykiwali je jednocześnie. Tłum ciekawskich zgromadził się na tarasie.

Wskazała na najgłośniej krzyczącą osobę, a reszta natychmiast umilkła, aby nie uronić żadnego jej słowa.

– Renate Schlaak, „Der Spiegel" – wysoka kobieta o wyglądzie chłopczycy zawołała z gardłowym akcentem. – Panno Boralevi, urodziła się pani jako Dalia ben Yaacov. Skąd się wzięło nazwisko Boralevi?

– Z wyboru – Dalia mówiła głośno, wyraźnie i na tyle wolno, żeby jej odpowiedzi mogły zostać zapisane. – Jest to nazwisko mojej babki, która była aktorką w carskiej Rosji. Ona jednak skróciła je, używając formy „Bora", ponieważ brzmiało to mniej... po prostu mniej z żydowska. Było to także nazwisko, którego używała moja matka, ale pod naciskiem Oskara Skolnika, właściciela studio IA, zrezygnowała z niego. Kiedy rozpoczęłam pracę, zdecydowałam się naużywanie tego nazwiska. Wszyscy wiedzą, że moja matka to Tamara ben Yaacov. Kiedy zaczynałam karierę, chciałam robić to wyłącznie na własny rachunek. Gdybym zaczęła używać nazwiska ben Yaacov, wszyscy zorientowaliby się od razu, że jestem córką

Tamary. Następny. – Dalia popatrzyła na gorączkowo wymachujące dłonie i wskazała na młodą kobietę z kręconymi włosami, która stała z tyłu.

– Tosca Lidell. „The Tatler". Jeśli mówimy już o pani matce, to Tamara jest nie tylko ministrem kultury w waszym kraju, ale zaangażowana jest również w życie teatralne Izraela. Czy mogłaby pani coś więcej powiedzieć na ten temat?

– Tak, oczywiście. Moja matka uważa, że teatry w Izraelu, chociaż stawiają dopiero pierwsze kroki, mają wielkie rezerwy utalentowanych ludzi. Postanowiła im pomóc. Ostatnio zaangażowała się również w rozwijanie przemysłu filmowego Izraela. Ale chce pracować wyłącznie za kulisami, nie chce być już na scenie ani też stawać przed kamerami. Następny.

– Irith Cohen. „The Hollywood Reporter". Czy pani matka planuje ponownie włączyć się do czynnego życia?

– Moja matka nigdy nie wycofała się z czynnego życia, panno Cohen. Nie przerwała pracy ani na jeden dzień. Ale jeśli myśli pani o tym, czy powróci do Hollywood i będzie grać w filmach — to nigdy nic mi na ten temat nie mówiła. Jest zadowolona ze swojej pracy, którą może wykonywać za kulisami. Następny.

– John Carter, tygodnik „Time". Wracając do pani ostatniego filmu, panno Boralevi. „Czerwona Satyna" zaatakowana została ze wszystkich stron. Potępił ją Watykan, a kaznodzieje wielu fundamentalistycznych Kościołów wypowiedzieli jej wojnę. Czy sądzi pani, że ta opinia pomoże czy przeszkodzi w zagranicznej dystrybucji filmu?

– Nie można nic przewidzieć, dopóki nie sprawdzi się wpływu ze sprzedaży biletów, ale nie sądzę, aby zaszkodziło to filmowi.

Prawdopodobnie wzbudzi tylko większe zainteresowanie. Następny... ta pani w żółtym.

– Tina Smith. „Variety". Panno Boralevi, czy istnieje jakakolwiek szansa, że zagra pani ze swoją matką w jednym filmie? Jeśli znalazłby się odpowiedni scenariusz?

– Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ nie znalazł się jeszcze żaden odpowiedni scenariusz. Ale od razu mogę powiedzieć, że to mało prawdopodobne. Mojej matki nie interesuje już robienie filmów. Następny.

– Lorraine Asnes. „Fairchild Publications". Jak zareagowali pani rodzice, a przede wszystkim matka, na wiadomość, że chce pani wejść do show biznesu? Czy ofiarowali swoją pomoc, czy raczej chcieli panią od tego odwieść?

– Pamiętam, kiedy pierwszy raz powiedziałam sobie, że chcę być aktorką. Miałam wtedy osiem lat, widziałam właśnie „Rzymskie wakacje" z Audrey Hepburn i chciałam nią być. Robiłam wszystko, żeby się do niej upodobnić, czesałam włosy do góry i głodowałam, co oczywiście było śmieszne. Ale bakcyl aktorstwa nie opuszczał mnie. Moja matka starała się wyperswadować mi ten pomysł, tak jak robi to większość rodziców związanych z show biznesem, ale po odbyciu służby wojskowej w Izraelu nadal obstawałam przy swoim postanowieniu. Byłam zdecydowana jechać do Nowego Jorku lub do Hollywood, a ojciec widząc, że nic nie może mnie od tego odwieść, dał mi pięć tysięcy dolarów i bilet lotniczy do Nowego Jorku. Następny.

– Isabelle Retzki. „Paris Match". Mam podwójne pytanie, panno Boralevi. Zrobiła pani już sześć filmów z Jerome'em St Tessierem. Po pierwsze, czy ma pani zamiar nadal z nim pracować, czy też myśli pani o jakimś innym reżyserze w przyszłości? Po drugie,

powszechnie wiadomo, że od kilku lat jest pani osobiście związana z panem St. Tessierem. Czy jego dzisiejsza nieobecność oznacza, że coś się między wami popsuło?

Suka! – pomyślała Dalia. Hiena! Nigdy nie umiała poradzić sobie z reporterami, którzy opierali swoją karierę na penetrowaniu cudzego prywatnego życia i wyciąganiu brudów. Co za obrzydliwy sposób zarabiania na życie!

Jedno pytanie następowało po drugim, po półgodzinie Dalia położyła temu kres i poszła do apartamentu hotelowego, zarezerwowanego dla nich przez Jerome'a. Żadne z nich nie miało jeszcze czasu w nim przebywać. Podczas festiwalu trudno było znaleźć chwilę dla siebie. Jerome zrobił z apartamentu biuro, w którym prowadził rozmowy na temat finansów i dystrybucji z każdym, kto wykazał zainteresowanie jego filmami.

Dalia niecierpliwie chodziła po pokojach, wyglądając często przez okno i patrząc na flagi łopoczące wzdłuż bulwaru Croisette. Plaża była prawie pusta, ale chodniki – zapchane ludźmi, a korki samochodowe jeszcze dłuższe niż przedtem. Kipiała z gniewu. Poprzednią noc mieli spędzić razem w wynajętej w Antibes willi, ale przed obiadem Jerome wycofał się z tego planu mówiąc, że musi spotkać się z kimś ważnym. Zjadła obiad sama, długo czekała na niego, aż wreszcie położyła się spać. Dziś rano, kiedy budzik zbudził ją o siódmej, nadal go nie było. Nie było również żadnej wiadomości.

Nadal czekała. Wreszcie czując, że dusi się z gniewu, zrzuciła buty i uklękła na dywanie z szeroko rozstawionymi kolanami. Musiała inaczej ukierunkować rozpierającą ją energię.

Zamknęła oczy, oddychając głęboko i starając się osiągnąć koncentrację. Powoli umysł jej zaczął pracować jaśniej. Pierwsze ćwiczenie miało ją rozluźnić. Następnym krokiem terapii było

uciskanie odpowiednich punktów na ciele. Nauczył ją tego japoński mistrz, Toshi Ishagi, do którego chodziła na zajęcia ishagiatsu. Pod koniec ćwiczeń uwalniała się negatywna energia i razem z nią znikał stres.

Pochyliła się na bok, jedną rękę podłożyła pod głowę, a drugą na czole, starając się dotykać palcami tyłu czaszki. Powoli rytm jej serca wracał do normy, czuła, jak pozbywa się napięcia. Przez chwilę udało jej się nawet zapomnieć, w jakiej sytuacji pozostawił ją Jerome.

Poznali się w Nowym Jorku przed ośmiu laty, w maleńkim kinie na Siódmej Wschodniej ulicy, gdzie można było obejrzeć dwa stare czarno-białe filmy za cenę jednego. Była to jej pierwsza wyprawa do starego kina, a przyciągnęło ją ogłoszenie w „Village Voice", informujące o Tygodniu Filmów Tamary, Tego sobotniego popołudnia pokazywano dwa jej filmy – „Podlotki" i „Annę Kareninę". Dalia obejrzała oba i oczarowana, ze łzami w oczach, nie mogła uwierzyć, że ta tajemnicza postać na ekranie jest jej trzeźwą, realistyczną w codziennym życiu matką.

Pod koniec „Anny Kareniny" głośno płakała, a kiedy zapalono światło, skierowała się szybko do wyjścia, żeby nikt nie dostrzegł jej łez. Wtedy właśnie wpadła na niego. Był wysokim, potarganym młodym człowiekiem, w okrągłych okularach w drucianej oprawce. Oboje starali się jednocześnie przecisnąć przez drzwi. Ponieważ okazało się to niemożliwe, ustąpił jej z drogi. Wyszła na pełne zimowe słońce, wysoka, ze lśniącymi, prostymi, czarnymi włosami, ubrana w obszerną kurtkę wojskową z ogromnymi kieszeniami.

Policzki miała czarne od tuszu do rzęs. Bez powodzenia starała się wytrzeć oczy palcami.

Na jej widok obudził się w nim szarmancki Francuz. Podszedł do niej i podał czystą chusteczkę. Wyrwała mu ją bez słowa, po czym odwróciła się i głośno wytarła nos.

– Czy zawsze płaczesz na takich filmach? – spytał z silnym francuskim akcentem, każde s brzmiało jak z.

Obróciła się w jego stronę, mrugając oczami.

– Płaczę tylko na ślubach i pogrzebach – wychlipała. Potem dodała z nieporadnym uśmiechem. – Ale również przy nieszczęśliwych zakończeniach.

– A to było jedno z najbardziej nieszczęśliwych zakończeń. – Dotknął lekko jej policzka. – Jeszcze tutaj masz smugę.

– Och. – Szybko pośliniła chusteczkę i zaczęła trzeć plamę pod okiem, coraz bardziej ją rozmazując. – Dość. – Podniosła ku niemu umorusaną twarz. – Czy teraz mogę pokazać się ludziom? – Patrzyła na niego, a jej oczy były nadal wilgotne.

– Bez wątpienia. – Odpowiedział uśmiechając się do niej, ponieważ podobała mu się z tą czarną smugą na policzku. – Czy widziałaś wszystkie filmy tego tygodnia?

Potrząsnęła głową.

– Dowiedziałam się o nich dopiero dzisiaj. A ty widziałeś je wszystkie?

Skinął potakująco głową.

– Przypuszczam, że jesteś... wielbicielem Tamary.

– Nie bardzo pasjonuję się jej filmami.

– Więc ich nie lubisz?

– Wiele znaczą w historii kina, ale uważam, że są przerysowane. Tak samo jak Garbo i Dietrich. Zbyt sztuczne.

– Taki był wtedy styl – powiedziała, stając natychmiast w obronie matki. – Gdyby występowała teraz, na pewno byłaby inna, bardziej naturalna.

– To są akademickie rozważania. Przecież ona nie gra już w filmach. Pewnie to i lepiej. Lepiej jest pozostawić po sobie aurę tajemnicy niż upaść na dno po klęsce, prawda?

– Ona by nie upadła! – wykrzyknęła Dalia, a jej zielone oczy błyszczały gniewnie. – Ona by nigdy nie upadła!

– Widzę, że jesteś jej najbardziej lojalną i oddaną wielbicielką – zaśmiał się. – Może napijesz się ze mną kawy?

Spojrzała na niego z wahaniem.

– Nie wiem, czy mogę ci zaufać.

– Nie pójdziemy do mnie do domu, ale do restauracji. Będziesz tam mogła wołać o pomoc albo uciekać. Co ty na to?

Skinęła potakująco głową.

– Znam miłą polską restaurację na Pierwszej ulicy, gdzie podają mocną herbatę i domowe pierożki.

– To zbyt etniczne... zbyt poważne. Czy wiesz na co naprawdę mam ochotę? Jaka jest moja największa słabość?

– Nie mam pojęcia, chociaż bardzo chciałbym się dowiedzieć – powiedział z uśmiechem.

– Frytki u MacDonalda albo u Burger Kinga! Tony tych tłustych frytek i całe masy soli. Kiedy zaczynam je jeść, to nie mogę przestać, dopóki nie czuję, że za chwilę pęknę.

– Czy jest jeszcze coś, co powinienem wiedzieć? Może polewasz ryż czekoladą albo fasolę likierem miętowym?

– Jesteś okropny – skrzywiła się. Zaraz jednak wzięła go z uśmiechem pod rękę. – Gdzie jest najbliższe miejsce z tym podłym jedzeniem?

– Na Trzeciej, niedaleko Szóstej Alei.

– Na co czekasz? Zabierz mnie tam natychmiast.

– Czy możemy pójść pieszo?

– Oczywiście. – Potrząsnęła głową tak, że włosy zawirowały jej dokoła twarzy, a kiedy skręcili za róg, ukryła twarz w kołnierzu, broniąc się przed podmuchami listopadowego wiatru.

Przesiedzieli przeszło godzinę na plastikowych krzesełkach na piętrze przegrzanego lokalu Mac Donalda. Wypili sześć filiżanek kawy i cztery razy zamawiali frytki, które Dalia podawała mu do ust palcami.

– Myślę, że ta dziewczyna stojąca na dole za ladą lituje się nad nami – śmiała się Dalia, kiedy weszła na górę wnosząc kolejną tacę z kawą i frytkami. – Chciała mi dać dwa hamburgery za darmo.

– Czy powiedziałaś jej, że masz słabość do ich frytek?

– Tak, ale chyba mi nie uwierzyła. Pewnie myśli, że stać nas tylko na frytki. – Zdjęła pokrywki z plastikowych kubeczków z kawą. – Teraz powiedz mi coś o sobie – powiedziała rozkazującym tonem. – Takie rzeczy, których jeszcze nie wiem.

– Nic o mnie nie wiesz. Poznaliśmy się przecież przed chwilą.

– Oczywiście, że wiem. – Zajęła się rozrywaniem papierowych torebek z solą. – Jesteś Francuzem, ale tak dobrze mówisz po angielsku, że na pewno mieszkasz tu od dłuższego czasu. Masz podarte dżinsy, ale to nic nie mówi, ponieważ noszenie rozlatujących się dżinsów jest modne. Twoja starożytna czarna kurtka motocyklowa ze zwisającym luźno paskiem może być twoją ulubioną kurtką, ale twój szalik jest dziurawy, a obcasy butów zdarte. Podeszwa lewego buta niedługo odleci, z czego wnioskuję, że nie masz zbyt wiele pieniędzy. Ten sweter z najlepszej irlandzkiej wełny dostałeś niewątpliwie w prezencie, ponieważ żaden mężczyzna

nie kupiłby sobie sam tak drogiego swetra. Prawdopodobnie kupiła go twoja zamożna dziewczyna. Długie włosy są modne, ale twoje są niewłaściwie ostrzyżone, z czego wnioskuję, że w swojej pracy, cokolwiek robisz, nie musisz być zapięty na ostatni guzik. A te małe okrągłe okularki, które z upodobaniem nosisz, sprawiają wrażenie, że nie zależy ci na wyglądzie. Są ohydne, ale spełniają swoje zadanie. – Oparła się o krzesło i uśmiechnęła słodko, mieszając kawę plastikową łopatką. – Jak mi poszło?

Był zaskoczony.

– Powinnaś zostać detektywem. Więc to widać?

– Oczywiście. – Kiwnęła potakująco głową, sięgając po następną frytkę i zanurzając ją w soli.

– Sód jest niezdrowy – powiedział wskazując sól.

– Nigdy nie jadam soli – oświadczyła.

– Jesz ją teraz.

– Sól jadam wyłącznie wtedy, kiedy jem frytki. Wtedy nie mogę się tym nasycić. – Brzmiało to jak wyzwanie. – Przeważnie jem bardzo zdrowe rzeczy. – Popatrzyła na niego uważnie. – Chyba jesteś aktorem bez angażu?

Roześmiał się, pokazując zdrowe białe zęby.

– Blisko, ale niedokładnie. Studiowałem reżyserię filmową na uniwersytecie nowojorskim, dopóki nie doszedłem do wniosku, że mogę więcej się nauczyć, a przy okazji także zarobić, pracując dla wytwórni. Jak widzisz, jestem raczej zatrudniony.

– To tłumaczy twój zaniedbany wygląd. Teatralne dziadostwo. – Skinęła poważnie głową. – Czy teraz również pracujesz?

– Jestem asystentem produkcji w niemieckiej wytwórni, która robi tutaj filmy. Chciałbym reżyserować. A ty? Kim jesteś? Aktorką bez angażu?

– Częściowo zatrudnioną. Jestem związana z grupą teatralną Off-Off Broadway. W tej chwili nic nie wystawiamy. Próby rozpoczniemy dopiero za trzy tygodnie.

– Jak się nazywa wasz, zespół?

– Actors Outlet Ensemble. Na ulicy Mac Dougal. – Spojrzała na niego z nadzieją w oczach. – Może o nas słyszałeś?

– Czekaj. Ostatnia sztuka to była „Noc Wilde'a", swobodna adaptacja esejów Oskara Wilde'a? – Przytaknęła żarliwie. Przypatrzył się jej bliżej.

– To ty! Teraz cię poznaję! Byłaś jedną z recytatorek z twarzą pomalowaną na biało, cała w czerni, tak że widać było tylko twarz! Stałaś na końcu, ale przyciągałaś największą uwagę.

Twarz jej się rozjaśniła, przestała nawet żuć frytki. Potem, udając, że nie przywiązuje do tego aż tak wielkiego znaczenia, znowu się do nich zabrała. Tym razem smakowały jej jednak wyjątkowo. Uwielbiała pochlebne recenzje.

Chłopak przechylił się przez stolik.

– Coś ci powiem. Czy chciałabyś zagrać w filmie?

Spojrzała na niego, nie wiedząc, czy mówi poważnie, a potem wybuchnęła śmiechem.

– Daj spokój – powiedziała. – Jeśli to jest odmiana starej śpiewki w rodzaju „chodź obejrzymy moje drzeworyty", to nie jest to oryginalne.

Trochę go to ubodło.

– Nie muszę uciekać się do takich tanich sposobów – prychnął. – Chcę ci powiedzieć, że kobiety uważają mnie za bardzo atrakcyjnego mężczyznę.

Zrobiła grymas, który miał wyrażać przeprosiny.

– Przykro mi – powiedziała.

Spojrzał na nią poważnie.

– Mówię o tym filmie na serio. Trzy lata temu napisałem scenariusz i cały czas czekałem na odpowiednią aktorkę. Myślę, że ty mogłabyś nią być. Jestem tego pewny po tym, co pokazałaś na scenie.

– O czym jest ta sztuka?

– Początkowo przeznaczyłem ją na scenę jako monolog w trzech aktach dla jednej aktorki. Potem zacząłem interesować się filmem, więc przerobiłem na scenariusz, dodając kilka postaci. Jest to opowieść o Niemce w Berlinie, która ma najpierw osiemnaście lat, potem czterdzieści dwa, a wreszcie siedemdziesiąt dziewięć. Rozpoczyna się w chwili obecnej, kiedy starsza pani opowiada wnukowi o swoim życiu i cofa się w przeszłość. Z tej historii wynika, że jest wyjątkowo okrutną osobą i antysemitką. Dopiero na końcu dowiadujemy się, że jest Żydówką, przytłoczoną poczuciem winy za to, że udając Aryjkę uniknęła losu, jaki spotkał większość jej rodziny i przyjaciół.

Oczy jej zabłysły.

– To wspaniałe.

– Tak sądzisz? – powiedział. – Niełatwo będzie to sfilmować.

– Dlaczego nie?

– Musielibyśmy robić próby i kręcić w nocy, po skończeniu mojej pracy. Nie stać mnie na to, żeby ci zapłacić za zagranie tej roli. A najgorsze ze wszystkiego jest to, że będziemy musieli się ukrywać, ponieważ będzie to nielegalne. Nie mogą się o tym dowiedzieć związki zawodowe. – Zamilkł, patrząc jej w oczy. – Teraz, kiedy już wyłożyłem wszystkie karty na stół, czy nadal jesteś zainteresowana? Oczywiście grałabyś rolę starszej pani.

– Myślę, że... tak! Ale nie znam nawet twojego nazwiska.

– Jerome St. Tessier. – Z uśmiechem podał jej rękę nad stolikiem. – A twoje?

– Dalia. Dalia Boralevi.

Uścisnęli sobie mocno ręce, jakby przypieczętowując sekretną umowę. Wyjął pióro i pisał coś szybko na serwetce.

– Spotkamy się pod tym adresem o wpół do ósmej wieczorem, dokładnie za tydzień. Drugi dzwonek od góry. Zadzwoń i czekaj, aż opuszczę koszyk na sznurku. Będzie tam klucz do drzwi frontowych i do towarowej windy.

Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

– W porządku, Jerome St. Tessier. Będę tam za tydzień. Lecz jeśli zdecydujemy się razem pracować, to byłoby lepiej dorobić zapasowy klucz.

Było to górne piętro budynku fabrycznego na Bond Street, niedaleko Lafayette. Zaniedbana fasada i strome drewniane schody, zapchane rowerami i dziecięcymi wózkami stojącymi na podestach, nie zapowiadały niezwykłych przestrzeni, jakie znajdowały się na każdym piętrze. Mieszkanie Jerome'a było bardzo wysokie i miało ponad cztery tysiące stóp wolnej przestrzeni. Były tam błyszczące, powleczone lakierem drewniane podłogi, a pomiędzy oknami stały dwa rzędy żeliwnych kolumn korynckich. Odnosiło się wrażenie, że jest to jakaś opuszczona katedra.

Czekał na nią przy drzwiach windy.

– Przyszłaś wcześnie – powiedział z uśmiechem.

– Jestem punktualna – poprawiła go. – Zawsze jestem punktualna.

Wydawał się ucieszony jej widokiem, gdy patrzył, jak wyciąga swoje długie włosy spod kołnierza wojskowej kurtki. Ubrana była w drogie francuskie dżinsy i błyszczące fioletowe buty kowbojskie na wysokich obcasach. Patrzył na nią z uznaniem.

– Jesteś radością dla oka. Wejdź.

– Powiedział pająk do muchy – zaśmiała się, zdejmując fioletową torebkę z ramienia. Patrzyła, jak opuszczał ciężkie metalowe drzwi, umacniając je sztabą. Potem szła za nim po lśniącej drewnianej podłodze do odległego miejsca, w którym światło reflektorków przebłyskiwało przez wysokie fikusy, tworząc wzory ich liści na suficie. Stały tam cztery kanapy pokryte srebrzystą tkaniną, a między nimi – paleta używana przy załadunku statków, służąca jako stół. Na nagich ceglanych ścianach wisiały ogromne, kolorowe, abstrakcyjne obrazy. Przez okno widać było odległy Empire State Building i wieże biurowców. Przyciszony głos Janis Joplin wydobywał się z ogromnego zestawu stereo. Miejsce to od razu przypadło Dalii do serca. Było coś niesłychanie stylowego i luksusowego w tej pustej przestrzeni, w środku jednego z najbardziej zatłoczonych miast świata.

– Jak tu ładnie – powiedziała, stawiając swoją ogromną torbę na kanapie.

– Miło mi, że ci się podoba. Usiądź, a ja przyniosę ci scenariusz. Potem postaram się wytłumaczyć, na czym polega mój pomysł. Napijesz się wina? Mam otwartą butelkę dobrego Bordeaux.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Dzisiaj poszczę. Wystarczy mi szklanka zwykłej wody.

– Zaraz ci przyniosę. Tymczasem rozgość się tutaj.

Usiadła na jednej z kanap. Pokrywająca ją tkanina wydawała się niezwykła. Pogładziła ją ręką. Był to autentyczny stary materiał.

– Masz dobry gust – powiedziała.

Podał jej szklankę Perrier z kostkami lodu.

– Obawiam się, że mam więcej gustu niż pieniędzy – powiedział z uśmiechem. – Teraz, gdybym nawet miał pieniądze, nie wydawałbym ich na meble. Bóg raczy wiedzieć, gdzie poślą mnie za miesiąc na plan filmowy.

Usłyszała jakieś stukanie i obróciła się.

– Czy ktoś tu wbija gwoździe?

Spojrzał na białą lnianą firankę, która zwieszała się z sufitu, dzieląc przestrzeń piętra na pół.

– Zobacz sama – powiedział, uśmiechając się szeroko.

Posłusznie wstała, odstawiła szklankę i podeszła do firanki. Zawahała się przez chwilę, po czym szybko ją rozsunęła. Patrzyła zdumiona, wstrzymując oddech. Dwóch młodych mężczyzn i słomianowłosa blondynka w roboczym ubraniu kończyli właśnie dekorację do filmu.

Przysunęła się bliżej, oglądając wszystko z zaciekawieniem. Dekoracja wyglądała niezwykle realistycznie. Jak gdyby duszny, zatłoczony drobnomieszczański salonik przeniesiono z przedwojennego Berlina wprost na Manhattan. Wszystko wyglądało w nim autentycznie, wzór na tapecie, spłowiały orientalny dywan, biedermeierowski sekretarzyk, pianino Bechsteina zastawione starymi fotografiami oraz fotele z pożółkłą koronką na oparciu. Przed tą stylową dekoracją stały wynalazki współczesnej techniki – reflektory na wózkach, mikrofony podwieszone u góry i profesjonalna trzydziestopięciomilimetrowa kamera filmowa. Na podłodze kłębiły się grube czarne kable.

– Dobrze, że jesteś, Jer – zawołała blondynka. Przesunęła krzesło o parę cali w lewo. – Czy chcesz, aby pianino stało tak jak teraz, czy wolisz, żeby przesunąć je w stronę okna?

– Tak jest dobrze, Marie. Ale daleki plan za oknem jest nadal zbyt jaskrawy. Potrzeba więcej gałęzi drzew, żeby go złagodzić. Chcę po włączeniu reflektorów uzyskać efekt zamglonego, rozproszonego światła.

– Tak jest, szefie – zasalutowała mu z uśmiechem. — Ta pani to nasza gwiazda? – wskazała na Dalię.

– Tak. Przerwij na chwilę pracę i chodź ją poznać. Wy też, chłopcy.

Marie i dwóch mężczyzn weszli do drugiej części pokoju.

– To jest Marie – powiedział Jerome. – Marie, poznaj Dalię.

Marie zlustrowała ją wzrokiem i uśmiechnęła się.

– Miło mi. – Podeszła bliżej, wydmuchując ogromną bańkę różowej gumy do żucia i energicznie potrząsnęła ręką Dalii.

– Marie jest naszym scenografem – powiedział Jerome. – A to jest Tim Fawcett i Ian Potter. Sądząc po nazwiskach powinni być raczej hydraulikami, ale tak się złożyło, że są pierwszorzędnymi inżynierami. Tim zajmuje się dźwiękiem, a Ian światłem.

– Fawcett i Potter do usług – powiedzieli chórem.

Dalia roześmiała się.

– Miło was poznać. – Podała im rękę, po czym wskazała na dekoracje. – To wygląda imponująco. Do tej pory byłam spokojna, ale kiedy zobaczyłam dekoracje i całą resztę, nogi ugięły się pode mną.

– Mam coś, co cię na nie z powrotem postawi – powiedziała Marie. Pogrzebała w torbie i wyciągnęła paczkę Marlboro, wypełnioną skrętami. Wyjęła jeden, włożyła do ust i zapaliła.

Zaciągnęła się parę razy i podała skręta Dalii. Ta wzięła go delikatnie w dwa palce.

– Nigdy przedtem tego nie paliłam – wyznała z zażenowaniem.

– Najlepszy jest pierwszy raz – powiedziała zachęcająco Marie. – Zaciągnij się mocno, zatrzymaj chwilę dym i wolno go wydychaj. Gwarantuję ci, że poczujesz się jak nowonarodzona.

Dalia zaciągnęła się mocno, przetrzymując dym w płucach, tak długo, że aż dostała napadu kaszlu. Kiedy minął, przeniknęło ją błogie uczucie zadowolenia. Podała skręta Jerome'owi, który zaciągnął się dwa razy i podał go dalej.

– Dobry towar – powiedział, patrząc na Marie. – Czy masz go może trochę na zbyciu?

Marie potrząsnęła przecząco głową.

– Jeden z moich chłopaków robił film na Zachodnim Wybrzeżu i przywiózł go stamtąd. Dał mi tylko pół uncji.

Tim przekazał skręta Marie.

– Trzeba wrócić do pracy. – Wskazał Jerome'a, uśmiechając się do Dalii. – On jest prawdziwym poganiaczem niewolników. Chce zacząć kręcić w ten weekend.

– Tak szybko? – spytała Dalia.

– Czemu nie? – odpowiedział Jerome. – Mamy scenariusz, mamy sprzęt, a teraz mamy także aktorkę. Dodatkowi ludzie z zespołu technicznego i inni aktorzy będą się pojawiać w miarę potrzeby. – Rozejrzał się po pomieszczeniu. – Gdzie jest Kleo?

– Jeszcze przed chwilą robiła rysunki kostiumów – powiedział Ian. – Może poszła do łazienki.

– Kleo! – zawołał Jerome.

– Idę, Biały Bwana – rozległ się wesoły, choć przytłumiony głos. Słychać było odgłos spuszczanej w toalecie wody i za chwilę

pojawiła się młoda, szczupła, czarnoskóra kobieta z łobuzerską miną i oczami błyszczącymi inteligencją. Ubrana była w luźne wojskowe spodnie i obcisły zielony podkoszulek. Pomimo tego męskiego stroju wyglądała bardzo kobieco. Zgrabne piersi widoczne przez podkoszulek wskazywały na to, że strój ten nie jest przeznaczony wyłącznie dla mężczyzn.

– O co chodzi? – spytała. – Czy dziewczyna nie może się spokojnie wysiusiać... – Przerwała nagle otwierając szeroko oczy ze zdumienia. – Dalia? – spytała niedowierzająco.

– Biała Kobieto, czy to ty?

Dalia stała oszołomiona. Jej głos wskazywał, że nie dowierza własnym oczom.

– Panno Kleopatro, kochanie? – spytała cicho. – Czy to ty?

– A niech to szlag trafi!

Obie dziewczyny wybuchnęły radosnym śmiechem, rzucając się sobie w objęcia.

– O Jezu, ile to lat upłynęło! – wykrzyknęła wreszcie Kleo, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

– Dokładnie siedem lat.

– Nieprawda. Sześć lat, dziewięć miesięcy i... niech policzę... dwadzieścia cztery dni. – Chwyciły się w objęcia. – Jezu! Straciłyśmy ze sobą kontakt. Nie myślałam, że cię jeszcze kiedyś zobaczę. Co tutaj robisz?

– Nie wiesz? – powiedziała Dalia. – Jestem gwiazdą w filmie Jerome'a.

Jerome odchrząknął i obie spojrzały w jego kierunku. Dopiero teraz zorientowały się, że wszyscy patrzą na nie z ciekawością.

– Domyślam się, że się znacie – powiedział wreszcie Jerome.

– Jasne – skinęła głową Kleo. – Byłam na wymianie studenckiej w Izraelu. Potem straciłyśmy ze sobą kontakt. – Obróciła się do Dalii. – Już nigdy nie dopuścimy do takiej sytuacji, prawda?

Dalia potrząsnęła przecząco głową. Oczy jej błyszczały.

– Chciałabym wiedzieć – zwróciła się Kleo do Jerome'a – jak do diabła udało ci się ją namówić, aby wystąpiła w tym nie dofinansowanym filmie?

– Poprosiłem ją o to. Dlaczego pytasz?

– Czy nie wiesz, że ona może grać wszędzie, gdzie tylko zechce?

To z kolei zaskoczyło Jerome'a.

– Nie bardzo rozumiem.

Kleo potrząsnęła głową.

– Biały Bwana – powiedziała trzymając ręce na biodrach – czy chcesz mi wmówić, że nie wiesz, kim ona jest?

Jerome popatrzył tępo na Kleo, a potem uważnie na Dalię.

– Nie. A czy powinienem?

– Oczywiście. – Kleo objęła Dalię za ramiona. – Ona jest córką największej aktorki filmowej wszechczasów. Lepiej powiem ci od razu, że jej matka jest twoim filmowym idolem numer jeden.

Jerome wpatrywał się w Dalię.

– Chcesz powiedzieć...

– Tak. – Kleo skinęła potakująco głową. – Ta Biała Kobieta jest córką jedynej, niepowtarzalnej Tamary. A ja chciałabym wiedzieć, co ona robi w takim prowincjonalnym filmie jak nasz!

Dalia usłyszała klucz obracający się w zamku, a potem otwierane i zamykane drzwi apartamentu. Nie zmieniając pozycji ishagiatsu, odwróciła głowę. W drzwiach stał Jerome. Słońce

odbijało się w jego okularach w drucianej oprawce. Pod pachą miał kryształowe kieliszki, a w każdym ręku trzymał butelkę szampana Cristal. Uśmiechał się łobuzersko.

Dalia wyciągnęła dłoń spod głowy i złączyła kolana. Straciła cały spokój uzyskany po terapii. Widok Jerome'a przyprawił ją znowu o wściekłość.

– Witaj cudzoziemcze – powiedziała sarkastycznie. – Co się stało? Czy ta balanga wreszcie się skończyła?

Jerome nie zwracał na nią uwagi. Podszedł do stojącego przy oknie stolika, postawił na nim kieliszki i zaczął zdejmować sreberko z szyjki jednej z butelek.

Dalia podbiegła do niego. Chwyciła go za rękę w momencie, kiedy wyjmował korek, który przeleciał przez cały pokój.

– Przestań mnie ignorować, do cholery! – wrzasnęła.– Gdzie byłeś, kiedy te rekiny zjadały mnie na śniadanie?

Uśmiechnął się kącikiem ust.

– Kiedy rekiny zjadały cię na śniadanie – powiedział zupełnie nie poruszony jej wybuchem – strząsałem pieniądze z drzewa, *cheri*. Zgadnij, co spadło?

– Na pewno coś ciężkiego, ale nie na tyle, żeby cię zabić, na co zasługujesz. Jesteś chamem, szubrawcem, zezowatym żłobem! Nażryj się gówna i zdechnij!

– Powiedziała prawdziwa dama – odezwał się Jerome z żartobliwym ukłonem. – Jak ci się podoba suma siedemnastu milionów pięciuset tysięcy? – Pomachał butelką. – Masz ochotę to oblać?

Dalia nie mogła wydobyć z siebie głosu. Patrzyła tylko na niego. Siedemnaście milionów pięćset tysięcy dolarów stanowiło cały planowany budżet ich następnego filmu.

– No i co? – powiedział pochylając się nad nią.

Dalia przemówiła z trudem.

– Czy... czy chcesz powiedzieć, że udało ci się dostać wszystko? – Głos jej drżał. – Już? Pierwszego dnia?

– Co do centa. Każdego szekla, szylinga, jena i sou. Każdego dolca, funta i drachmę. Nie nazywam się chamem, szubrawcem i żłobem bez powodu. Teraz musimy postarać się tylko o zagraniczną dystrybucję „Czerwonej Satyny" i jesteśmy urządzeni! – Potarł jej policzek nosem. – Mam czas aż do lunchu. Co myślisz o tym, aby spędzić trochę czasu w łóżku?

– Czy musisz o to pytać? – powiedziała uwodzicielskim tonem, biorąc jeszcze nie otwartą butelkę i wchodząc tanecznym krokiem do sypialni.

Jerome wywiesił na drzwiach plakietkę NIE PRZESZKADZAĆ, wyłączył telefon i zasunął ciężkie zasłony. Byli teraz całkowicie odgrodzeni od świata. Z dużego przenośnego magnetofonu dobiegał głos Leontyny Price, śpiewającej „Knoxville Summer 1915". Druga butelka szampana stała na stoliku przy łóżku, opróżniona do połowy, a w powietrzu unosił się mdlący zapach marihuany.

Leżeli obok siebie na podwójnym łóżku, wpatrzeni w sufit, podając sobie skręta. Wreszcie Jerome zgasił go i położył na popielniczce. Potem ukląkł na łóżku, patrząc na Dalię. Leżała z rękami pod głową, jej piękne lśniące włosy całkowicie zakrywały poduszkę. Jedną nogę miała zgiętą w kolanie, a palcami drugiej bawiła się rogiem prześcieradła. Nawet teraz, w tej zrelaksowanej pozie, robiła wrażenie jakiegoś drapieżnego zwierzęcia, miłego i wesołego, ale pełnego ukrytej siły. Zawsze, kiedy była naga,

wyglądała na gotową do stosunku. Jej sutki naprężały się, a szczupłe ciało przygotowane było do wygięcia się w miłosnym spazmie. Nie miała na sobie ani jednego grama zbędnego tłuszczu i ani jednego włosa na ciele, w tym również włosów łonowych. Wyglądała jak statuetka Art Deco.

Już sama jej nagość wystarczała, aby się podniecił. Jego twardy penis drgał niecierpliwie.

Popatrzyła na niego wyczekująco, lekko rozchylając wargi. Widział czubek języka między jej białymi, błyszczącymi zębami.

Pieścił jej piersi. Z przyspieszonym oddechem zaczęła poruszać biodrami. Wiedział, że ona również jest już gotowa.

Ale dla niego gra dopiero się zaczynała.

Zanurzył dwa palce w otwartym słoiku Vick Vap-O-Rub, który miał przygotowany przy łóżku, i rozsmarował go na jej sutkach, delikatnie wcierając. Dalia poczuła eukaliptusowy zapach maści, a mentol podziałał drażniąco na sutki. Jerome włożył kulkę Vicku do jej pochwy. Po chwili plecy Dalii wygięły się i przejął ją spazm rozkoszy. Jerome powtórzył tę czynność. Dalia zamknęła oczy, w zapamiętaniu rzucając głową po poduszce. Kiedy zaczął ściskać jej sutki, całe jej ciało drgało.

Właśnie o to mu chodziło.

– Chce ci się pić? – spytał.

Skinęła głową.

Nabrał do ust szampana, a potem ujął jej twarz w obie ręce i podawał jej alkohol małymi łykami wprost ze swoich ust.

Patrzył, jak chciwie oblizywała wargi. Potem uklęknął. Czuła, jak jego penis wchodzi w nią. Rozchyliła kolana i czekała, aby wypełnił ją całkowicie. Krzyczała z rozkoszy. Objęła go nogami w pasie, trzymając mocno.

Przy każdym jego ruchu odczuwała rozkosz rozchodzącą się po całym ciele. Jerome zaczął poruszać się szybciej, a ona, nie przestając obejmować go nogami, ruszała biodrami i podnosiła je do góry.

Wreszcie Jerome podłożył jej ręce pod pośladki, a jego ruchy stały się bardziej agresywne. Dalia czuła pulsującą krew. Jądro jej kobiecości odpowiadało na każdy jego ruch. Jerome był niezwykle wytrzymały.

Kochał ją z coraz większym zapamiętaniem. Nie wiedziała już, co się z nią dzieje, miała wrażenie, że tonie, że przestała być sobą. Kiedy osiągnął orgazm, opadł na nią ze zduszonym okrzykiem. Leżeli tak przez chwilę, dopóki ich ciała i oddechy nie uspokoiły się.

Spojrzała na niego.

– Tym razem było to coś nowego. Na chwilę kompletnie się zatraciłam, odeszłam.

Jerome napił się szampana i spojrzał na budzik, który stał na stoliku. Zaklął cicho, wyskakując z pościeli.

– Cholera, już późno.

Dalia szybko uklękła przy łóżku, przyciągając go do siebie.

– Czy ten lunch nie może poczekać?

– Mówiłem ci już. – Szybko zbierał ubranie z podłogi. – O drugiej mam się spotkać z ludźmi finansującymi film.

Na jej twarzy pojawił się grymaś niezadowolenia.

– Nie mogą zaczekać do jutra? Moglibyśmy spędzić cały dzień w łóżku.

– To niemożliwe. Jutro rano odlatują do Ar-Rijad.

– Chyba źle zrozumiałam – powiedziała ze śmiechem. – Przez chwilę wydawało mi się, że usłyszałam Ar-Rijad.

– Dobrze usłyszałaś.

– Czy to znaczy, że robisz interes z Arabami? – spytała zduszonym głosem.

– To jest arabskie konsorcjum inwestycyjne – powiedział chłodno. – Ich pieniądze mają taki sam kolor jak wszystkie, z tą tylko różnicą, że oni mają ich więcej.

– Ty pieprzony skurwielu! – Bez ostrzeżenia zerwała się z łóżka. Zanim Jerome mógł się zorientować, jej dłoń spadła na jego policzek z szybkością błyskawicy. Zachwiał się od uderzenia. Dotknął ręką twarzy, patrząc na nią w osłupieniu.

– Co za diabeł w ciebie wstąpił? – spytał ze złością. – Na pewno będę miał ślad.

– To dobrze. – Dalia uniosła głowę. – Zasłużyłeś na to. Zasłużyłeś na jeszcze więcej, ale widzę, że nawet tego nie jesteś wart. Byłam głupia, że się z tobą zadawałam.

Spojrzał na nią chłodno.

– Nie mów rzeczy, których później będziesz żałować.

Odwróciła się i złapała słuchawkę telefonu, ale on wyrwał ją i odłożył na miejsce. Rozległ się ostry dźwięk dzwonka.

– Czy możesz mi wytłumaczyć, co cię nagle napadło?

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Chcesz mi wmówić, że nie rozumiesz?

– Nie, do diabła! – krzyknął. – Czy wyglądam na jakiegoś pieprzonego jasnowidza?

– A więc – powiedziała, prostując się – jeśli dotkniesz choć jednego centa arabskich pieniędzy, to koniec z nami. Na zawsze. Mówię poważnie. Opuszczę cię.

Jerome westchnął ciężko.

– Postaraj się opanować i pozwól mi wszystko wytłumaczyć. – Wyciągnął rękę, chcąc jej dotknąć, ale szybko się odsunęła.

– Chcę wiedzieć tylko jedno – powiedziała. – Czy naprawdę chcesz skorzystać z finansowania filmu przez Arabów?

– Pragnę cię poinformować, że nie jest łatwo znaleźć siedemnaście milionów pięćset tysięcy dolarów.

– Dziękuję – powiedziała drżącym głosem. – A teraz zabierz swoje brudne łapy z telefonu. Muszę zadzwonić do recepcji, żeby zamówili mi bilet na najbliższy samolot.

– Czy nie przesadzasz z tą swoją arabską wendetą?

– Co cię to może obchodzić – odpaliła. – Między nami wszystko skończone.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Chcesz powiedzieć, że tak po prostu przekreślasz całe osiem lat?

Wytrzymała jego spojrzenie, a jej zielone oczy płonęły.

– Masz rację. Nikt ci tego jeszcze nie powiedział? Żydzi i Arabowie to olej i woda. Nie łączą się ze sobą nigdy.

– Dalia – prosił – bądź rozsądna. To nie jest sprawa polityczna. Tu chodzi o robienie filmów. – Zrobił krok w jej kierunku, ale szybko uciekła do łazienki zatrzaskując drzwi.

– Dalia! – krzyczał, szarpiąc za klamkę. – Wyjdź stamtąd! – Walił w drzwi pięściami. – Dalia! Nie możesz tak odejść, do cholery! Podpisałaś ze mną kontrakt!

– To podaj mnie do sądu! – odkrzyknęła. Z oczami pełnymi łez zaczęła się gwałtownie i dokładnie myć, aby zetrzeć z siebie jego ślady.

Płakała cicho, nie słysząc już nawet stukania Jerome'a ani szumu wody. Myślała o dniu, w którym nauczyła się nienawidzić Arabów – wszystkich Arabów. O tym okropnym czerwcu i tragedii, którą spowodowała, że nigdy nie pozbędzie się nienawiści.

W tamtą słoneczną, upalną niedzielę cała rodzina Dalii, która miała wtedy niewiele ponad sześć lat, była na plaży w Tel Awiwie. Kilka tygodni wcześniej przeprowadzili się z Ein Shmona do nowego mieszkania przy nadmorskiej ulicy Hayarkon. Właśnie wtedy, po raz pierwszy od miesiąca, ojciec mógł spędzić cały dzień z rodziną. Dalia, siedząc obok matki pod ogromnym parasolem plażowym, patrzyła na balkon ich nowego mieszkania na piątym piętrze. Od plaży ich ulicę dzielił tylko park. Tego dnia wiele ludzi spędzało czas nad morzem. Wydawało się, że wyległo tam całe miasto. Z brzegu widać było pełno małych żaglówek. Ari i Asa kopali piłkę. Dalii wydawało się, że bawią się o wiele lepiej od niej.

Sprzykrzyło się jej usypywanie kopczyków z mokrego piasku. Spojrzała w stronę matki, której głowę chronił duży kapelusz, a oczy zakryte były ciemnymi okularami. Tamara była pięknie opalona, skóra błyszczała jej od kremu, a na brzuchu położyła pismo ze zdjęciem jakiejś modelki na okładce.

– Mamo – powiedziała Dalia. – Chce mi się pić.

Matka podniosła głowę.

– Przy lunchu piłaś sok, kochanie.

– Wiem, ale kiedy to było.

Tamara spojrzała na zegarek.

– Nie upłynęło jeszcze pół godziny. Myślałam, że chcesz się bawić w wodzie.

– To było dawniej. Teraz chcę Co-Cola.

Matka uśmiechnęła się.

– Wiesz przecież, że mamy tylko soki.

Dalia spojrzała na nią z błyskiem w oku.

– Papa ma pieniądze, a tam jakiś pan sprzedaje Co-Cola – powiedziała, używając nieodpartej dziecięcej logiki. Wskazała palcem w stronę ulicy, gdzie grupka osób zgromadziła się przy wózku sprzedawcy.

Tamara westchnęła i zawołała:

– Dani!

Dalia przeniosła swoją uwagę na ojca, rzucając mu Spojrzenie. On sam nazwał tak ten moment, kiedy oczy robiły się jej duże i nienaturalnie okrągłe. Roześmiał się.

– Dobrze, aniołku, ale tylko tym razem. Wiesz, że Cola nie jest dla ciebie zdrowa.

Patrzyła, jak ojciec wyciąga pieniądze z koszuli, która porządnie złożona leżała pod krzesłem. Próbowała wziąć banknot, ale jej na to nie pozwolił.

– Nie chcę, żebyś przechodziła przez ulicę. Jest za duży ruch. Poproś któregoś z braci, żeby przyniósł Coli dla nas wszystkich.

Dalia ze śmiechem porwała pieniądze, pocałowała ojca i pobiegła do chłopców grających w piłkę.

Ari był niezadowolony i starał się zignorować jej obecność. Odwrócił się do niej plecami i schylił po piłkę, mówiąc:

– Czy nie widzisz, że gramy?

Dalia stała, trzymając pieniądze w ręku.

– Chodź, Ari – błagała. – Nie mogę przynieść sama, bo papa mi nie pozwala. – Zwróciła się do drugiego brata. – Asa!

– No dobrze. – Asa wyrwał jej banknot z ręki i popędził przed siebie. – Zaraz wracam – zawołał przez ramię do Ariego. – Przerwa w grze.

Dalia obserwowała go, jak zbliżał się do wózka sprzedawcy. Stało tam już kilka osób, więc Asa musiał czekać, aż nadejdzie jego

kolej. Zobaczyła ciemnoskórego mężczyznę w słonecznych okularach i kapeluszu nasuniętym na oczy, przechodzącego spacerowym krokiem. Widziała, jak wrzucił coś do drucianego kosza na śmieci, stojącego obok wózka sprzedawcy Coli, po czym szybko poszedł do oczekującego samochodu. Zanim zdążył zamknąć drzwi, auto ruszyło gwałtownie z piskiem opon.

Dalia czekała z niecierpliwością, przestępując z nogi na nogę, a Asa nadal czekał na swoją kolej.

Wreszcie wręczył sprzedawcy pieniądze, otrzymując w zamian kilka butelek.

Wtedy właśnie w koszu na śmiecie wybuchła bomba.

Zabiła Asę, sprzedawcę i cztery inne osoby.

Kleo zawsze była na miejscu, kiedy Dalia jej potrzebowała. Ile razy przeżywała kryzys, Kleo była z nią, trzymała za rękę i służyła pomocą. Tego dnia również czekała na nią na lotnisku.

Dalia wyszła jako jedna z pierwszych. Miała bilet pierwszej klasy, a za cały bagaż służyła jej torebka Vuittona i odpowiednio skonstruowana duża torba, która mieściła się pod fotelem. Bardzo szybko przeszła przez komorę celną. Aby nie można jej było rozpoznać, ukryła swoje charakterystyczne włosy pod chustką. Jej strój nie wyróżniał się niczym szczególnym. Nosiła ogromne okulary w kształcie skrzydeł motyla, które pozbawiały jej twarz indywidualnych rysów. Można było ją wziąć za jedną z trzystu znanych osób podróżujących incognito, poczynając od Jackie O., a kończąc na Charlotte Ford. Nawet Kleo, przyzwyczajona do jej przebieranek, z trudem ją rozpoznała.

Wyciągnęła ramiona, mocno obejmując przyjaciółkę.

– Biała Kobieto, dziecinko – powiedziała miękko. – Wiem, że cierpisz.

Dalia miała mocno zaciśnięte wargi.

– Nie wiem, co czuję, ból czy gniew.

– Chodź, tam czeka samochód. Później porozmawiamy. – Zawsze praktyczna Kleo wzięła torbę Dalii, objęła ją w pasie i zgrabnie wyprowadziła z zatłoczonego terminalu. Była zmartwiona.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

Dalia już miała zamiar skinąć głową, ale rozmyśliła się i potrząsnęła nią przecząco.

– Nie, nie czuję się dobrze! – powiedziała cichym nabrzmiałym bólem głosem.

Ukryte za wielkimi ciemnymi okularami oczy Dalii były podpuchnięte i czerwone od płaczu.

– Dlaczego? – spytała drżącym głosem – dlaczego w ogóle zaczęłam zadawać się z tym bydlakiem? Dlaczego spośród milionów mężczyzn wybrałam tego palanta, Jerome'a?

– Biała Kobieto – powiedziała Kleo z westchnieniem. – Gdybym znała odpowiedź na takie pytania, byłabym nie tylko bogata. Byłabym również szczęśliwą mężatką, otoczoną piętnaściorgiem hałaśliwych dzieci. Jednego jestem pewna – nie trzeba analizować tego, co czujemy. Życie przestaje być wtedy zabawne.

– Życie nigdy nie jest zabawne – powiedziała Dalia ponuro. – Jak coś może przestać być zabawne, jeśli nigdy takie nie było?

Kleo zamilkła. Wiedziała, że nie jest to pora na sprzeczki. Dalia z trudem zachowywała pozory spokoju. Pomimo zewnętrznego opanowania i wrażenia samowystarczalności, była jedną z najbardziej wrażliwych osób, jakie Kleo spotkała w życiu. Nieprędko jednak udało się jej o tym przekonać.

Kiedy wyszły na zewnątrz, zobaczyły, że dzień jest szary i wietrzny. Ciepły wiatr rozwiewał papiery i śmiecie po ulicy. W powietrzu czuło się zapowiedź ulewnego deszczu.

Kleo rozejrzała się bacznie.

– Niech to szlag trafi! Gliniarze na pewno przepędzili nasz samochód. Pewnie teraz jeździ w kółko.

Stanęły przy krawężniku. Za chwilę zatrzymało się przy nich Eldorado z opuszczanym dachem. Auto błyszczało bielą, ozdoby kołysały się przy wstecznym lusterku, a głos Jamesa Browna dochodził z nastawionego na pełny regulator stereo.

– Już tu jest – Kleo starała się przekrzyczeć hałas dochodzący z wnętrza samochodu. Złapała Dalię za rękę. – Wsiadaj.

Dalia opierała się.

– To... to jest nasz kierowca? – Patrzyła podejrzliwie na czarnego jak heban mężczyznę. Na głowie nosił żółto-zielony kapelusz z jaskrawym piórem, dopasowany do jego wyszukanego w kroju garnituru.

– Tak, to on – przytaknęła Kleo. Dała mu znak ręką, żeby nie wysiadał, sama otworzyła drzwi i, nie zważając na jego protesty, wyłączyła magnetofon. Stojący obok ludzie przyjęli z wdzięcznością tę nagłą ciszę.

Kleo przechyliła do przodu siedzenie obok kierowcy i wykonała zapraszający gest, zwracając się do Dalii, aby usiadła na tylnym siedzeniu.

Dalia patrzyła na wszystko z niedowierzaniem.

– Kleo... – zaczęła nieśmiało – może byśmy wzięły taksówkę?

Kleo uciszyła ją gestem ręki.

– Nie trudnię się stręczycielstwem, jeśli to masz na myśli – powiedziała szeptem. – Kojot jest w porządku, jeśli nie musisz dla

niego pracować. Pamiętasz ten film Friedkina, do którego robiłam kostiumy?

Dalia skinęła potakująco głową.

– No więc załatwiłam to tak, że Kojot i kilka dziewczyn zagrało tam małe rólki. Był bardzo dumny i od tego czasu czuje się moim dłużnikiem. Ile razy potrzebuję samochodu, zawsze się zwracam do niego. Zastępuje mi limuzynę z kierowcą, tyle tylko, że wozi mnie za darmo i to jest o wiele tańsze niż jakakolwiek taksówka. Wsiadaj. Będziemy miały dobrą zabawę.

Dalia zrezygnowała z dalszej dyskusji i posłusznie usadowiła się z tyłu na pokrytym futrem siedzeniu. Kleo usiadła obok niej. Kojot zamknął przednie drzwi.

– Podnieś dach – rozkazała królewskim głosem Kleo.

– Co mówisz? – Kojot obrócił się, wpatrując się w nią ogromnymi oczami, w których połyskiwały białka.

– Słyszałeś. Podnieś dach.

– Hej, dziecino – głos Kojota miał wysokie brzmienie. – Co za pożytek z takiego samochodu z opuszczonym dachem? Jeszcze nie pada.

– Masz rację – przytaknęła Kleo. – Ale Dalia potrzebuje spokoju. I tak każdy wpatruje się w ten samochód, który wygląda jak auto alfonsa, a ona wcale nie potrzebuje, aby ją rozpoznano. Podnieś dach, czarnuchu – powiedziała ostrym tonem.

Słysząc to, Kojot omal się nie zakrztusił, a Dalia bliska była zemdlenia. Dach został jednak natychmiast podniesiony i prawie od razu zabębniły o niego pierwsze krople deszczu.

Jechali w milczeniu. Dalia patrzyła bezmyślnie przez szybę. Nie było zbyt wielkiego ruchu w kierunku Manhattanu, lecz kiedy minęli Queen Plaza, oba pasy zapełniły się aż pod Midtown Tunnel.

Zegar nie wskazywał jeszcze czwartej, ale widać było wyraźnie, że zbliża się godzina szczytu.

– Nie wiem, jakie masz plany – zwróciła się Kleo do Dalii. – Kojot może zawieźć cię do twojego mieszkania albo pojedziemy do mnie. Jak wolisz.

Dalia odwróciła się od okna.

– Wolałabym nie jechać do domu – powiedziała szybko. – Jeśli, oczywiście, nie sprawię ci kłopotu.

– Kłopotu? Nigdy nie sprawiasz mi kłopotu, Biała Kobieto, – zapewniła ją ochoczo Kleo. – To znaczy do mnie... – Pochyliła się do przodu, mówiąc głośno: – Kojot, na Hamilton Terrace.

– Tak, proszę pani.

Kleo roześmiała się.

– Czy dobrze usłyszałam? – spytała Dalię. – Ten czarnuch nazywa mnie panią.

– Uspokój się, Kleo – prosił Kojot. – Zepsujesz mi opinię. Jeśli wszyscy dowiedzą się, że mam do ciebie słabość, to jak dam sobie radę ze swoimi dziewczynami?

– Nie martw się – zaśmiała się Kleo. – Przy dziewczynach będę ci okazywać więcej szacunku.

– Jedna maleńka pieprzona rólka – jęczał Kojot – i już uważa, że jestem niewolnikiem. Ile czasu będę ci się musiał za to odwdzięczać?

– Jeśli chcesz jeszcze jedną małą rólkę w nowym filmie Kurta Russella – powiedziała Kleo, przeciągając wyrazy – to pozostaniesz w niewoli.

– Następna rola? – Oczy Kojota błyszczały zainteresowaniem. Kleo wiedziała, że ma go w garści. – Jaki to film?

– Wszystko ci powiem, kiedy będę miała więcej informacji na ten temat. Tymczasem Dalia jest trochę przygnębiona, a ja też nie czuję się najlepiej. Daj nam trochę towaru.

Kojot podał jej małą szklaną fiolkę, do której przyczepiona była srebrna łyżeczka. Kleo odkręciła zakrętkę, wciągając proszek w oba nozdrza, po czym wręczyła fiolkę Dalii.

Dalia potrząsnęła głową.

– Spróbuj – namawiała ją Kleo. – Czysta kokaina. Po jednorazowym użyciu poczujesz się o niebo lepiej.

Dalia ostrożnie podniosła łyżeczkę do nosa, wdychając głęboko. Oczy jej jaśniały, kiedy oddawała ją z powrotem. Kleo miała rację. Czuła się lepiej.

– Czy to stypa? – spytała nagle. – Posłuchajmy muzyki. Włącz stereo!

– W porządku! – odkrzyknął uszczęśliwiony Kojot, włączając znów Jamesa Browna.

Kleo mieszkała w jednej z tanich kamienic, w sześciu wąskich, ciemnych pokojach, które przebiegały przez całą szerokość budynku. Wanna stała na środku kuchni, a łóżko obstawione było pułapkami na myszy. Drzwi frontowe budynku były jednak dobrze zabezpieczone, domofon przeważnie działał, a bojler przeciekał „najwyżej raz lub dwa w czasie zimy. Co najważniejsze, budynek ten był jednym z nielicznych w Nowym Jorku, które miały ustalony czynsz. Mieszkanie to zostało przekazane Kleo przez kuzyna, mieszkającego w nim przez prawie trzydzieści lat, więc czynsz wynosił tylko osiemdziesiąt trzy dolary miesięcznie. Mieszkanie to miało dla Kleo również inne zalety. Bez względu na to, gdzie pracowała, nigdy nie zrywała kontaktu z czarną kulturą, zawsze wracała do Harlemu.

Niepostrzeżenie minęły dwie godziny, w czasie których Dalia otworzyła serce przed Kleo. Opowiedziała jej wszystko i od razu poczuła się o wiele lepiej. Możliwość wygadania się przed życzliwą słuchaczką bardzo jej pomogła.

Kleo była również jedyną rozsądną osobą, do której Dalia mogła się udać. Dobrze znała Jerome'a, a jednocześnie była jej najbliższą przyjaciółką. Wielokrotnie pracowała z nimi i doskonale rozumiała problemy związane z finansowaniem i kręceniem filmów. Już od dawna zastanawiała się, jak to jest możliwe, że Dalia i Jerome żyją i pracują razem. Dziwiła się, że zawodowe stresy, w które obfitował ten zwariowany świat, nie miały wpływu na ich osobiste stosunki.

– Ma to również swoją dobrą stronę – szepnęła Dalia, patrząc ponuro w swój kieliszek, napełniony specjalną alkoholową mieszanką Kleo. Poczucie zadowolenia, którego dostarczyła jej kokaina, dawno już minęło, ale nie chciała zażywać jej więcej. Zauważyła pytający wzrok Kleo.

– Nie jesteśmy małżeństwem i nie mamy dzieci – powiedziała cicho. – To jest ta dobra strona.

Kleo zastanowiła się przez chwilę, po czym potrząsnęła głową.

– Biała Kobieto, to tak jakbyś powiedziała, że cieszysz się, że cię nie leczono na raka płuc, ponieważ umarłaś na atak serca. To nie ma żadnego sensu.

– Masz oczywiście rację – powiedziała Dalia. – Ale dzieci i małżeństwo utrudniłyby zerwanie.

– Stosunki między mężczyzną i kobietą... – potrząsnęła głową Kleo. – Dlaczego nigdy nie są doskonałe? – Przerwała, patrząc na Dalię. – Rozumiem, że nie masz zamiaru do niego wrócić.

– Jeśli nie odrzuci arabskich pieniędzy, to nie.

– Powinnaś była jednak zostać w Cannes. Dostałaś nominację do nagrody. Gdybym była tobą, nie opuściłabym takiej okazji.

– Cannes – powiedziała Dalia – jest za małe dla Jerome'a i dla mnie. – Przesuwała palcem po krawędzi kieliszka.

– Co masz zamiar teraz robić?

Dalia wzruszyła ramionami.

– Po raz pierwszy od ponad dwóch lat mogę mieć trzy tygodnie tylko dla siebie. Dwa tygodnie mieliśmy spędzić w Cannes, ale teraz mogę dodać je do swoich wakacji. – Zaśmiała się. – Po raz pierwszy od tak dawna nie mam nic do roboty. Sama nie wiem, co z tym czasem zrobić. Najpierw muszę znaleźć sobie jakieś mieszkanie.

– Chcesz wyprowadzić się ze studia?

– Oczywiście – kiwnęła głową Dalia. – To od początku było studio Jerome'a, więc nie mogę go stamtąd wyrzucić. Prawdopodobnie znalezienie mieszkania i przeniesienie rzeczy zajmie mi tydzień. Potem pojadę chyba do Cape Cod i spędzę kilka dni z Inge.

Steinbergowie, dla których pracowała Inge, zostawili jej pokaźny spadek. Za te skarby kupiła motel na plaży i zawsze była gotowa przyjąć w nim Dalię.

– Oczywiście – mówiła dalej – wybieram się na ślub Ariego. Wizytę w Izraelu miałam zaplanowaną już przedtem. Od bardzo dawna nie byłam w domu. Jedenaście lat to szmat czasu, a ja zaniedbywałam swoją rodzinę.

Kleo skinęła potakująco głową.

– Często zdarza się, że rodzina pozostaje jedyną ostoją. – Uśmiechnęła się niespodziewanie. – Rodzina oraz ja.

Dalia odstawiła kieliszek i pochyliła się, ujmując ją za rękę.

– Tak, jesteś prawdziwą przyjaciółką – powiedziała. – To szczęście, że mam ciebie.

– I odwrotnie – stwierdziła Kleo. – Jesteśmy siostrami w nieszczęściu. – Wskazała na pusty kieliszek Dalii. – Daj mi go, trzeba ci dolać.

W trzy dni później, po obejrzeniu dziewięciu mieszkań gotowych do wynajęcia, Dalia znalazła odpowiednie na Central Park West. Miało dwie sypialnie, w pokoju dziennym na jednej ścianie znajdowały się cztery okna z widokiem na park, a na drugiej – dwa z widokiem na zielone, gotyckie dachy Dakoty. Było gotowe do natychmiastowego zamieszkania. Dalia podpisała kontrakt na rok. Znalazła również firmę, która mogła podjąć się przeprowadzki już następnego dnia. Okazało się jednak, że linia telefoniczna może być podłączona za trzy dni, a aparaty dopiero za osiem, ale nie przejęła się tym zupełnie. Chciała jak najszybciej zabrać swoje rzeczy ze studia Jerome'a.

Cały wtorkowy wieczór spędziła z Kleo pakując kartony i przygotowując wszystko dla przewoźników. Była to jej pierwsza przeprowadzka od wielu lat i zapomniała, z czym się to wiąże. Ile rzeczy można nagromadzić, mieszkając od dawna w jednym miejscu i mając tak nieograniczoną przestrzeń! Zbierała biedermeierowskie meble, co było wielkim luksusem dla osoby pochodzącej z kraju, gdzie od wieków brakowało drewna i liczył się każdy patyk. Były też szafy pełne ubrań, które kolekcjonowała przy okazji licznych pobytów na planach filmowych, jak też mnóstwo fotografii w srebrnych ramkach. Dlaczego dopiero przy przeprowadzce widać, ile rzeczy się nagromadziło? Dalia chętnie pozbyłaby się niektórych z nich, ale w tej chwili nie miała czasu ani cierpliwości na to, żeby je

sortować. Najprościej było wszystko zapakować i przewieźć do nowego mieszkania.

Skrupulatnie rozdzieliła to, co niewątpliwie należało do niej od rzeczy Jerome'a, pozostawiając te przedmioty, których przynależność budziła wątpliwości.

Razem z Kleo pakowała, zawijała w papier i oklejała taśmą. Pod wieczór zorientowały się, że będą musiały pracować całą noc, aby skończyć przed przyjazdem przewoźników.

– Jak to się stało, że zgromadziłam tyle śmieci? – jęknęła Dalia. Opadła na krzesło patrząc nieprzytomnym wzrokiem na Kleo. – Moje nowe mieszkanie będzie wyglądało jak magazyn.

– Nie martw się. Rozpakujemy wszystko i uporządkujemy w kilka dni – uspokajała ją Kleo. – Nie musimy robić tego same. Mogę zawołać paru zobowiązanych mi ludzi.

– Takich jak Kojot? – zaśmiała się Dalia.

Zadzwonił telefon.

Dalia podskoczyła jak uderzona. W oczach miała panikę.

– Odbierzesz, panno Kleopatro, kochanie? – spytała drżącym głosem. – Czuję, że to Jerome.

– A jeśli tak?

– Żeby nie wiem jak wrzeszczał, groził czy błagał, nie będę z nim rozmawiać. Kropka.

– Zrobione. – Kleo wyprostowała się i pomaszerowała w kierunku telefonu. Po kilku minutach zwróciła się do Dalii.

– Mówi, że musisz z nim porozmawiać! – zawołała ponurym głosem. Zakryła ręką słuchawkę. – Mówi, że jesteś związana z nim kontraktem.

– Powtórz mu, jeśli tego nie wie, że kontrakty podpisuje się po to, aby je zrywać.

Kiedy Kleo odłożyła słuchawkę, Dalia spytała:

– Czy powiedziałaś mu, że się pakuję?

– A czy powinnam?

– Jeśli zadzwoni jeszcze raz, powiedz mu to. Może wtedy dotrze do niego, że nie żartuję.

Kleo uniosła brwi do góry.

– Biała Kobieto, kochanie, po jego głosie można się zorientować, że on doskonale o tym wie.

Dalej pakowały w milczeniu.

Pół godziny później telefon zadzwonił znowu. Dalia zacisnęła wargi.

– Dlaczego ten palant nie zostawi mnie w spokoju? – warknęła ze złością.

– Nie możesz tego oczekiwać od ludzi, będąc piękną, inteligentną i jedną z najbardziej kasowych aktorek na świecie – powiedziała przytomnie Kleo.

– Wielkie gówno – mruknęła Dalia czując, że łzy spływają jej po policzkach i nie może ich powstrzymać. – Tylko nie zaczynaj mi wciskać tego kitu – powiedziała, udając zagniewaną.

Kleo wróciła od telefonu z szerokim uśmiechem.

– Dobra! – powiedziała udając, że otrzepuje dłonie. – Myślę, że na tym koniec. On już dziś nie zadzwoni. – W jej dużych, czarnych oczach błyszczało zadowolenie.

Dalia była zdziwiona.

– Dlaczego? Co mu powiedziałaś?

– Och, trochę o tym, a trochę o tamtym – powiedziała Kleo. – Teraz będziemy miały spokój.

Ale jej przewidywania okazały się błędne. Po niecałej godzinie, kiedy po raz trzeci rzuciła słuchawkę, słysząc głos Jerome'a, zabrzmiał dzwonek domofonu.

Dalia zbladła.

– To nie może być on! – zawołała. – Jest przecież we Francji.

– Oczywiście, że to nie on – uspokajała ją Kleo. – Lot do Nowego Jorku trwa sześć do siedmiu godzin. Podeszła do domofonu, naciskając przycisk. – Kto tam? – spytała.

– Patsy Lipschitz – odezwał się głos. – Wpuść mnie. Muszę porozmawiać z Dalią.

– Chwileczkę – odpowiedziała Kleo.

Domofon zadzwonił znowu.

Kleo powtórnie przycisnęła przycisk służący do rozmowy.

– Powstrzymaj swoje zapędy, kochana – powiedziała. – Sprawdzę, czy ona jest w domu.

– Wiem, że jest – odezwała się Patsy napastliwym tonem. – Wpuść mnie.

Kleo spojrzała pytająco.

– Cholera. – Dalia rzuciła trzymany w ręku papier na podłogę.

– Czy mogę ją wpuścić?

– Nie ma rady. – Dalia wzruszyła ramionami. – Dobrze znam Patsy. Będzie naciskała dzwonek przez całą noc, dopóki jej nie wpuścimy. Sprowadź na dół windę towarową. Dostanie ataku serca, jeśli będzie musiała wchodzić po schodach.

Patsy Lipschitz była agentem Dalii. Ta kobieta o potężnej tuszy posiadała umysł, którego mogli jej pozazdrościć najwięksi finansiści. Poza tym miała wrodzony talent do prowadzenia negocjacji. Chodziły plotki, że jest lesbijką, ale jej stosunki z Dalią ograniczały się wyłącznie do interesów.

– Załatwione, Biała Kobieto. – Kleo zasalutowała i otworzyła drzwi. Dalia słyszała zjeżdżającą z hałasem windę oraz wesołe okrzyki Kleo, kiedy mijała kolejne piętra: „Bielizna... Piękne Sukienki... Okazja w podziemiach!" Kiedy winda wjeżdżała do góry, Kleo nadal wywoływała wymyślone przez siebie nazwy sklepów. „...Rozmaitości... Odzież Męska... Bank Kredytowy!"

Patsy dostrzegła Dalię przez częściowo odsunięte drzwi windy i natychmiast ruszyła w jej stronę.

– Co to ma znaczyć, że nie chcesz mieć już nic wspólnego z Jerome'em? – wrzasnęła. – Zadzwonił do mnie mówiąc, że go porzuciłaś i zabierasz swoje rzeczy!

Patsy czuła się świetnie na obu wybrzeżach, bez przerwy przemieszczała się z Nowego Jorku do Hollywood i z powrotem z taką łatwością, jak inni ludzie poruszają się pomiędzy Manhattanem a Westchester. Do show biznesu trafiła wprost z Brooklynu. Nigdy zresztą do końca nie pozbyła się nawyków wyniesionych z tej dzielnicy. Była hałaśliwa, bezczelna i nie do wytrzymania. Dalia zastanawiała się często, czemu nikt nie wpadł na pomysł posłania jej do szkoły wdzięku, a jeszcze częściej zachodziła w głowę, dlaczego nikt jej do tej pory nie zastrzelił. To właśnie przyszło jej teraz na myśl. Kleo prawdopodobnie miała taki sam zamiar, ponieważ nagle gdzieś zniknęła.

– Twoje informacje są właściwe – powiedziała chłodno Dalia, cofając się przed tą olbrzymią masą ciała. – Skończyłam z Jerome'em.

Patsy nie przyjęła tego do wiadomości, machając lekceważąco tłustą, upierścienioną dłonią. Widać było, jak migocą jej brylanty.

– Słuchaj, laleczko. W tym mieście, a szczególnie w naszym biznesie, nic nie kończy się definitywnie. Dobrze wiesz, że jesteśmy

tutaj jedną wielką, kazirodczą rodziną. – Patsy zaczęła grzebać w swojej ogromnej torbie, z której wyjęła cienkie cygaro i chromowaną zapalniczkę Zippo. Spojrzała na Dalię poprzez kłęby dymu.

– Radzę ci, przestań się pakować. Przemyśl to jeszcze raz.

– Już postanowiłam – powiedziała twardo Dalia.

Patsy podeszła do kanapy i ciężko na nią opadła. Zrzuciła pantofle, opierając stopy na prowizorycznym stole.

– Uważam, że to tylko taki trudny okres. Znasz Jerome'a od ilu? Siedmiu lat? – spojrzała pytająco na Dalię.

– Raczej od ośmiu.

– To jest ewidentny kryzys po ośmiu latach – powiedziała z przekonaniem Patsy. – Może zostać szybko zażegnany przez małą pozamałżeńską przygodę.

– Nie jesteśmy małżeństwem – przypomniała jej Dalia, siadając na przeciwległej kanapie.

– Ale mieszkaliście ze sobą przez te wszystkie lata – powiedziała z naciskiem Patsy. – Nie bawmy się w semantykę. Jeśli mieszka się ze sobą przez osiem lat, to nie jest istotne, czy się jest małżeństwem, czy nie.

– Tu chodzi o coś więcej.

– Jeśli tak, to wycofaj się z jego osobistego życia, ale nadal róbcie razem filmy – Patsy wyrażała swoje myśli donośnym głosem.

Dalia siedziała w milczeniu. Nie była w stanie powstrzymać łez.

– Do diabła – powiedziała z obrzydzeniem Patsy. – Robisz się sentymentalna. Nie możesz pozwolić na to, aby sprawy osobiste przeszkadzały ci w twoich interesach.

– Nic nie mogę na to poradzić.

– Postaraj się. Nie muszę ci przypominać, jak szybko wpływy kasowe stają się niedoborami kasowymi. To Jerome zrobił z ciebie gwiazdę.

– Ja mu pomogłam – zauważyła Dalia. – Zagrałam w jego pierwszym filmie za darmo i właśnie dzięki temu filmowi Jerome zyskał swoją pozycję.

– Tak. Ale teraz dostajesz od niego i od innych po półtora miliona. To nie są małe pieniądze.

– Nigdy tak nie mówiłam – żachnęła się Dalia.

– Dobrze, że o tym wiesz. – Patsy przez chwilę w milczeniu paliła cygaro. – Popatrz na to z tej strony, laleczko – odezwała się wreszcie. – W tym roku masz film Woody Allena i film Jerome'a. CBS Video zapłaci ci dwieście tysięcy za próbną taśmę, a Jhirmack chce ci dawać pół miliona rocznie za reklamowanie odżywki do włosów...

– Której nie używam.

– To nie ma znaczenia. Ze swoimi włosami mogłabyś reklamować siuśki pandy i wszyscy by się na nie rzucili. Każda kobieta oddałaby połowę życia, żeby mieć takie włosy. – Patsy potrząsnęła głową. – Bez względu na to, jakie są twoje zapatrywania, laleczko, pieniądz to pieniądz. – Spojrzała uważnie na Dalię. – W ten sposób twój tegoroczny dochód osiągnie sumę trzech milionów siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy. Dodaj do tego show Boba Hope'a, gościnne występy na Broadwayu i już masz cztery miliony jak nic. Nie rzucaj ich w błoto.

– Ja niczego nie rzucam w błoto – powiedziała Dalia z oburzeniem.

– Zrobisz to, jeśli odejdziesz od Jerome'a – odezwała się z naciskiem Patsy. – Stracisz wtedy półtora miliona. A jeśli to nie jest rzucanie pieniędzy w błoto, to nie wiem, jak to inaczej nazwać.

– Patsy – perswadowała jej Dalia – jedyna różnica pomiędzy czterema milionami a dwoma milionami i pół jest taka, że od czterech milionów będę musiała zapłacić większy podatek.

– Podatki, szmatki. Ja się martwię twoją karierą, a nie podatkami. – Patsy wyjęła cygaro z ust i wycelowała nim w Dalię. – Posłuchaj, laleczko. Masz podpisany kontrakt z St Tessier Productions i to cię zobowiązuje. Kropka. Jeśli tego nie dotrzymasz, to wszyscy zaczną mówić, że trudno jest z tobą pracować, a sama dobrze wiesz, jak szybko rozchodzą się takie wiadomości.

– Wcale nie muszą się rozchodzić, jeśli nikt nie zacznie ich rozpowszechniać.

– Nawet jeśli my troje nabierzemy wody w usta, to i tak to się rozejdzie. Zanim się zorientujesz, inni producenci będą się bali z tobą pracować. A tego byś chyba nie chciała? – Patsy uczyniła dramatyczną przerwę, po czym przeszła na ton dobrej babuni. – Długo rozmawiałam z Jerome'em przez telefon. Wiesz, że on nadal bardzo cię kocha.

Dalia nie odzywała się.

– Uwierz mi, mogłabyś trafić o wiele gorzej – kontynuowała Patsy. – Jest przystojny, w miarę uczciwy i ciężko pracuje. Jest to rzadkie w każdym związku, a jeszcze rzadsze w naszym biznesie, gdzie każdy tylko patrzy, komu poderżnąć gardło. Czego jeszcze możesz wymagać?

– Wymagam zrozumienia dla mojego pochodzenia i kierunku, w jakim zmierzam. Chcę, żeby mnie brano pod uwagę, a nie sumę dolarów i długość taśmy filmowej.

– Czy pojawił się ktoś inny w twoim życiu?

Dalia potrząsnęła przecząco głową.

– Nie – odpowiedziała żałośnie.

– No to wszystko jasne – w głosie Patsy brzmiało zadowolenie. – Nadal go kochasz. Skorzystaj z mojej rady i zatelefonuj zaraz do niego. On jest rozsądnym człowiekiem. Powiedział mi, że gotów jest ci wybaczyć twój... twój wybuch gniewu, jeżeli...

– Chwileczkę, Patsy – warknęła Dalia. – Wcale nie chcę, żeby mi przebaczano. – Pochyliła się, mrużąc swoje zielone oczy. – Jakie przedstawienie odegrał przed tobą Jerome?

– Nie było nic takiego. – Patsy nadal paliła swoje cygaro. – Mówił, że mieliście małą sprzeczkę, ale jednocześnie zapewnił mnie, że to nic poważnego.

Głos Dalii był teraz ostry jak brzytwa.

– Czy powiedział ci, o co nam poszło?

– Mówił, że miało to jakiś związek z finansowaniem filmu.

– To prawda – przytaknęła Dalia. – On chce wziąć pieniądze od Arabów, a ja się tym nie splamię.

– Arab, szmarab – Patsy niecierpliwie zamachała cygarem. – To jest biznes, laleczko, i tak należy to traktować. Nie mieszaj tego z osobistymi zapatrywaniami. W tym biznesie liczy się tylko twój profesjonalny wizerunek. Nikogo nie interesuje, skąd pochodzą pieniądze. Liczy się tylko to, na co one idą. Poza tym film Jerome'a będzie wielkim sukcesem, znajdzie swoje miejsce w historii kina.

– W takim razie zajmie to miejsce beze mnie. – Dalia dumnie podniosła głowę. – Nie wystąpię w filmie finansowanym przez Arabów. Na tym kończymy dyskusję. – Oparła się wygodnie, założyła ręce na piersiach i chłodno spojrzała na Patsy. – Wyobrażałam

sobie, że właśnie ty powinnaś to zrozumieć. Czy zapomniałaś już, że jesteś Żydówką? – spytała.

Patsy zjeżyła się.

– Fakt, że urodziłaś się w Izraelu, nie świadczy o tym, że jesteś bardziej żydowska niż ja! – powiedziała oburzona. – Tacy *sabra* jak ty nie są jedyni na rynku judaizmu.

– Nigdy tego nie mówiłam. Ale żyłam bliżej problemu arabskiego niż ty. To mojego, a nie twojego brata rozerwała ich bomba.

Głos Patsy nabrał uspokajających tonów.

– Wiem o tym, laleczko...

Dalia zesztywniała.

– Na litość boską, przestań nazywać mnie laleczką! – krzyknęła ze złością. – Nie jestem twoją laleczką. Tak się składa, że na imię mam Dalia.

Patsy patrzyła na nią w milczeniu. Wiedziała, że posunęła się za daleko.

– A więc Dalia – powiedziała szybko. – Dalia, proszę cię, bądź rozsądna...

– Nie, to ty bądź rozsądna – rzuciła Dalia. – Idź do domu i przemyśl to, co ci powiedziałam. Choć raz postaraj się postawić na moim miejscu. Byłoby jeszcze lepiej, gdybyś wzięła sobie parę miesięcy wolnego i pomieszkała przez ten czas w Izraelu. Dopiero po powrocie, dopiero wtedy mogłabyś mi mówić, co powinnam, a czego nie powinnam robić ze względu na swoje przekonania.

– To dlaczego ciebie tam teraz nie ma? – odparowała Patsy. – Jeśli mnie pamięć nie myli, to od lat prowadzisz luksusowe życie w tym kraju. Jeśli jesteś tak silnie związana z Izraelem, to dlaczego nie zamieszkasz tam na zawsze? Czy nie jesteś przystosowana do trudnego życia?

– Dlaczego mnie tam teraz nie ma? – powtórzyła cicho Dalia, mówiąc bardziej do siebie niż do Patsy. Oczy jej przybrały zamyślony wyraz. – Wiesz, to jest bardzo dobre pytanie. – Wolno pokiwała głową. – To również mnie daje domyślenia. – Wstała z kanapy. – Proszę cię, Patsy, idź do domu – powiedziała zmęczonym głosem. – Idź spać. Mam jeszcze mnóstwo roboty z pakowaniem.

– Dalia...

– Ta sprawa jest zamknięta – powiedziała chłodno Dalia. – Czy muszę ci przypominać, że jako mój agent powinnaś stać po mojej stronie i pracować wyłącznie dla mnie? Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek była zatrudniana jako przedstawicielka Jerome'a St. Tessier.

Patsy patrzyła zdumiona.

– Ja... rozumiem, że jesteś w złym humorze, la... Dalia – powiedziała szybko. – Musisz to jednak przemyśleć. – Schyliła się pod stół, usiłując znaleźć swoje pantofle. Próbowała się uśmiechnąć, ale bez zbytniego powodzenia. – Czy nie uważasz, że powinnyśmy porozmawiać za kilka dni, kiedy obie trochę ochłoniemy?

Kiedy Patsy zniknęła, Dalia nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Dobrze wiedziała, dlaczego się tak szybko wyniosła.

Chodziło jej o podstawowy wskaźnik – dolary i centy. Prowizja od dwóch i pół miliona dolarów wyniosłaby ćwierć miliona. Jerome czy nie Jerome, Patsy dobrze wiedziała, czego ma pilnować. Nie miała zamiaru rezygnować z kury, która znosiła jej złote jajka – a już na pewno nie z powodu różnicy zdań w sprawach religijnych czy politycznych.

Zachowała się jak prawdziwy agent, pomyślała Dalia. Potrząsnęła z westchnieniem głową. Tak to jest z agentami. Mogą

sprzedać własną matkę, jeżeli zapewni im to prowizję. Tak właśnie robiła Patsy.

Słońce zaszło dwie godziny temu. Duży pokój, z wyposażeniem wartym pół miliona dolarów, pogrążony był w mroku. Zasłony z surowego jedwabiu dokładnie odcinały widok na błyszczący światłami Manhattan. Ten obrazek zawsze fascynował Nadżiba al-Ameera, ale tym razem nie chciał na niego patrzeć. Na olbrzymim ekranie telewizora Sony oglądał jeden z pierwszych filmów Dalii Boralevi – „Mieć i zatrzymać". Na trzech pozostałych, wmontowanych z boku ekranu telewizorach, szły jednocześnie trzy inne taśmy. Nadżib nie chciał, żeby cokolwiek, nawet ten wspaniały widok za oknem, odwracało jego uwagę od ekranu.

Na jednym z mniejszych telewizorów szła czarno-biała taśma, na której zmontowane były zbliżenia ze wszystkich starych filmów Tamary.

Na ekranie aparatu znajdującego się poniżej ukazywały się fotografie prasowe, wywiady nagrane na wideo oraz wiadomości z dziennika dotyczące Daniego ben Yaacov.

Wszystkie te obrazy stanowiły pożywkę dla nienawiści, jaką odczuwał Nadżib. Były częścią zemsty, którą zaprzysiągł dawno temu.

W milczeniu wpatrywał się w ekran.

Dotknął przycisku pilota wmontowanego w oparcie białej skórzanej kanapy i wyciszył dźwięk. Wystarczał mu sam obraz.

Na dużym ekranie dominowała Dalia. Była niezwykle piękna; wysokie kości policzkowe i przedziwne oczy odziedziczyła po matce, a sposób, w jaki dumnie trzymała głowę, był dziedzictwem po ojcu.

Tamara, królowa ekranu w latach trzydziestych, była nierealną pięknością, ze swoimi prawie białymi włosami anioła. Wysokie, słowiańskie kości policzkowe w połączeniu z niezwykłymi oczami sprawiały, że jej twarzy nie można było zapomnieć.

Jej mąż, Dani, eks-ambasador w Niemczech i w Wielkiej Brytanii, miał przystojną, bardzo męską twarz, która w połączeniu z jego eleganckim sposobem bycia robiła duże wrażenie. Taki typ mężczyzn jest marzeniem każdego dyrektora castingu, poszukującego aktorów do roli dyplomaty. Mówiono również o jego związkach z Mosadem. Z tej spokojnej sylwetki emanowała ukryta siła, a swoją obecnością wywoływał niepokój.

I wreszcie ten najstarszy, Szmaria Boralevi, kryjący się przed kamerami, którego udało się sfilmować tylko kilka razy. Zupełnie nie zwracał na siebie uwagi, gdziekolwiek się pojawił – wyglądał na zwykłego turystę. Człowiek, którego dziadek Nadżiba uratował od śmierci i który przez pewien czas regularnie odwiedzał wioskę, przynosząc podarunki i pozyskując ich przyjaźń. Człowiek będący przywódcą tej przeklętej osady niewiernych, która napadła na ich wioskę, zabijając jego siostrę.

Jego siostrę. Iffat.

Nadżib starał się przywołać jej obraz, ale po tylu latach niebyło to łatwe. Jej twarz została tylko niejasnym wspomnieniem, blaknącym z każdym przemijającym rokiem.

Wszystkiemu winni byli Żydzi. Gdyby jej nie zabili, żyłaby do dzisiaj.

Nadżib miał ściągniętą twarz, a usta drgały mu niespokojnie.

Przez ostatnie dwadzieścia jeden lat wszystko układało mu się doskonale. Wyrósł na przystojnego mężczyznę, który nosił się iście po królewsku. Nie było najmniejszej wątpliwości, że reprezentuje

ogromne bogactwo i władzę. W jego dumnej, spokojnej twarzy jedynie oczy miały czujny wyraz. Dzięki komfortowemu trybowi życia jego skóra pozostała gładka, i tylko gęste, czarne włosy, przyprószone siwizną na skroniach, były oznaką upływającego czasu. Nosił je zaczesane do tyłu. Jego jedwabnej piżamy i dopasowanego do niej szlafroka, a także pantofli robionych na zamówienie u Sulka, nie powstydziłby się sam szach. To samo można było powiedzieć o jego bogactwie. Ostatnie obliczenia wskazywały wyraźnie, że jego osobista fortuna zamyka się w niesłychanej sumie czterystu do pięciuset milionów dolarów, a co ważniejsze, pod jego bezpośrednią kontrolą znajdowały się miliardy. Wszystko to osiągnął dzięki swojemu talentowi do interesów, bliskim związkom z potężnymi Arabami oraz władzy Abdullaha. Przyczyniły się do tego również bogate złoża ropy na Bliskim Wschodzie.

W stosunkowo młodym wieku, czterdziestu dwóch lat, Nadżib należał do władców międzynarodowego kapitału, z miliardami petrodolarów do swojej dyspozycji. Przyzwyczajony do międzykontynentalnych podróży, zmieniał strefy czasowe z taką samą łatwością, z jaką inni ludzie wsiadają do autobusu, żeby pojechać do pracy. Robił to bez kłopotu, nie licząc się z rozkładem lotów żadnych linii lotniczych. Był przecież właścicielem prywatnego Boeinga 727–100 i właśnie z jego pokładu kontrolował przeważnie swoje interesy. Gdziekolwiek się obrócił, otoczony był luksusem. Na pokładzie jego samolotu znajdowała się sypialnia z ogromnym łożem, wyposażonym w pasy na wypadek lotu przy złej pogodzie, kuchnia, pokój dzienny, gdzie mieściło się dwadzieścia osób. Miał również okrągłą wannę jacuzzi, z regulowanym krążeniem prądów wody. Wspaniale było podróżować siedząc w tej wannie i patrząc

przez szybę na morze chmur dokoła. Posiadał dwa odrzutowce Lear, całą flotę helikopterów oraz ogromny jacht, przycumowany u wybrzeży Morza Śródziemnego.

Jego własnością był również letni dom zbudowany wysoko na chłodnych wzgórzach Libanu, pałac w stylu mauretańskim w Tangerze, dwadzieścia tysięcy akrów rezerwatu zwierzyny w Kenii, prywatna Wyspa, dwie wille na południu Francji oraz dom w Beverly Hills, który niegdyś był własnością Tamary. Jednak najbardziej okazały był jego tutejszy pałac, a dokładnie cztery szczytowe piętra Tramp Tower, jeden z najlepszych, najbardziej prestiżowych i luksusowych adresów w Nowym Jorku, a może i na całym świecie. Ze wszystkich czterech pięter i ze wszystkich czterech stron widział błyszczące światłami miasto. Jeśli ktoś mógłby mu zazdrościć wanny w prywatnym odrzutowcu, to co powiedziałby na widok krytego basenu, z którego roztaczał się widok na Central Park?

Na początku bogactwo wzrastało powoli. Kiedy jednak zarobił swój pierwszy milion, fortuna zaczęła rozrastać się w postępie geometrycznym. Z jednego miliona zrobiło się zaraz dziesięć, a dziesięć prawie bez wysiłku rozrosło się w sto milionów. Chociaż Nadżib „przyciągał" do siebie złoto, jeszcze większą rolę odegrał fakt, że miał dużo szczęścia. Nigdy przedtem nie było tak sprzyjającego okresu dla powstawania fortun jak pod koniec lat pięćdziesiątych. Okres ten przeciągnął się aż do połowy lat siedemdziesiątych. Nowoczesny system komunikacji i wielki popyt na ropę otworzyły wszechstronne możliwości dla międzynarodowego handlu. Świat znalazł się w zasięgu ręki; dzięki samolotom odrzutowym czas międzykontynentalnego lotu skurczył się dopięciu godzin, a za pomocą zwykłego telefonu można było porozumiewać się z całym światem i negocjować najlepsze kontrakty.

Pozycja Nadżiba al-Ameera w świecie multimilionerów była nienaruszona. Zawdzięczał ją wyjątkowemu talentowi przewidywania i podejmowania właściwych decyzji. Jako jeden z pierwszych zainwestował w budowę lotnisk w Silicon Valley, jak również przewidział rozwój wysokiej technologii japońskiej, jeszcze zanim zdążyła się rozwinąć. Wiedział dokładnie, kiedy kupować, a kiedy sprzedawać tankowce.

Pierwszej inwestycji dokonał w 1963 roku. Najpierw załatwił sobie prawo wyłączności na eksport ropy z dwóch niewielkich, lecz bogatych emiratów, a następnie zwrócił się do nowojorskich bankierów o pożyczkę. Na podstawie kontraktów zawartych z emiratami bez większych trudności pożyczył czterdzieści milionów dolarów, za które kupił tankowce. Po dwóch latach pewna japońska stocznia, w której posiadał udziały, zbudowała dla niego największy tankowiec na świecie. Zaraz potem osiągnął swój największy sukces.

Szejkowie nie mieli zaufania do cudzoziemców chcących uzyskać dostęp do ich ropy. Nadżib postarał się zająć miejsce pomiędzy szejkami a przedstawicielami korporacji. Kiedy Wielka Brytania i potężne korporacje amerykańskie postanowiły zawrzeć z krajami arabskimi umowy dotyczące sprzedaży ropy, okazało się, że najpierw muszą udać się do Nadżiba. Biznes ten stał się jego największym źródłem dochodu. Nie inwestując ani centa z własnego kapitału, zajmując się wyłącznie pośredniczeniem, zbierał co roku miliony dolarów z prowizji. W tym czasie zyskał sobie przydomek Pan Pięć Procent. Ilość posiadanych przez niego pieniędzy spowodowała, że stał się prawdziwą potęgą. Wszyscy możni tego świata starali się pozyskać jego przyjaźń. Spędzał czas zarówno z władcami Kremla, jak i z najwyższymi urzędnikami w Waszyngtonie.

Po pewnym czasie był właścicielem czterdziestu średniej wielkości przedsiębiorstw, z których stworzył jedną potężną korporację.

W 1965 roku miał już ćwierć miliarda dolarów i szybko doszedł do pół miliarda. W 1970 – był najbardziej znanym Arabem na świecie. Jego uśmiechnięta twarz ukazywała się w mediach równie często, jak wizerunki szacha czy króla Arabii Saudyjskiej. Jego życie nie miało dla nikogo tajemnic. Kiedy po dwunastu latach małżeństwa rozwiódł się z Yasmin, pięćdziesiąt milionów dolarów, które jej zostawił, widniało w nagłówkach gazet w Nowym Jorku, Sydney, Londynie, a nawet w Moskwie. Jego romanse ze znanymi pięknościami były stałym tematem magazynów ilustrowanych.

Ale życie Nadżiba tylko z pozoru nie miało żadnych tajemnic. Ludzie, z którymi się kontaktował, znali go jako bezwzględnego biznesmena. Nikt nie wiedział, że pomimo swoich milionów dolarów Nadżib nie był panem siebie.

Wszyscy zazdrościli mu bogactwa, ale nikt nie przypuszczał, że jest on tylko marionetką w rękach Abdullaha. Nadżib zdawał sobie sprawę z tego, że on, największy rekin wśród rekinów biznesu, może zostać bardzo szybko pożarty. Wystarczyłoby jedno publiczne oświadczenie Abdullaha. Gdyby popadł w jego niełaskę, całe gromadzone przez niego imperium rozpadłoby się jak domek z kart.

Wielokrotnie przeklinał w myślach diabelski pakt, który zawarł z wujem, a z którego nie widział żadnego wyjścia. Związany był przysięgą krwi, którą tak ochoczo złożył w latach młodości.

Zdawał sobie sprawę, że układ z Abdullahem przyniósł mu wiele korzyści. Dzięki niemu zdobył wykształcenie na Harvardzie i umożliwiono mu start w biznesie. Abdullah nie na darmo zainwestował w niego, i zbierał teraz swoje żniwo.

Nadżiba coraz częściej przerażała bezsensowna przemoc, która była królestwem wuja. Wydawało się, że władza uderzyła Abdullahowi do głowy. Podejmował coraz bardziej ryzykowne i coraz bardziej krwawe zadania. Chociaż jego grupa nie była duża, stanowiła siłę, z którą należało się liczyć.

Nadżib siedział zamyślony. Przestał śledzić akcję na ekranie telewizora. Po jakimś czasie ocknął się z letargu.

Zbliżał się koniec rodziny Boralevi i ben Yaacov.

Po trzydziestoletnim oczekiwaniu na możliwość wykonania zemsty na rodzinie Szmarii Boralevi, był już blisko celu.

Przypuszczał, że Abdullah dawno o wszystkim zapomniał, ale parę dni temu otrzymał wiadomość o możliwości rozpoczęcia akcji.

Cała rodzina Szmarii Boralevi miała zostać po kolei unicestwiona.

Swoistym zrządzeniem losu był również telefon, który otrzymał kilka godzin wcześniej. Szedł na przyjęcie i właśnie ubierał się w swojej obszernej, przylegającej do sypialni garderobie, kiedy zadzwonił telefon. Dzwoniono na jego prywatny, zastrzeżony numer.

– Tak? – spytał, włączając urządzenie uniemożliwiające podsłuch rozmowy z innych aparatów, znajdujących się w jego apartamencie.

– Mam wiadomości – odezwał się znajomy głos z silnym akcentem z Brooklynu.

Nadżiba ogarnęło podniecenie. Spojrzał w kierunku sypialni, czy nie ma tam któregoś ze służących.

– Czy włączyłeś zagłuszanie? – spytał cicho.

– Tak.

– Jakie masz wiadomości?

– Dalia Boralevi wyprowadziła się z Bond Street. Mieszka teraz na Central Park West.

– I co dalej?

– Dziś po południu odjechała gdzieś samochodem. Jeden z moich ludzi pojechał za nią.

– No i?

– Pojechała do motelu na Cape Cod.

– Ty to nazywasz wiadomościami? – uciął ze złością Nadżib. Odetchnął głęboko, aby nie dać się ponieść atakowi gniewu. – Otrzymałeś instrukcje, żeby zawiadomić mnie o jakiejś wyjątkowej podróży, przede wszystkim zamorskiej. – Wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Dlatego właśnie dzwonię – odezwał się z lekka obrażony głos. – Za tydzień leci do Izraela.

Nadżib był zaskoczony.

– Do Izraela, mówisz?

– Tak. Jedzie na ślub swojego brata. Będzie to wielki zjazd rodzinny. Mam rozkład jej lotów, jeśli to pana interesuje.

– Tak, interesuje mnie. Jak się o tym dowiedziałeś? – spytał.

– Od sekretarki jej agenta. Jest to paskudna, opryskliwa baba, ale jeśli mężczyzna podejdzie do niej w odpowiedni sposób, to wszystko mu wygada.

– Co jej powiedziałeś? – spytał czujnie Nadżib.

– Właściwie nic – jego rozmówca zaśmiał się ochryple. – Nie musiałem jej nic mówić. Uznała mnie za reportera z prasy brukowej.

– To dobrze – powiedział Nadżib. – Jeśli zdarzy się coś ciekawego, daj mi natychmiast znać. Dostałeś już czek za swoje usługi w zeszłym miesiącu?

– Tak. Dostałem.

– W takim razie dostaniesz premię.

Nie mówiąc nic więcej, Nadżib odłożył słuchawkę.

Wszystko to wydarzyło się kilka godzin wcześniej. Po otrzymaniu tych wiadomości zatelefonował do gospodarzy przyjęcia, przepraszając ich, że odwołuje wizytę w ostatniej chwili. Zaraz potem poszedł na trzecie piętro do pokoju telewizyjnego obejrzeć taśmy wideo. Spędził tam dwie godziny, rozmyślając o długo oczekiwanej, a mającej wkrótce nadejść zemście.

Zdumiony był faktem, że nie odczuwa wielkiej radości. Zawsze uważał, że moment ten będzie dla niego ukoronowaniem całej poprzedniej działalności. Przez wiele lat żył tylko myślą o zemście.

A teraz? Nie był nawet pewny swoich uczuć. Przeszłość wydawała mu się bardzo odległa, tak odległa jak zamazane rysy Iffat, których już nie był w stanie sobie przypomnieć. Sprawy, które przedtem wydawały się ważne, były teraz niezbyt istotne. Ich miejsce zajęły inne. Nadżib wierzył kiedyś, że myśl o zemście będzie towarzyszyła mu zawsze, ale okazało się to nieprawdą. Najważniejszą dla niego rzeczą była teraz potęga finansowa i pozycja, jaką zdobył w społeczeństwie. Był jednak w pułapce. Przed laty złożył przysięgę Abdullahowi i ślubował zemstę.

Telefon odezwał się znowu. Nadżib spojrzał na kontrolkę wbudowaną w kanapę. Znowu odzywała się jego prywatna linia. Podniósł słuchawkę, uruchamiając jednocześnie zagłuszanie.

– Tak?

– *Allach akbar* – rozległ się głos Abdullaha. Jego słowa odbijały się echem, zniekształcone dodatkowo przez urządzenie zagłuszające.

Nadżibowi zimny dreszcz przebiegł po plecach. Telefon od Abdullaha, wkrótce po rozmowie przeprowadzonej z detektywem, nie był sprawą przypadku.

– Nie jesteś zadowolony z mojego telefonu? – spytał Abdullah z wyrzutem w głosie.

– Zawsze jest mi miło słyszeć wuja – odpowiedział automatycznie Nadżib. – W czym mogę wujowi pomoc?

– Jestem zdziwiony, że sam się ze mną nie skontaktowałeś. Odnoszę wrażenie, że masz dla mnie jakieś wiadomości.

Nadżib popatrzył na migający ekran telewizora. Wiedział, o czym mówi Abdullah. Przez swoich szpiegów dowiedział się już o rozmowie, jaką Nadżib przeprowadził z detektywem.

– Tak – powiedział. – Właśnie miałem do wuja telefonować.

– To dobrze. Nie dopuszczam do siebie myśli, że tak bardzo zmieniłeś się przez ostatnie lata.

– Skąd wuj się o tym dowiedział?

– Mam swoje metody. Nie zmieniłeś postanowienia? – spytał znacząco.

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Miło mi to słyszeć. Nie lubię mężczyzn, którzy łamią przysięgę krwi. Mam nadzieję, że nie zapomniałeś o tym, co spotyka ludzi, którzy mnie zawiodą?

To pytanie zakończyło rozmowę. Telefon zamilkł. Nadżib wolno odłożył słuchawkę. Patrzył nieprzytomnym wzrokiem na ekran telewizora.

Wydawało mu się, że te dobrze znane twarze kpią sobie z niego.

Nadżib al-Ameer, człowiek, którego nazwisko było synonimem bogactwa, człowiek, który podejmował prezydentów i premierów na pokładzie swojego jachtu, którego każde słowo mogło odbić się echem na międzynarodowych rynkach, siedział przerażony, oblany zimnym potem.

Coraz bardziej niepokoił go układ, jaki zawarł z wujem.

Kiedy Dalia dotarła wreszcie do Cape, czuła się zmęczona. Po drodze nigdzie się nie zatrzymywała, nie licząc tankowania w Groton i wizyty w całodobowym sklepie, oddalonym o kilka mil od motelu Inge. Wzięła w nim dwie butelki Moet i czekała na sprzedawcę, który wystukiwał coś na maszynie za ladą. Uśmiechnęła się i postawiła butelki na kontuarze. Sprzedawca skasował cenę i spojrzał na nią.

– To będzie... – przerwał zdumiony. – Jezu Chryste – szepnął. – Czy pani jest tą aktorką Dalią Boralevi?

– Tak – powiedziała Dalia.

– Niech mnie szlag trafi! – wykrzyknął. – Oglądałem niedawno w telewizji powtórkę „Mieć i zatrzymać". Widziałem to chyba już z dziesięć razy i zawsze robi na mnie wrażenie.

– Naprawdę oglądał pan ten film dziesięć razy?

– Co najmniej – uśmiechnął się. – Pierwszy raz widziałem go zaraz po premierze, ale szczerze mówiąc po siódmym razie straciłem już rachubę. Nigdy mi pani nie uwierzy, do jakiego stopnia byłem pani wielbicielem. Czy pani pamięta ten plakat ze zdjęciem w kostiumie kąpielowym?

Skinęła głową.

– Kupiłem go i powiesiłem w klubie. Dziewczynie, z którą wtedy chodziłem, bardzo się to nie podobało.

Uśmiechnęła się do niego. Pomyślała, że wygląda na członka klubu sportowego.

– Gra pan w obronie w klubie Harvardu? – usiłowała zgadnąć.

– Byłem napastnikiem w klubie Brown – powiedział. – Potem rozwaliłem sobie kolano i musiałem powiedzieć drużynie do widzenia. Tak skończyła się moja błyskawiczna kariera sportowa.

Poza graniem w piłkę zawsze chciałem pisać powieści. Pewnego dnia zacząłem się zastanawiać, co u diabła robię na tym pieprzonym kampusie i znalazłem się tutaj. Rzuciłem studia, aby napisać wielką powieść.

Przypatrzyła mu się dokładniej. Nie wyglądał ani na pisarza, ani na sprzedawcę, rączej jakby przybłąkał się tutaj prosto z oddalonej o trzy tysiące mil Kalifornii. Miał gęste, falujące blond włosy i piękną opaleniznę.

– Czy pani zostaje tutaj, na Cape? – spytał.

Skinęła głową.

– Coś pani powiem. Kończę pracę za czterdzieści pięć minut. Co by pani powiedziała na to, aby pozadawać się trochę z prostym człowiekiem? Znam pewne miejsce, którego nie zdołali jeszcze odkryć turyści. Są tam ogromne homary, każda sztuka waży trzy funty.

– Przykro mi, ale pół dnia spędziłam w drodze. – Potrząsnęła głową. – Chociaż brzmi to obiecująco.

– Może jutro?

Była zdziwiona, że poważnie zastanawia się nad tą propozycją. W innych okolicznościach nie przyszłoby jej to do głowy. Gwiazda nigdy nie zadaje się ze swoimi fanami, jeśli nie chce sprowadzić na siebie jakiegoś nieszczęścia. Świat zaludniony jest przeróżnymi wariatami. Ale ten chłopak był przystojny i wydawał się sympatyczny. Ktoś, kto był tak opalony i miał niewinne niebieskie oczy, nie mógł być zły. Poza tym, z wyjątkiem Inge, nikogo tutaj nie znała. Przyszło jej na myśl, że w męskim towarzystwie szybciej zapomni o Jerome'ie.

– Pomyślę o tym – powiedziała uśmiechając się do niego.

– Zadzwonię do pani.

Do diabła z tym wszystkim, pomyślała i skinęła potakująco głową.

– Zatrzymam się w motelu Sou'westerner. Numer znajdzie pan w książce telefonicznej. Niech pan zapyta o mnie.

– Przy okazji – powiedział z uśmiechem – powinienem się przedstawić. Nazywam się Clyde. Clyde Woolery.

Wyciągnął rękę przez kontuar i mocno uścisnął jej dłoń. Patrzyła jak wkłada butelki do brązowej papierowej torby, wsuwając do środka kawałek kartonu, aby nie uderzały o siebie.

– Jeszcze nie zapłaciłam. Ile jestem winna?

– Niech pani o tym nie myśli – machnął ręką. – Skasuję to jeszcze raz jako omyłkę. Kiedy przyjdzie czas na remanent, zapisze się je jako stłuczki. Nie będę za nie płacić.

– Dziękuję, Clyde Woolery. Jestem panu bardzo zobowiązana – powiedziała, unosząc torbę do góry.

– Nie ma za co. – Wzruszył ramionami. – Zadzwonię do pani jutro po południu.

– W porządku – pomachała ręką.

Kiedy wracała do samochodu, wdychając chłodne, przesiąknięte zapachem soli wieczorne powietrze, usłyszała stłumiony odgłos fal uderzających o brzeg. Ogarnęło ją błogie uczucie spokoju i zadowolenia. Cały tydzień odpoczynku mógł zdziałać cuda.

Umieściła torbę na przednim siedzeniu i jeszcze raz popatrzyła na sklep, zapalając jednocześnie silnik. W dobrze oświetlonym wnętrzu widać było, jak Clyde siedzi pochylony nad swoją maszyną do pisania. Widok ten sprawił jej jakąś dziwną przyjemność. Pomyślała, że chyba powinna się z nim spotkać, choćby tylko po to, aby wypić razem drinka. Zadowolona była, że nie patrzył na nią

jakby była jakąś nieziemską istotą, co często zdarzało się jej fanom. Nie był również na tyle głupi, żeby prosić ją o autograf.

Podniósł głowę i pomachał jej ręką. Wrzuciła wsteczny bieg i ruszyła z piskiem opon.

Uśmiechnęła się do siebie. Do diabła, przecież jest na wakacjach i należy się jej trochę przyjemności.

W chwili kiedy Dalia wjeżdżała wynajętym samochodem na parking, księżyc przebił się przez chmury, oświetlając wszystkie domki należące do motelu. Nie był to żaden wytworny motel. Domki były mocno zniszczone, ale wszystkie braki wynagradzał teren, czyli osiem akrów ziemi nad samym brzegiem oceanu.

Wjeżdżając na parking zobaczyła, jak podnosi się kraciasta firanka i ktoś wygląda przez okno. Za sekundę drzwi domu otworzyły się z trzaskiem i wybiegała z nich Inge, a zaraz za nią duży pies myśliwski. Dalia uśmiechnęła się do siebie. Pomimo swojego wieku, Inge potrafiła być niezwykłe szybka, wyglądała na wyższą i młodszą niż była w rzeczywistości. Jej białe włosy posplatane były w warkoczyki i poukładane na głowie. Miała na sobie bawełnianą sukienkę i tenisówki.

Kiedy Dalia wyszła z samochodu, Inge rzuciła się na nią, dusząc w uścisku.

Ta energia była niewspółmierna do jej wieku. Inge była przeciwieństwem osiemdziesięcioczteroletniej staruszki. Emanowała z niej taka witalność, jakiej nie posiada większość o wiele młodszych od niej osób. Jej twarz pokryta była siecią drobniutkich zmarszczek, ale oczy zachowały ten sam co w młodości intensywny, niebieski kolor. Mogły być równie dobrze oczami dziecka. Umysł Inge był

równie bystry jak nogi. Miała również wyjątkowe poczucie humoru i ogromne, kochające serce. Ani wiek, ani fakt, że mieszkała już na trzech kontynentach, nie osłabił jej siły witalnej. Bez względu na to, gdzie się znalazła, natychmiast wspaniale adaptowała się w nowym środowisku, nawet wtedy, kiedy musiała zaczynać życie od nowa.

– Dalia! *Liebchen!* – krzyczała Inge, trzymając ją mocno w objęciach. – Tak się cieszę, że mogłaś przyjechać! Tak dawno cię nie widziałam!

Pies, chcąc zwrócić na siebie uwagę, skakał, opierając się co chwila łapami na ramionach Dalii, i lizał ją po twarzy. Dziewczyna bezskutecznie odwracała głowę.

– Nie skacz, Happy – zawołała ze śmiechem. – Przestań skakać.

Happy posłusznie zaprzestał swoich harców i usiadł obok niej ciężko dysząc.

– Czy wszystko u ciebie w porządku? – spytała Inge, biorąc Dalię za rękę. – Miałaś taki smutny głos, kiedy dzwoniłaś.

– Na szczęście nic poważnego się nie stało.

Inge spojrzała na nią uważnie.

– Zawsze poznam po twoim głosie, kiedy coś jest nie w porządku.

– To nie żaden wielki dramat – Dalia starała się ją przekonać. – Naprawdę.

– Nie trzeba żadnego wielkiego dramatu, żeby kompletnie wyprowadzić człowieka z równowagi.

– Później ci wszystko opowiem – Dalia pocałowała ją czule. – Wyglądasz wspaniale. Niech ci się lepiej przyjrzę. Jak ty to robisz, zupełnie się nie postarzałaś!

– Kłamiesz jak najęta – powiedziała Inge. – Wiesz, że mam siedemdziesiąt dziewięć lat i dokładnie na tyle wyglądam.

Widać było jednak, że komplementy sprawiły jej przyjemność.

– Teraz to ty kłamiesz jak najęta – powiedziała Dalia żartobliwie. – Wiem z dobrego źródła, że masz osiemdziesiąt cztery lata, a trzeciego września skończysz osiemdziesiąt pięć.

Inge podniosła głowę do góry.

– To dowodzi, że wtykałaś nos w sprawy, które wcale nie powinny cię obchodzić.

– Dlaczego miałabym to robić? Mam zapisane wszystkie daty urodzin w swoim kalendarzu – powiedziała Dalia. – Informacje te pochodzą od mojej matki, która nigdy się w tych sprawach nie myli.

Inge spuściła oczy.

– Nawet twoja matka może pomylić daty – powiedziała cierpko.

Zanim Dalia zdążyła coś odpowiedzieć, Happy zaczął skomleć, a potem szczekać, aby zwrócić na siebie uwagę. Spojrzała na niego. Tak mocno machał ogonem, że porobił rowki w żwirze, którym wysypany był parking.

– Już dobrze, dobrze – powiedziała pieszczotliwie, kucając obok niego.

Poczuła zapach perfumowanego proszku na pchły.

– Czy dbasz o Inge? – spytała, obejmując go za szyję.

Pies przechylił głowę, nasłuchując. Po chwili podał łapę, którą Dalia potrząsnęła z powagą. Podniosła się, wyciągnęła z samochodu torbę i zatrzasnęła drzwiczki.

Inge nie powróciła więcej do drażliwej dyskusji na temat wieku.

– Będziesz miała ten sam domek co zawsze – powiedziała, kiedy szły w kierunku jej biura. – Nigdy go nie wynajmuję.

– Wiesz przecież, że nie musisz trzymać go dla mnie.

– Oczywiście, że nie muszę – powiedziała Inge z irytacją w głosie – ale chcę. Chcę, żeby zawsze był pusty na wypadek twojego

niespodzianego przyjazdu. Właśnie został świeżo pomalowany, jest cały niebieski, tak jak lubisz. Uszyłam też nowe firanki.

Dalia spoglądała na oświetlone księżycowym blaskiem domki. Przed każdym z nich, z wyjątkiem tego przeznaczonego dla niej, stał samochód. Nie był to dzień świąteczny, a mimo to gości było pełno.

– Nie powinnaś trzymać pustego domku tylko dla mnie, Inge – skarciła ją Dalia. – Wiem, że mogłabyś go wynająć. Ja przecież mogę spać w biurze na rozkładanej kanapie.

– Co za różnica, czy wynajmę je wszystkie, czy zatrzymam jeden dla ciebie? – Inge wzruszyła ramionami. – Jestem starą kobietą i nie są mi potrzebne dodatkowe pieniądze. Mam ich więcej niż będę w stanie kiedykolwiek wydać.

– Nikt nie ma więcej niż może wydać – odpowiedziała Dalia.

– Kiedy jest się w moim wieku, to tak właśnie jest. Co mam kupować? Ubranie? Wszystko szyją dla młodszych kobiet. Naczynia? Mam ich tak dużo, że nie mieszczą mi się w kuchni. Biżuterię? Nie noszę żadnej biżuterii, poza prezentami od ciebie. Nowy samochód? Nie mogę już prowadzić samochodu. Nie chcą odnowić mojego prawa jazdy.

Inge otworzyła drzwi swojego domku. Dalia szła tuż za nią. Przytrzymała otwarte drzwi, żeby wpuścić Happy'ego, ale pies wolał zostać na dworze.

– Dam ci klucz, żebyś mogła pójść zaraz do swojego bungalowu – powiedziała Inge. – Nic w nim nie zmieniłam po twoim ostatnim pobycie. Otha posprzątała tam dzisiaj.

Inge weszła za ladę i wyjęła klucz z szafki wiszącej na ścianie.

– Zanim odświeżysz się po podróży, zdążę przygotować coś do zjedzenia.

Dalia obracała powoli stojak z błyszczącymi pocztówkami z Cape Cod. Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie rób sobie kłopotu. Jest późno i powinnaś położyć się spać.

– To żaden kłopot – stwierdziła Inge. – Poza tym lubię długo siedzieć w nocy. Moim jedynym zmartwieniem jest to, że nie mam po co. Turyści idą wieczorem do restauracji albo na tańce i nie ma z kim rozmawiać. Wszystkie filmy, które pokazują w telewizji, znam już od dawna. – Podała klucz Dalii. – Idź i umyj się. Za pół godziny będziesz miała gotowy *Kaiserschmarnn*.

– Moje ulubione danie, zawsze o tym pamiętasz.

– Oczywiście, że pamiętam – powiedziała ze zniecierpliwieniem Inge. – Może jestem stara, ale mój umysł jest jeszcze w wieku przedemerytalnym.

Dalia weszła pod prysznic. Strumienie gorącej wody zmywały zmęczenie z jej ciała, a para wypełniająca kabinę dawała uczucie odprężenia. Po tylu godzinach siedzenia w samochodzie kąpiel była prawdziwym odpoczynkiem.

Dopiero po piętnastu minutach zorientowała się, że końce palców ma pomarszczone tak, jakby cały dzień spędziła na zmywaniu naczyń. Zupełnie straciła poczucie czasu, co często zdarzało się jej podczas kąpieli.

Zebrała całą odwagę i zakręciwszy gorącą wodę, puściła zimną. Krzyknęła, kiedy dosięgnął ją lodowaty strumień. Wyszła z kabiny szczękając zębami, ale była całkowicie rozbudzona.

Wytarła się do sucha olbrzymim ręcznikiem frotte w paski, po czym owiązała go na sobie jak sarong. Z mniejszego ręcznika szybko

zrobiła sobie turban na głowie. Włosami mogła zająć się później. Teraz zależało jej na tym, aby posiedzieć trochę razem z Inge.

Kiedy spojrzała na budzik, ze zdziwieniem zobaczyła, że było już wpół do dwunastej.

Zaczęła się spieszyć. Włożyła szerokie jedwabne spodnie i taką samą bluzę. Nie zdejmując turbanu z włosów ruszyła szybko w kierunku domku Inge, po drodze zabierając z samochodu dwie butelki szampana.

Inge zdążyła już nakryć do stołu. Aromat piekącego się ciasta mieszał się z zapachem syropu malinowego. Happy siedział w kącie, uważnie obserwując piecyk.

Inge obróciła się, machając drewnianą łyżką.

– Przyszłaś w samą porę – zawołała. – Już zrobiłam *Kaiserschmarnn* i trzymam go w piekarniku.

– Przywiozłam szampana. – Dalia wręczyła jej torbę. – Ale zapomniałam o nim i leżał przez cały czas w samochodzie. Pewnie jest już ciepły.

– Butelki są jeszcze chłodne, ale włożę je zaraz do kubełka z lodem – powiedziała z uśmiechem Inge. – Szampan do *Kaiserschmarnn*. Psujesz mnie, Dalia. Zawsze traktujesz mnie jak księżniczkę.

Podczas kolacji Dalia opowiedziała Inge o swoim rozstaniu z Jerome'em i z każdą chwilą traciła dobry humor. Prawie nie jadła swojego ulubionego dania, specjalnie przyrządzonego omletu z rodzynkami. A był on naprawdę wspaniały, puszysty, posypany cukrem pudrem i polany domowym syropem malinowym. Pod stołem podawała kawałki omletu psu.

Inge też nie jadła. Jej zwykle ożywiona twarz nabrała smutnego, poważnego wyrazu.

– Wyglądasz tak, jakby cały świat się zawalił – powiedziała Dalia. – Proszę cię, nie bądź taka smutna.

– Nic nie mogę na to poradzić. – Inge zamrugała oczami. – Widzę, że cierpisz i przez to sama czuję się okropnie.

– Patsy powiedziałaby, że wszystko to szybko minie – Dalia uśmiechnęła się z trudem. – Musi potrwać jakiś czas, ale potem na pewno dojdę do siebie.

– Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa. – Inge pociągnęła nosem. – Nie jest to chyba wygórowane żądanie.

– Obawiam się, że tak – odpowiedziała drżącym głosem Dalia. – Ale nie martw się. Wyjdę z tego. Pomoże mi fakt, że jestem Żydówką. Cokolwiek nas dotknie, zawsze idziemy do przodu.

– Prędzej czy później, ale na pewno spotkasz odpowiedniego mężczyznę.

– Może. – Dalia spojrzała Inge w oczy. – A może i nie. Wiele kobiet spotkało swoich mężczyzn, ale jest również bardzo dużo starych panien...

Dalia spostrzegła, że Inge zesztywniała, nie dokończyła więc zdania. Zapanowała nagła cisza. Dalia przygryzła wargi. Ogarnęło ją poczucie winy. Potrząsnęła głową.

– Przepraszam, Inge. Nie chciałam...

Znowu zapanowało milczenie. Na twarzy Inge ukazał się smutny uśmiech.

– Wiem, że nie chciałaś – powiedziała łagodnie. – Zapomnijmy o tym, dobrze?

Inge nigdy nie spotkała właściwego mężczyzny, a nawet nie zdarzyło się jej trafić na żadnego nieodpowiedniego. Niektórzy ludzie skazani są na to, aby samotnie przejść przez życie. To właśnie

spotkało Inge. Nigdy się nie skarżyła, zachowując swoje myśli dla siebie.

Niech to szlag trafi, pomyślała Dalia. Dlaczego to powiedziałam? Kocham Inge i nie chcę robić jej przykrości.

– Jest już późno – powiedziała Inge, wstając od stołu. – Idź do siebie i prześpij się trochę. Jutro porozmawiamy.

Dalia skinęła głową, ucałowała Inge i pobiegła do swojego domku.

Następnego ranka Otha zasiadła w recepcji, a Dalia z Inge poszły plażą na długi spacer. Clyde Woolery zatelefonował wczesnym popołudniem, zaraz po tym, jak skończyły jeść lunch.

– Czy pamięta pani pewnego podrzędnego sprzedawcę? – spytał.

– Oczywiście. Pamiętam obiecującego, młodego autora – odpowiedziała Dalia. – Co słychać?

– Nudy, nudy, nudy. Miałem nadzieję, że pomoże mi pani wybrnąć z tej stagnacji.

– Pisanie na pewno dobrze panu idzie – roześmiała się. – Nie jest tam wcale nudno, tylko spokojnie.

– Zastanawiam się – powiedział – czy nasze spotkanie jest nadal aktualne?

– Mówi pan tak, jakbyśmy byli niewinnymi dziećmi – roześmiała się głośno. – Tak, z przyjemnością spotkam się z panem.

– Czy godzina siódma pani odpowiada? Proszę pamiętać, że nie jest to Nowy Jork. U nas życie zamiera o jedenastej wieczorem.

– W porządku.

– I proszę się nie stroić. Zwyczajne ubranie będzie bardziej odpowiednie.

– Może pan tego żałować – roześmiała się znowu.

– Wątpię. – On również się śmiał. – Przyjadę po panią i proszę się nie martwić – miejsce, do którego chcę panią zabrać, jest tak zacofane, że nikt tam pani nie rozpozna.

Dalia uśmiechnęła się do siebie.

Inge obserwowała ją z odległego końca pokoju. Nie mogła pohamować ciekawości.

– Wydaje się, że jest to bardzo miły młody człowiek – powiedziała. – Bardzo uprzejmy.

– Jeśli chcesz się w ten sposób czegoś ode mnie dowiedzieć, to ostrzegam cię, że ja również mam swoje metody.

– Nie musisz być taka nieprzyjemna – powiedziała niewinnie Inge. – Możesz mieć swoje sekrety, nic mi do tego. Mam wiele innych rzeczy na głowie.

Powiedziawszy to, Inge podeszła do zlewu, udając zainteresowanie zgromadzonymi tam naczyniami.

Dalia zbliżyła się do niej i obserwowała przez chwilę, jak usiłuje czyścić zupełnie nie używaną miedzianą miskę.

– W porządku – roześmiała się Dalia. – Powiem ci wszystko, co cię interesuje. Nie będziesz musiała przygotowywać dla mnie obiadu, bo on zabiera mnie do restauracji.

Inge z lekka się udobruchała. Przestała udawać, że zmywa, i zaczęła odstawiać garnki na miejsce.

– Dobrze ci to zrobi – powiedziała.

– Też tak uważam. Nie czekaj na mnie wieczorem.

– Wcale nie miałam takiego zamiaru – odpowiedziała Inge z oburzeniem.

– Nie martw się, jeśli późno wrócę. To tylko taka niewinna randka.

– Jesteś dorosłą kobietą, nie moją rzeczą jest pouczanie ciebie co wolno, a czego nie – popatrzyła na nią surowo.

Resztę popołudnia Dalia spędziła pomagając Inge w biurze. Wykąpała też psa. Potem zaczęła przygotowywać się do wyjścia. Pamiętając, co mówił Clyde, starała się ubrać „zwyczajnie". Spięła włosy po jednej stronie, tak że utworzyły ogromny koński ogon. Włożyła swoje ukochane sprane Levisy z dziurami na kolanach i wielką, kraciastą, męską koszulę w jaskrawych kolorach. Kiedy usłyszała klakson samochodu Clyde'a, wyszła łapiąc po drodze kilka dodatków, które akurat miała pod ręką. Nie zauważyła, że były niestosowne – pas robiony na wzór pasów kowbojskich, ale zakończony klamrą z osiemnastokaratowego złota, oraz złote kolczyki wysadzane rubinami i brylantami. Dostała je od Jerome'a, a kosztowały pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Kiedy wyszła, Clyde natychmiast wyskoczył z samochodu i podszedł do tylnych drzwi. Przyjechał starym wojskowym jeepem, pokrytym kilkoma warstwami zielonej farby, spod której nadal prześwitywały jakieś militarne oznaczenia.

– Jak wyglądam? – Dalia obróciła się dokoła.

– Wspaniale – powiedział z uśmiechem, po czym gwizdnął cicho. – Czy to są prawdziwe rubiny?

Rzuciła mu długie spojrzenie i zgrabnie wskoczyła do samochodu.

– Chyba spędziła pani całe życie w jeepie – powiedział z podziwem.

– Może nie całe życie, ale okres służby wojskowej w armii izraelskiej. Gdzie jedziemy?

– To zależy, na co ma pani ochotę. Steki i homary?– spojrzał na nią pytająco.

– W porządku – skinęła głową.

Zawrócił samochód.

– Kupiłem dwa steki, dwa ogromne homary i ukradłem dużo szampana. Nazbierałem też trochę drewna wyrzuconego przez morze. Wieczór jest wyjątkowo ciepły, co by pani powiedziała na piknik na plaży?

– To brzmi zachęcająco.

Zbudził ją natarczywy dzwonek telefonu. Sięgając z zamkniętymi oczami po aparat, zrzuciła ze stolika budzik. Wreszcie znalazła słuchawkę i coś do niej wymamrotała.

– Lunch będzie gotowy za pół godziny – rozległ się donośny, wesoły głos Inge.

Dalia wstrząsnęła się i odsunęła słuchawkę od ucha. Zamyśliła się na chwilę.

– Mówisz chyba o śniadaniu?

– Mówię o lunchu – głos Inge był zdecydowany. – Zwykle o wpół do drugiej jadamy lunch, a nie śniadanie. Teraz jest pierwsza.

– Pierwsza...

Dalia usiadła na łóżku, nagle rozbudzona. Podniosła budzik i przyjrzała mu się z bliska. Inge nie żartowała. Była pierwsza. Przez zaciągnięte zasłony widać było, że jest pełne słońce.

– Chcę tylko wiedzieć – mówiła dalej Inge – czy mam ci przynieść lunch do domku, czy przyjdziesz tutaj?

– Przyjdę. Daj mi tylko pięć minut – odłożyła słuchawkę, przerzucając jednocześnie nogi przez krawędź łóżka. Dotknęła czoła, które pulsowało bólem. Clyde nie wspomniał wczoraj, że ma dwie

ogromne butelki Taittingera oraz termos z domowym alkoholem. Wypili to wszystko we dwójkę.

Powlokła się do łazienki, spojrzała do lustra i szybko połknęła cztery tabletki aspiryny. Obmyła twarz zimną wodą, wypłukała usta, ubrała się byle jak i z trudem wyszła przed dom. Natychmiast oślepiło ją słońce.

Inge we wspaniałym humorze krzątała się po kuchni.

– Przygotowałam kawę. Lunch nie jest jeszcze gotowy.

– Zaczekam.

Inge postawiła przed nią filiżankę gorącej kawy. Trzymając jedną rękę na biodrze patrzyła uważnie, ale Dalia nie zwracała na nic uwagi. Wiedziała, że Inge oczekuje od niej informacji na temat wczorajszej randki, ale nie miała ochoty rozmawiać, czując wciąż okropny ból głowy.

– Był do ciebie telefon – powiedziała Inge odwracając się w stronę zlewu. – Dzwonił Jerome i koniecznie chciał z tobą rozmawiać. Powiedziałam mu, żeby się nie trudził, ale ma zamiar znowu zadzwonić.

– Dlaczego nie może zostawić mnie w spokoju! – powiedziała Dalia z wściekłością.

– Jeśli chcesz, to się go pozbędę – zaproponowała Inge. – Ale wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli sama mu powiesz, że nie chcesz z nim rozmawiać. Mnie na pewno nie będzie chciał słuchać. Może posłucha ciebie.

– Wątpię.

Dalia dmuchnęła na parującą kawę, lecz zanim zdążyła upić łyk, telefon odezwał się znowu. Jego przenikliwy dzwonek przewiercał się przez jej mózg. Inge podeszła do aparatu.

– Dalia, dzwoni Jerome – powiedziała, zakrywając słuchawkę ręką.

Dalia wstała.

– No dobrze – powiedziała ze złością.

Inge postawiła telefon na stole. Dalia powoli uniosła słuchawkę.

– Tak?

– Dalia! – Głos Jerome'a był wesoły. – Jak miło cię słyszeć.

– Chciałabym móc powiedzieć to samo.

Po chwili ciszy Jerome odezwał się znowu, tym razem z nutą pretensji w głosie.

– Unikasz mnie bardzo ostentacyjnie. Wydzwaniałem po całym mieście, żeby dostać twój nowy numer, ale nikt nie chciał mi go dać. Jestem jeszcze we Francji. Nie masz pojęcia, ile kłopotów narobiła mi ta cała heca. Gdybym się nie domyślił, że pojechałaś do Inge, nie byłbym w stanie cię znaleźć. Przecież nie musisz aż tak się ukrywać.

– Kto mówi, że się ukrywam. Przecież w końcu mnie znalazłeś, prawda?

– Znowu zaczynasz! Nie mam pojęcia, co w ciebie wstąpiło. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że zachowujesz się bardzo dziwnie?

– A jak mam się zachowywać? Czy chcesz, żebym uznała, że wszystko jest w porządku?

– Chciałbym tylko, żebyś zmieniła swoje obecne postępowanie. To wszystko. – W głosie Jerome'a słychać było rozdrażnienie. – Takiej cię jeszcze nie znałem.

– Sama siebie jeszcze takiej nie znałam – odpowiedziała Dalia. – Nigdy wcześniej nie wystawiłam się na taki cios, więc nie umiem dać sobie z tym rady. – Nagle głos jej się zmienił. – Tutaj świeci słońce, a pies chce iść na spacer na plażę. Powiedz szybko, o co ci chodzi, żeby ta bezsensowna rozmowa nie zajęła mi całego dnia.

– Czy wiesz, w jakiej niezręcznej sytuacji mnie postawiłaś? – kontynuował Jerome, nie zwracając uwagi na jej słowa. – Nie wiedziałem, co mam mówić. Nie byłoby to takie straszne, gdyby nie fakt, że „Czerwona Satyna" dostała Złotą Palmę i wtedy twoja nieobecność stała się jeszcze bardziej zauważalna. Ale pewnie wiesz już o tym wszystkim.

– Nie interesowałam się tymi sprawami i nie wiedziałam, że „Czerwona Satyna" dostała nagrodę. Przypuszczam, że powinnam złożyć ci gratulacje – dodała sucho.

– Nie, to tobie należy złożyć gratulacje. To dzięki twojej roli. Wcale się nie dziwiłem, że dostałaś nagrodę dla najlepszej aktorki. Przyjąłem ją w twoim imieniu, ale nie wiem nawet, gdzie ci ją mogę dostarczyć.

– Najlepiej będzie, jeśli ją wyślesz. Poczta lotnicza jest godna zaufania.

– Dalia – powiedział Jerome łagodnym tonem. – Musimy porozmawiać.

– Przecież rozmawiamy – przypomniała mu.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie. Nie wiem. Wydawało mi się, że to, co powiedziałam, było jasne i zrozumiałe. Jeśli skorzystasz z arabskich pieniędzy, wszystko między nami skończone. Koniec i kropka.

– Z ciebie jest kawał cholery – powiedział nie hamując już gniewu.

– Dziękuję. Przyjmuję to jako komplement.

– Słuchaj, naprawdę muszę się z tobą zobaczyć i porozmawiać. Osobiście. Jeśli usiądziemy spokojnie – dodał po krótkiej przerwie – to omówimy te sprawy jak dwoje dorosłych ludzi.

– Moje stanowisko jest absolutnie jasne, Jerome.

– Czy możesz mnie do diabła wysłuchać!? – krzyczał w słuchawkę. – Do tej pory nie przyjąłem jeszcze ani jednego centa i nie podpisałem żadnego kontraktu. Już prawie jedli mi z ręki, ale po twoim wyjeździe wziąłem ich na przeczekanie i gorączkowo szukałem innego źródła pieniędzy.

Dalia podniosła brwi do góry. To była nowość. Czuła, że przechodzi jej złość.

– Ale nie odrzuciłeś całkowicie ich propozycji – spytała ostrożnie – prawda?

– Na litość boską. Czy musisz być aż tak drobiazgowa?

– Wcale nie jestem drobiazgowa. – Milczała przez chwilę.– A taka rozmowa do niczego nas nie doprowadzi.

– Dobrze, już dobrze – powiedział wreszcie.

Dalia poznała po jego głosie, że z trudnością panuje nad sobą. Zawsze, kiedy czuł się zapędzony w ślepą uliczkę, reagował na to o wiele gwałtowniej niż większość ludzi.

– Wyjechałaś tak szybko, że nie miałem okazji wytłumaczyć ci, kim są ci finansiści.

– Co za różnica? Powiedziałeś mi, że są Arabami. To mi wystarczy.

– Dalia, to są bracia Tammam – powiedział z trudem panując nad głosem.

– No i?

– No i? Są wszędzie przyjmowani. Mają swoje konie na wyścigach w Ascot i wolny wstęp do loży królewskiej. Królowa Elżbieta zaprasza ich do zamku Windsor.

– Wiem, kim oni są – odpowiedziała niecierpliwie.

Któż ich nie zna, pomyślała ponuro. Słynni bracia Tammam– Ali, Mahommed, Abdlatif i Said – pojawili się nagle w czasie hossy

na ropę w 1973 roku i z dnia na dzień weszli w wielki świat. Ich rodzina rządziła jednym z Emiratów Arabskich i stanowiła potęgę w Zatoce Perskiej. Czterej nierozłączni bracia byli znani z powodu swoich wspaniałych koni i ogromnych pieniędzy. Ostatnio Gwiazda Pustyni, ich najlepszy koń, wygrała zarówno Kentucky Derby, jak i Złoty Puchar w Ascot.

– Bracia Tammam jeszcze o tym nie wiedzą – w głosie Jerome'a brzmiało podniecenie – ale B. Lawrence Craik wyraził już zainteresowanie i jest możliwe, że udzieli filmowi pomocy finansowej. Gio Monti został w to również wciągnięty.

Sir B. Lawrence Craik, który niedawno otrzymał ten tytuł od samej królowej, był właścicielem Studia Timberlake w Londynie. Z jego usług korzystało wielu niezależnych reżyserów. Był również jedynym właścicielem Craik Films, które finansowało, produkowało i wypuszczało na rynek około dziesięciu bardziej ambitnych filmów rocznie.

Gio Monti znany był powszechnie jako udzielny władca studia Cinecitta. Kasowe filmy, które produkował, przyniosły mu wielki majątek, a rozgłos zawdzięczał związkowi z włoską seksbombą, Danielą Zanini, którą niedawno poślubił. Mając zapewnioną fortunę, zaczął interesować się produkcją ambitnych filmów.

– Widzisz więc, że mam po swojej stronie Craika i Montiego, jak również braci Tammam – mówił Jerome ze wzrastającym podnieceniem. – Jeśli będzie trzeba, mogę ich wzajemnie szantażować.

– Dobrze wiesz, że jest to igranie z ogniem – odpowiedziała Dalia.

– Robię to dla ciebie.

– Jerome, jesteś zwykłym łajdakiem. Gdybyś rzeczywiście robił to dla mnie, zrezygnowałbyś z braci Tammam.

– Słuchaj, mam do ciebie tylko jedną prośbę: chciałbym to wszystko osobiście z tobą przedyskutować. Nie jest to chyba zbyt wielkie żądanie?

– To jest wielka prośba, Jerome.

– W porządku. Mam do ciebie wielką prośbę. – Zamilkł na chwilę. – Czy nadal masz zamiar jechać do Izraela na ślub brata?

– Tak. Za sześć dni.

– Czy zostaniesz przez ten czas u Inge?

– Wracam do Nowego Jorku na dzień przed odlotem.

– Coś ci powiem. Zmień sobie bilet i zatrzymaj się na jeden dzień w Paryżu. Będziemy mogli się spotkać i porozmawiać.

– Nie chcę zatrzymywać się w Paryżu. Jeśli tak ci zależy na spotkaniu ze mną, to przyjedź tutaj.

– Dobrze – warknął Jerome po długiej ciszy. – Zobaczę, co da się zrobić. Nie wiem, czy zdołam przez ten czas załatwić wszystkie sprawy dotyczące dystrybucji „Czerwonej Satyny". W każdym razie postaram się.

Może się starał, a może i nie. Dalia nie była tego pewna. Sprawy „Czerwonej Satyny" zatrzymały go jeszcze przez dwa dni we Francji, a dwa następne spędził w Londynie, starając się pozyskać Lawrenca Craika, który nie wykazywał zbyt dużego zainteresowania wysokim budżetem filmu. Potem poleciał do Rzymu, gdzie Gio Monti wysłuchał jego propozycji i obiecał, że ją przemyśli. Wreszcie doszedł do wniosku, że nie powinien stracić tego, co już ma w garści, więc poleciał do Arabii Saudyjskiej, aby nie popaść w niełaskę u braci Tammam. Szóstego dnia nadal przebywał w Ar-Rijad.

Dalia wyjeżdżała z Cape następnego dnia wczesnym rankiem.

Inge wstała bardzo wcześnie. Kiedy pojawiła się Dalia, miała już przygotowany termos z gorącą kawą.

– To na drogę – powiedziała.

– Jesteś kochana – Dalia objęła ją serdecznie. W swoim watowanym szlafroku Inge wydawała się jeszcze niższa niż zwykle.

Inge wzruszyła ramionami i odprowadziła Dalię na parking. Happy skakał koło nich. Dalia trzęsła się z zimna. Na dworze było jeszcze ciemno. Zapalone lampy przed frontowymi drzwiami rzucały jasne, nikłe światło. Wilgotna mgła wisiała w powietrzu. Słychać było huk fal rozbijających się o brzeg.

– Będę za tobą tęsknić – powiedziała Dalia, kiedy podeszły do samochodu. – Jak wrócę z Izraela, przyjadę do ciebie na parę dni. Obiecuję.

– Bardzo bym się cieszyła – powiedziała z uśmiechem Inge.

Miała wilgotne oczy. Widać było, że jest jej smutno.

– Mam nadzieję, że będziesz miała dobrą podróż.

– Na pewno. Sekretarka Patsy już dawno wszystko załatwiła, wykupiła nawet miejsce obok mojego fotela, żeby nikt koło mnie nie usiadł i nie zakłócał spokoju.

– To dobrze – skinęła głową Inge. – Stale się o ciebie martwię. Jesteś bardzo sławna, a na świecie nie brakuje szaleńców. Ile razy biorę do ręki gazetę czy włączam telewizor, stale widzę morderstwa i akty przemocy.

– Nie zamartwiaj się – powiedziała z uśmiechem Dalia. – Jestem izolowana od ludzi. Nawet na lotnisku nie muszę siedzieć w poczekalni. Zawsze czekam w salonie dla VIP-ów. Bez względu na

to, gdzie jadę, wszyscy przedstawiciele linii lotniczych dobrze się mną opiekują. Poza tym – dodała – sama umiem dawać sobie radę, podobnie zresztą jak większość dziewczyn w Izraelu. Podczas służby wojskowej nauczyłam się odpowiednich metod. – Żartobliwie przybrała groźną pozę.

Inge patrzyła na nią potrząsając głową.

– I tak się martwię – powiedziała z uporem.

– Właśnie tego potrzebuję – zaśmiała się Dalia. – Mieć dwie matki.

– No, raczej jedną matkę i przyszywaną babkę.

– Co to znaczy „przyszywaną babkę?" – Dalia objęła Inge i ucałowała ją w oba policzki. – Zawsze uważałam ciebie za swoją pierwszą babcię. Dobrze o tym wiesz.

– Wiem – powiedziała Inge z uśmiechem. Stanęła na palcach i serdecznie ucałowała Dalię.

– Obiecuję, że następnym razem przyjadę do ciebie na dłużej. Może nawet uda mi się zostać dwa tygodnie.

– Wiem, że jesteś bardzo zajęta – pokiwała głową Inge. – Ale wystarczy, jeśli wpadniesz na dzień lub dwa. Kiedy jest się starym, nawet krótkie odwiedziny są wielką radością. Ucałuj ode mnie matkę.

– Zrobię to – obiecała Dalia.

Kiedy zbliżył się Happy, kucnęła, aby się z nim pożegnać. Pies polizał ją po twarzy.

– Happy, masz się dobrze opiekować swoją panią.

Dalia wsiadła do samochodu i jeszcze raz popatrzyła na Inge.

– Dziękuję ci za gościnę.

Zatrzasnęła drzwi, opuściła szybę i przekręciła kluczyk w stacyjce.

– Nic mi się nie stanie – zawołała, starając się przekrzyczeć warkot silnika.

– To nie o to chodzi, Dalia. Nic mi jeszcze nic mówiłaś o swojej randce. Dwa razy wychodziłaś z tym chłopakiem i nie powiedziałaś mi na jego temat ani jednego słowa.

– Nie ma nic do opowiadania – Dalia wzruszyła ramionami. – Był bardzo miły, rozmawialiśmy o różnych głupstwach i nie poszliśmy do łóżka, jeśli o to ci chodzi.

– Wcale o tym nie myślałam – odparła Inge. – Nie rozumiem, dlaczego młodzi ludzie myślą wyłącznie o seksie.

Dalia z uśmiechem pomachała jej ręką i wyjechała z parkingu. O tak wczesnej porze na autostradzie nie było ruchu.

Odgłos dochodzący z silników samolotu wydawał jej się jakiś dziwny. Dalię ogarnęło przerażenie. Nienawidziła latania samolotem, a teraz wydawało się jej, że maszyna traci wysokość i coraz szybciej zbliża się do morza, nad którym właśnie przelatywali.

Zatkało jej uszy. Usiłowała przełknąć ślinę, lecz usta miała kompletnie wyschnięte. Czuła się tak, jakby spędziła całą noc na pijaństwie. Zawsze miała to uczucie w samolocie.

Poruszyła się w fotelu. Znowu poczuła niemiłe kłucie. Włosy łonowe, które zawsze goliła na żądanie Jerome'a, zaczynały odrastać.

Z radością uczepiła się tej myśli, aby tylko zapomnieć o podróży samolotem. Postanowiła pozwolić włosom odrosnąć. Do diabła z perwersją Jerome'a. To było jej ciało.

Ponownie popatrzyła w okno. Chociaż nie wydawało się to możliwe, ale samolot nadal obniżał lot. Woda była tuż, tuż. Na

szczęście po paru minutach ukazał się betonowy pas, o który samolot uderzył kołami. Dalia odetchnęła z ulgą. Izrael. Nareszcie.

Doznała nagle dziwnego uczucia; wydawało się jej, że wyjechała stąd dopiero wczoraj. Ale było to tylko złudzenie. Wiele lat temu odleciała ze swojego kraju starym, zniszczonym DC–3.

Kalid Kazan rozglądał się po lotnisku. Zauważył, że wszyscy pracownicy ochrony byli już na swoich miejscach. Patrzył na nich obojętnie, jakby nigdy przedtem nie widział tych twarzy. Wydawało mu się, że oni również go nie rozpoznają. Szedł szybko starając się dotrzymać kroku młodemu przedstawicielowi El Al, który był oddelegowany do obsługi VIP-ów. Zauważył, że mężczyzna obrzuca go dyskretnym spojrzeniem, ale nie widział jeszcze powodu do niepokoju. Prawdopodobnie zachowywał się tak zawsze obsługując pasażerów pierwszej klasy.

A jednak przedstawiciel El Al był zaniepokojony. Coś było nie w porządku, ale nie mógł sobie uświadomić – co. Właściwie był pewny, że widział kiedyś twarz Kazana, ale nie przypomniał sobie, w jakich okolicznościach.

Nazywał się Elie Levin. Kolejny raz przyjrzał się swojemu pasażerowi. Mężczyzna miał oliwkową cerę. Bardzo możliwe, że był Włochem lub Arabem. Posiadał amerykański paszport, a zawsze najtrudniej było zidentyfikować pochodzenie obywateli amerykańskich. Na pewno był jednak biznesmenem, sądząc po jego pewności siebie, bilecie pierwszej klasy i nowym, drogim garniturze.

Elie zorientował się nagle, że wszystkie rzeczy należące do mężczyzny były zupełnie nowe: jego błyszczące buty, koszula, a nawet szara torba, którą spokojnie położył na taśmie i która bez

problemów przeszła przez aparat do prześwietlania bagażu. Wydawało się, że wszystko, co ma na sobie, zostało przed chwilą przyniesione ze sklepu.

Czy to właśnie mnie niepokoi, pomyślał Elie, że wszystko jest zbyt nowe?

Roześmiał się w duchu. Taka podejrzliwość oznaczała tylko, że był już psychicznie zmęczony swoją pracą. Dawał mu się we znaki skomplikowany system ochrony lotniska i wspomnienia z własnego szkolenia antyterrorystycznego. Nauczył się ciągłego oglądania za siebie i podejrzliwego traktowania wszystkich pasażerów.

Dlaczego jednak miał ciągle poczucie zagrożenia? Usprawiedliwiał to nadmierną wyobraźnią.

Szybko jednak zapomniał o swoich przeczuciach, ponieważ natrafili na przeszkodę w postaci dużej grupy turystów, którą musieli obejść dokoła.

Nagle przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl. Kiedy prowadzony przez niego biznesmen przechodził przez wykrywacz metali – najbardziej precyzyjne tego typu urządzenie na świecie – nic go nie zaktywizowało, żadne drobne monety, klucze albo zegarek.

Natrafili na nową przeszkodę. Kobieta, której nie znał, ubrana w niebieski mundur El Al, stała przy drzwiach opatrzonych napisem TYLKO DLA PERSONELU. Musieli przecisnąć się koło niej, aby obejść kolejną grupę pasażerów.

Kiedy biznesmen znalazł się tuż obok drzwi, kobieta uśmiechnęła się i nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się na całą szerokość. Zanim Elie zorientował się, o co chodzi, został wepchnięty do małego, ciemnego pokoju.

Za chwilę pod sufitem zapaliła się świetlówka.

– Kalid! – Teraz dopiero Elie go rozpoznał. Widział tę twarz wiele razy, ale nigdy wcześniej Kalid nie był tak gładko ogolony. Na wszystkich znanych mu zdjęciach terroryści nosili brody, mundury polowe i kufie na głowach.

Było już jednak za późno, uderzony w krtań Elie nie mógł wydobyć z siebie głosu. Ręka Kalida zacisnęła się wokół jego gardła. Upadł bezwładnie na podłogę.

Śmierć nastąpiła natychmiast.

Po trzech minutach Kalid, ubrany w mundur Eliego, wyszedł z pomieszczenia nonszalancko poprawiając krawat. W ostatniej chwili przypomniał sobie, aby odpiąć od munduru identyfikator. Włożył go do kieszeni i skierował się do hali przylotów. Spojrzał z satysfakcją na tablicę z rozkładem lotów. Izraelczycy są punktualni, pomyślał. Samolot z Nowego Jorku właśnie lądował.

Dalia odziedziczyła urodę i talent po matce, natomiast po ojcu miała graniczący z obsesją nawyk punktualności. Przez te wszystkie lata, które spędziła w domu, nie zdarzyło się nigdy, by Dani spóźnił się na samolot, pociąg czy umówione spotkanie. Nie było jego winą, że tego dnia spóźnili się z Tamarą na lotnisko. Wyjechali we dwójkę na długo przed godziną przylotu Dalii. Dani prowadził swojego służbowego, czarnego Cadillaca de Ville należącego do ministerstwa. Tamara siedziała obok. Przy śniadaniu Ari i jego narzeczona, Sissi Herschritt, wymienili między sobą znaczące spojrzenia i zrezygnowali z towarzyszenia rodzicom na lotnisko.

– Musimy jeszcze powiesić dekoracje – tłumaczył Ari.

Tamara zmarszczyła brwi. Rozejrzała się po mieszkaniu.

Zarówno pokój dzienny, jak i jadalny już od poprzedniego wieczoru udekorowane były balonami i papierowymi wstążkami. Wyglądały jak przed zabawą sylwestrową u gojów. Pomiędzy dwiema ścianami wisiał na lince napis: DALIA, WITAJ W DOMU, złożony z kolorowych liter:

– Rozumiem – powiedziała oschle Tamara.

I rzeczywiście rozumiała. Ari i Sissi zyskiwali w ten sposób całe mieszkanie tylko dla siebie na ponad godzinę. Tamara od dawna podejrzewała, że sypiali ze sobą. Teraz była już pewna, ale nie podjęła tematu.

Kiedy Tamara, Szmaria i Dani byli już w drzwiach, telefon z Ministerstwa Obrony wyłączył Szmarię z grona witających.

– Nie mam szczęścia – wymamrotał ze złością starszy pan.– Właśnie tego dnia, kiedy wraca moja wnuczka, wzywają mnie na pilne spotkanie do Jerozolimy.

– Czy to coś poważnego? – spytała Tamara.

Dani i Szmaria od lat wzywani byli w pilnych sprawach o różnych porach dnia i nocy. Tamara nigdy się do tego nie przyzwyczaiła. Po swoich przeżyciach wojennych oraz ciągłych terrorystycznych atakach, jakie miały miejsce w Izraelu, traktowała każdy dzwonek telefonu jako zapowiedź nieszczęścia.

– Ależ nie – Szmaria machnął lekceważąco ręką. – Zwykłe zawracanie głowy. Dzwoniłem na lotnisko – dodał – samolot nie będzie miał opóźnienia. Ucałuj Dalię ode mnie. Powiedz jej, że wrócę dziś po południu.

Tamara skinęła głową, podstawiając mu policzek do pocałunku. Szmaria poklepał Daniego po plecach i szybko wyszedł.

Tamara i Dani pojechali na lotnisko sami. Niestety, po drodze okazało się, że nie zdążą na czas. Na wąskiej, jednokierunkowej

ulicy, którą jechali w stronę lotniska, zdarzył się wypadek. Dani naciskając z całej siły na hamulec ostrzegł Tamarę krótkim okrzykiem. Gdyby nie miała zapiętego pasa, uderzyłaby głową o przednią szybę. Cadillac obrócił się, ale hamulce nie zawiodły. Samochód po lekkim poślizgu zatrzymał się bezpiecznie kilka stóp od drugiego samochodu. Tuż przed nimi na skrzyżowaniu ciężarówka zderzyła się z traktorem. Duży samochód przekręcił się wokół własnej osi, po czym upadł na bok.

Dani spojrzał na Tamarę. Był bardzo blady.

– Nic ci się nie stało?

– Chyba nie. A tobie?

– Idioci! – powiedział. – Czy widziałaś, co się stało? Ciężarówka miała pierwszeństwo, a traktor z przyczepą nie ustąpił jej miejsca.

– Nic nie widziałam – powiedziała drżącym głosem Tamara. – To wszystko wydarzyło się tak nagle.

Dani odpiął swój pas i wyskoczył z samochodu.

– Pójdę zobaczyć, czy nie ma jakichś ofiar – powiedział. – Zostań tutaj. To nie jest widok dla ciebie.

Szybko pobiegł do miejsca wypadku. Tamara posłusznie czekała, ale Dani za chwilę był już z powrotem. Spojrzała na niego pytająco.

– Nikt nie został ranny. Jestem jednak świadkiem wypadku i kierowca ciężarówki prosi, żebym zaczekał na policję. To nie potrwa długo. Mężczyzna, który prowadził traktor, już po nich zatelefonował.

Z tyłu rozległ się dźwięk klaksonów. Niech sobie trąbią, ile wlezie, pomyślał ze złością Dani. Widzą przecież, że nie mogę ruszyć samochodu, bo traktor z przyczepą blokuje mi drogę. Nie mogę go

również cofnąć, ponieważ nadjeżdżające samochody zastawiły mi drogę do tyłu. Jego Cadillac znalazł się w pułapce.

– Niech to szlag trafi – powiedział wsiadając do samochodu. – Akurat dzisiaj! – uderzył dłonią w kierownicę. – Niech to jasny szlag trafi!

– Gniew nic ci nie pomoże – powiedziała spokojnie Tamara, kładąc mu rękę na dłoni. – To nie twoja wina, że zdarzył się wypadek. Powinieneś dziękować Bogu, że nikomu nic się nie stało.

– Zanim nadjedzie policja i spisze protokół i zanim odholują tę ciężarówkę, samolot dawno już wyląduje – spojrzał ponuro na zegarek. – Dalia pomyśli, żeśmy o niej zapomnieli.

– Na pewno nie – powiedziała Tamara. – Jeśli nas nie zobaczy, to zaczeka w salonie dla VIP–ów.

– Pewnie masz rację. Zanadto się tym wszystkim przejmuję – obrócił się w jej kierunku.

– Nie. Zachowujesz się po prostu jak ojciec.

Dani uśmiechnął się i musnął ustami jej policzek.

– A ty jesteś z każdym dniem piękniejsza – oświadczył.

– Dani! – odepchnęła go ze śmiechem. – Co w ciebie wstąpiło?

– Nic. Powiedziałem prawdę.

Dla Daniego Tamara pozostała pięknością. Miała sześćdziesiąt pięć lat, a jeszcze oglądano się za nią na ulicy, sam to często widział. Nie spotkał jak dotąd żadnej młodej kobiety, która dorównywałaby jej urodą. Czas okazał się dla Tamary łaskawy. Nie wyglądała na więcej niż pięćdziesiąt lat, a dzięki aktywnemu trybowi życia była w świetnej kondycji fizycznej. Zachowała również szczupłą figurę. Była teraz dojrzałą pięknością, chociaż już nie całkiem naturalną. Dani widział na jej toaletce pełno różnych kremów i buteleczek, wiedział też, że w szafce trzymała farbę do

włosów. Nie miała już swoich jasnych, anielskich włosów, które były jej filmowym znakiem rozpoznawczym. Farbowała je teraz na ciemniejszy blond. Dani uważał, że było jej w tym kolorze bardziej do twarzy. Miała nadal gładką skórę, która straciła niestety swój alabastrowy połysk. Tamara była teraz opalona. W Izraelu trudno zresztą było się ustrzec przed słońcem. Jej zielone oczy, które w połączeniu z wysokimi kośćmi policzkowymi nadawały jej twarzy niepowtarzalny wyraz, pomimo braku sztucznych rzęs i silnego makijażu były jak zwykle wyraziste.

Teraz to słynne spojrzenie skierowane było na przewrócony traktor. Tamara siedziała bez ruchu myśląc o Dalii.

Uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem. Uznała, że dobrze ją wychowała. Obie rodziny, Boralevi i ben Yaacov, mogły być z niej dumne. Dalia nigdy nie zniżyła się do tego, aby występować w Hollywood jako kolejna ładna gwiazdka. Znana była nie tylko ze swoich wspaniałych ról filmowych, ale również z prowadzonych kampanii o równe prawa dla kobiet. Broniła różnych spraw, chociaż nie zawsze było to dobrze widziane. Jeśli jednak uwierzyła w swoją rację, nie ustępowała ani na krok. Z tego właśnie powodu Tamara była z niej niezwykle dumna. Od najmłodszych lat starała się ją nauczyć tego, co w życiu najważniejsze i Dalia jej nie zawiodła.

Tamara czuła, że Dani patrzy na nią od pewnego czasu. Po chwili dotknął jej ręki.

Byli małżeństwem od czterdziestu lat, a ich miłość z każdym dniem stawała się silniejsza. Dani był od niego dwa lata starszy, ale nadal pozostawał niezwykle atrakcyjny ze swoją pobrużdżoną twarzą, gęstymi siwymi włosami i autorytatywnym sposobem bycia. Trzy najważniejsze osoby w jej życiu były ich wspólnymi dziećmi –

biedny Asa, Ari, który właśnie miał się żenić, i Dalia. Rola matki była najważniejszą rolą, jaką kiedykolwiek odgrywała.

– Szekel? – zażartował Dani.

– Za moje myśli? Nie są tak tanie – roześmiała się Tamara.

Dani uwielbiał jej śmiech. Słychać w nim było dźwięk srebrnych dzwoneczków. Po chwili przybrała zamyślony wyraz twarzy.

– Myślałam o Dalii. Ile dokonała w tak krótkim czasie.

– Brakuje ci tego, prawda? – spytał nagle Dani.

– Czego?

– Wiesz, tego całego podniecenia i blasku. Tego, co ona ma teraz.

Chciał powiedzieć bycia gwiazdą.

– Czasami... czasami trochę mi brakuje. Skłamałabym, gdybym zaprzeczyła. Ale upłynęło już czterdzieści lat, Dani. To ja podjęłam decyzję, żeby odejść. I była to decyzja właściwa – uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy. – Nie żałuję, że to zrobiłam. Nigdy tego nie żałowałam, ani przez chwilę.

– Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa – uścisnął jej rękę.

– Jestem szczęśliwa. Sam powinieneś najlepiej o tym wiedzieć. Od czterdziestu lat jestem szczęśliwa, a w Hollywood na pewno by mi się to nie udało.

– Możesz wrócić – powiedział – i zrobić jeden lub dwa filmy.

– Dani – Tamara spojrzała na niego z rozbawieniem. — Nie chcę tego, a nawet gdybym chciała, to jest już za późno. Styl aktorski zmienił się całkowicie. Obawiam się, że wystawiłabym się na pośmiewisko.

– To niemożliwe – potrząsnął głową Dani. – Poza tym nadal masz wielu wielbicieli. Nowa generacja zachwyca się twoimi filmami. Byłaś najlepsza. Nadal jesteś najlepsza.

– Jesteś kochany – uśmiechnęła się Tamara. – Ale nigdy nie byłam aż tak dobra. Dalia jest o wiele lepsza niż ja. Aktorstwo ma we krwi.

– Ty również – odrzekł Dani.

– Nie, tak nie było – potrząsnęła głową Tamara. – Ja miałam technikę.

– Co to za różnica? Zawsze byłaś cholernie dobrą aktorką.

– Właśnie że jest to ogromna różnica. Nie rozumiesz tego? Ja musiałam się uczyć, obserwować ludzi i naśladować ich, żeby widzowie mogli uwierzyć, że naprawdę wcieliłam się w odtwarzaną postać. Ja grałam, Dani. A Dalia... nie wiem jak ona to robi, ale staje się tą postacią, od razu, bez żadnego wysiłku. Ma ten przyrodzony dar, który Inge zawsze przypisywała mojej matce. To jest coś, co się ma albo nie.

– Ty to masz – upierał się Dani. – Nie próbuj mnie przekonywać, że jest inaczej.

Tamara miała właśnie zamiar zabrać się do przekonywania go, ale rozległ się sygnał nadjeżdżającego samochodu policyjnego oraz karetki pogotowia.

– Przyjechali – powiedziała.

Dani wysiadł z samochodu obiecując jej, że za chwilę wróci.

Ale nie wrócił. Niecierpliwie liczyła minuty. Pięć. Dziesięć. Dwadzieścia. Wreszcie go zobaczyła, szedł powoli w kierunku samochodu, zamyślony, potrząsając co pewien czas głową.

– Jakie to dziwne – powiedział wsiadając. – To zupełnie bez sensu.

– O czym ty mówisz? – popatrzyła na niego zdziwiona.

– Kierowcy ciężarówki i traktora nagle gdzieś zniknęli.

– To znaczy, że uciekli z miejsca wypadku? – Tamara zmarszczyła brwi.

– Nie tylko to – Dani pokiwał głową. – Kiedy policja sprawdziła numery rejestracyjne, okazało się, że oba pojazdy zostały jakiś czas temu ukradzione.

– Traktor z przyczepą? Tak po prostu ukradziony? – spytała.– To nieprawdopodobne wydarzenie w tak malutkim kraju jak Izrael. Natychmiast by go odnaleziono. Chyba że miał bardzo cenny ładunek – dodała. – Jeśli zależało im na...

– Ale tam nie było żadnego ładunku. Oba pojazdy zostały skradzione bez ładunku. Teraz też są puste.

– Może złodzieje nie wiedzieli o tym.

– Możliwe – powiedział Dani. – Chociaż wątpię. Coś mi się tutaj nie podoba. Ten wypadek był chyba... – zawiesił głos.

– Był chyba co?

– Zaplanowany. – Dani wzruszył ramionami. – Wiem, że brzmi to głupio. – Spojrzał na zegarek. – Musimy się pospieszyć, jeżeli samolot nie miał spóźnienia, to wylądował pięć minut temu.

Na lotnisku rozdzielili się. Tamara poszła do salonu dla VIP-ów, obeszła wszystkie poczekalnie, bary, restauracje i damskie toalety, a Dani miał zasięgnąć informacji w obsłudze pasażerów.

Abraham Goszen, główny inspektor, nie był urodziwym mężczyzną. Jego świecąca łysina okolona była krótkimi czarnymi włosami, miał haczykowaty nos. Misza Horev stojący obok niego był przeciwieństwem swojego zwierzchnika. Horev był młodym *sabra*, o szczupłej sylwetce i opalonej twarzy. Jego białe zęby połyskiwały w uśmiechu. Obaj wpatrywali się w Daniego. Za nimi widać było

taśmę bagażową, na której bezustannie przesuwały się walizki Dalii. Były one jedynym bagażem, jaki pozostał na taśmie.

– Oczywiście, że ją poznałem – powiedział Horev. – Wyszła jakieś dwadzieścia minut temu. Przeprowadził ją jeden z naszych pracowników do obsługi VIP–ów.

– Który pracownik? – spytał Goszen.

Pracował na lotnisku od ponad piętnastu lat i odznaczał się solidnym podejściem do wykonywanej pracy oraz wysokimi kwalifikacjami.

– Nie wiem – odpowiedział Horev.

– Nie wiesz? – zagrzmiał Goszen. – Pracujesz tu od czterech lat i nie wiesz? Znasz przecież wszystkich.

– On był nowy. Nigdy przedtem go nie widziałem.

Goszen zmarszczył brwi i podszedł do wiszącego na ścianie telefonu. Po chwili wrócił, potrząsając w zamyśleniu głową.

– Nie było dzisiaj na dyżurze żadnego nowego pracownika – powiedział cicho. – To Elie Levin miał odebrać z samolotu pannę Boralevi.

– To nie był Elie – stanowczo stwierdził Horev.

Abraham Goszen nie był głupcem. Jego haczykowaty nos zawsze wyczuwał niebezpieczeństwo. Nigdy go jeszcze nie zawiódł. Teraz też miał uczucie, że wydarzyło się coś złego.

– Wezwij służby bezpieczeństwa obsługujące lotnisko – powiedział. – Wszystkich.

Horev natychmiast ruszył do akcji.

Tamara przepychała się przez tłum na lotnisku. Potrącani przez nią ludzie rzucali ostre uwagi, ale nic do niej nie docierało.

– Niech pani uważa! Nie widzi pani, gdzie idzie?

Była zdenerwowana, a jej obawy wzrastały z każdą minutą. Serce waliło mocno, nogi uginały się w kolanach ze strachu. Kiedy dotarła do miejsca obsługi pasażerów, spojrzała z nadzieją na Daniego, ale on spojrzał na nią w ten sam sposób. Po chwili oczy im się zamgliły. Porozumieli się bez słów.

Tamara usiadła ciężko na plastikowym foteliku. Twarz miała ściągniętą.

– Jej... jej tu nie ma! – powiedziała ochrypłym szeptem. Patrzyła na męża nieprzytomnym wzrokiem. Domyślił się, że przypomina sobie, co stało się z ich synem, Asą. – Dani, nie ma jej tutaj. Wszędzie jej szukałam!

– Nie martw się. Możliwe, że sama pojechała do domu.

– Nie mów głupstw! Jej bagaż jest tutaj. Dalia nigdy nie zostawiłaby bagażu! A ja... dwa razy telefonowałam do domu. Rozmawiałam z Arim. Nie ma jej tam.

Nazwisko Dalii zaczęto wywoływać przez głośniki. W tym czasie służby bezpieczeństwa metodycznie przeczesywały całe lotnisko.

Tylko jedna myśl absorbowała Tamarę. Dalii nic się złego nie stało. Na pewno nic jej się nie stało. Kurczowo ściskała dłoń męża. Tylko jego obecność chroniła ją teraz przed szaleństwem.

Wreszcie inspektor Goszen przysłał kogoś po Daniego.

– Zostań tutaj – powiedział do Tamary.

– Nie! Pójdę z tobą! – zerwała się z fotela.

– Nie ma dyskusji. Zostajesz tutaj! – powiedział twardo.

Tamara spojrzała na niego zdziwiona. Dani z zaciętymi ustami podążał za wysłannikiem inspektora.

Po chwili wrócił. Tamara skoczyła na równe nogi i złapała go za ramię.

– Dani, co się stało? – spytała, widząc dziwny wyraz jego twarzy. – Czy ona... Czy ona...?

– Nie – Dani potrząsnął głową. – To... to jeden z pracowników lotniska. Został zamordowany.

– Boże, to okropne! – krzyknęła Tamara.

Dani dostrzegł jednak wyraz ulgi w jej oczach. Sam czuł to samo.

– To przedstawiciel lotniska do obsługi VIP-ów – powiedział. – Elie Levin, ten, który miał odebrać Dalię z samolotu.

Tamarę przeszył zimny dreszcz. Z trudem panowała nad sobą.

– Dani... – powiedziała. – Najpierw ten wypadek, który pewnie został specjalnie zaaranżowany, żebyśmy spóźnili się na lotnisko, potem zniknięcie Dalii, a teraz morderstwo. Dani? Co się dzieje?

Dalia była tak przestraszona, że nie zauważyła, iż samochód jest jeszcze na terenie lotniska. Cała sytuacja wydawała się jej nierealna. Zdawała sobie sprawę, że jej życie zależy od tych obcych mężczyzn. Nie musiała sprawdzać, czy lufa rewolweru jest w nią nadal wymierzona, ponieważ czuła ją stale przy swoich żebrach. Ogarniało ją przerażenie na samą myśl, że jeśli samochód podskoczy na jakimś wyboju albo będzie musiał się nagle zatrzymać, to człowiek trzymający broń może automatycznie nacisnąć spust. Mężczyźni siedzący w samochodzie wyglądali na pewnych siebie i bezwzględnych. Prawdopodobnie zabiliby ją na miejscu.

Samochód przejechał przez odgrodzoną łańcuchem bramę i zatrzymał się w pustym, ciemnym hangarze. Przez chwilę Dalia nie mogła nic dostrzec i jeszcze bardziej się przeraziła.

Nie odczuła ulgi, kiedy kierowca zapalił wewnątrz małe światełko.

Głęboko wciągnęła powietrze na widok wypełnionej bezbarwnym płynem strzykawki, którą trzymał w rękach. Wbiła się głębiej w fotel. Ale nic to nie dało. Kierowca złapał ją za rękę.

– Co pan robi? – wyszeptała.

Skierował igłę w zgięcie jej łokcia.

– Miłych snów, gwiazdo – powiedział z ironicznym grymasem.

Wbił igłę głęboko, nie podciągnąwszy nawet rękawa jej bluzki. Ukłucie było tak silne, że aż krzyknęła z bólu. Po chwili ogarnęło ją jakieś dziwne uczucie. Poczuła się śpiąca, wszystko zdawało się zamazane i nierealne. Nie wiedziała nawet, że wyciągnięto ją z samochodu. Nie była w stanie utrzymać się na nogach i mężczyźni musieli ją podtrzymywać.

Cały czas się o ciebie martwię. Usłyszała głos Inge. Potem powieki jej opadły i pogrążyła się w nieświadomości.

Gabinet Nadżiba al-Ameera na czwartym piętrze Trump Tower zastawiony był książkami. Wszystkie zostały równo ustawione na ekskluzywnych półkach, zdobionych macicą perłową. Niskie sofy pokryte były zamszem, a krzesła, robione na zamówienie we Francji, miały skórzane siedzenia. Szczytem luksusu było jednak biurko, wykonane przez mistrza Montigny dla samego Ludwika XV.

W bibliotece, oprócz pięknie oprawionych książek, znajdowały się również prawdziwe skarby: starożytne perskie dokumenty, rozliczne pisma z własnoręcznymi podpisami królów i prezydentów, papirusy egipskie sprzed trzech tysięcy lat oraz fragment skały, zrabowany z groty w Lascaux, który liczył siedemnaście tysięcy lat.

W jego zbiorach była również Biblia Gutenberga oraz ozdobiony miniaturami czternastowieczny chrześcijański manuskrypt, który był jego oczkiem w głowie.

Nadżib, który lubił przebywać w swojej bibliotece szukając spokoju i wytchnienia, tym razem nie potrafił pozbyć się uczucia zagrożenia. Czuł zbliżające się nieszczęście. Kiedy odezwał się pierwszy dzwonek telefonu, natychmiast uruchomił urządzenie uniemożliwiające podsłuch.

– Zrobione – usłyszał cichy, zniekształcony głos. Mężczyzna mówił po arabsku. – Mamy produkt w swoich rękach.

Dłoń Nadżiba zaczęła tak gwałtownie drżeć, że słuchawka obijała mu się o ucho. Po trzydziestu latach oczekiwania okazało się, że wcale nie był przygotowany na tę chwilę. Czuł się kompletnie ogłupiały i nie wiedział, co powiedzieć.

Opanował się siłą woli.

– Tak, jestem. Czy wszystko przebiegło bez zakłóceń?

– Jak w zegarku. Czy mamy dostarczyć produkt na umówione wcześniej miejsce?

– Tak – odpowiedział Nadżib. – Będę czekał na przesyłkę. Wolno odłożył słuchawkę i przeszedł do sąsiedniego pokoju, który służył mu jako czytelnia. Nie chciał przebywać w swoim ulubionym sanktuarium w stanie takiego przygnębienia. Bezmyślnie wyglądał przez okno. Niebo było szarawe, a dzień bardzo gorący, zapowiadało się ciężkie, wilgotne i upalne lato. Pomyślał o pustyni, która była jasna, czysta i sucha, nie zniszczona jeszcze działalnością człowieka, o jej piaszczystych wzgórzach i pięknym świetle zachodzącego słońca.

Chodził od ściany do ściany i myślał. Zastanawiał się, ile to wszystko jest warte i czy nie lepiej byłoby po prostu zapomnieć o przeszłości.

Ale Abdullah nigdy by się na to nie zgodził. Kilkakrotnie dawał mu to jasno do zrozumienia.

Nadżib podszedł do telefonu. Newark zgłosił się natychmiast.

– Proszę przygotować samolot do startu – powiedział po angielsku. – Nie, nie Lear. Siedemset dwadzieścia siedem. Będzie pan musiał zmieścić się w rozkładzie lotów międzykontynentalnych.

Nadżib zabrał ze sobą jedynie teczkę z dokumentami. Wszystko inne, łącznie z garderobą, było już w samolocie.

Helikopter, na którego pokładzie znajdowała się Dalia, otrzymał wreszcie z wieży kontrolnej pozwolenie na start. Wznosił się coraz wyżej pod bezchmurnym niebem, kierując swój lot na wschód, po czym nagle zmienił kierunek i poleciał na południe.

Na twarzy Kalida widniał uśmiech zadowolenia. Nie przewidywał żadnych trudności przy przetransportowaniu Dalii do Jordanu. Przeszmuglują ją przez most w ciężarówce z owocami jadącej do Ammanu. Nawet podczas wojny Yom Kipuur walki nie przerwały tej drogi handlowej. Ciężarówki stale woziły owoce i jarzyny z Zachodniego Brzegu.

Kiedy Dalia odzyskała przytomność, miała wrażenie, że została pogrzebana żywcem. Po chwili zorientowała się, że jest związana. Próbowała poruszyć rękami, ale nie było to możliwe. Bezskutecznie próbowała oswobodzić się z więzów, ale przy każdym gwałtownym ruchu zaciskały się jeszcze silniej.

Leżała z zamkniętymi oczami, starając się zebrać myśli i znaleźć jakieś racjonalne wyjście z sytuacji. Nie mogła się jednak skoncentrować. Zaaplikowany jej wcześniej narkotyk działał jeszcze, a poza tym było potwornie gorąco.

W efekcie najgorszy ze wszystkiego był żar lejący się z nieba. Nie mogła głębiej odetchnąć, paliło ją w płucach, a w skórę wbijały się drobne igiełki. Chwytała powietrze małymi łykami. Niemożność oddychania przyprawiła ją o nagłą panikę.

Postanowiła odzyskać panowanie nad sobą. Starała się wyjaśnić sobie, że popadanie w histerię może tylko pogorszyć sytuację. Wiedziała, że powinna być szczęśliwa, że jeszcze żyje.

Paliło ją potworne pragnienie. Czuła się kompletnie odwodniona. Gardło miała tak suche, że nie była w stanie wydać żadnego dźwięku. Wiedziała jednak, że jeśli się nie opanuje, to popadnie w szaleństwo. Zaczął ją ogarniać gniew.

Muszę podtrzymywać ten gniew. Wtedy nie opuści mnie wola życia i może wyjdę z tego cało. Myśl Dalia, myśl!

Podniosła głowę i rozejrzała się dokoła. Leżała na czarnej, bardzo brudnej koziej skórze pokrytej szarym, grubym piaskiem. Piasek był wszędzie. Czuła go w nosie, uszach i między zębami.

Była sama w dusznym, czarnym namiocie. Tak wyglądało jej więzienie. Zobaczyła również, że jest całkowicie naga. Na to również nic nie mogła chwilowo poradzić. Jeśli zrobili to po to, aby ją upokorzyć, to źle trafili. Nie widziała nic upokarzającego w nagości. Była dumna ze swojego ciała. Nagość zawsze była dla niej naturalna.

Jej maleńkie zwycięstwo nad nimi.

Satysfakcja była jednak krótkotrwała. Przeraził ją odgłos, jaki wydawało jej serce. Słyszała wyraźnie jego głośne bicie, które z

każdą sekundą stawało się coraz mocniejsze. Dopiero po chwili zrozumiała przyczynę. To z powodu ciszy, tej bezwzględnej ciszy, jaka ogarnia pustynię w samo południe.

Zostawili ją na pustyni, aby umarła z pragnienia!

Pojawiła się też inna myśl: Jest namiot, więc powinni być też ludzie. Gdyby zawołała o pomoc...

Przełknęła ślinę i zaczęła krzyczeć „pomocy" po angielsku, hebrajsku i arabsku. Wołała tak długo, aż krzyki, które z siebie wydawała, dźwięczały jej w uszach nawet wtedy, kiedy zamilkła.

Nadsłuchiwała wstrzymując oddech, ale jedynym dźwiękiem nadal było głośne bicie jej serca. Nadzieja wyparowała tak szybko, jak parowała woda z jej ciała. Nadwerężyła sobie tylko struny głosowe, a wysiłek spotęgował pragnienie.

Woda. Zawsze kochała wodę. Piła ją całymi szklankami, leżała długo w wannie, trudno ją było wyciągnąć z basenu. Teraz nagle została pozbawiona wody. Nie było jej nigdzie ani kropli, a temperatura powietrza wciąż wzrastała. Wody. Wody.

Nagle doznała olśnienia.

Jeśli nie miała dostępu do prawdziwej, to może mogłaby zaspokoić pragnienie wyimaginowaną wodą? Była przecież aktorką. Umiała sobie prawie wszystko wyobrazić i uwierzyć w wytwór swojej wyobraźni. Jeśli plan filmowy był dla niej rzeczywistym miejscem akcji, aktor prawdziwym partnerem, a rewolwer naładowany ślepymi nabojami mógł zabijać, dlaczego nie miałaby zastosować tej techniki do urzeczywistnienia wody.

Zamknęła oczy, przywołując na myśl kran, z którego ściekały krople, świeżo podlany trawnik, chłodne poranne mgły, orzeźwiający deszcz i gwałtowną ulewę. Wyobrażała sobie stawy, jeziora i oceany.

Potem wyobraziła sobie, że ma wolne ręce. Wznosiła je nad głową tak, jakby trzymała parasolkę, chroniąc się przed deszczem.

I zaraz zapadła w sen.

Nadżib siedział w saloniku swojego samolotu, patrząc przez małe okienko na pustynię. Przebrał się już w galabijję, tradycyjną szatę arabską, a na głowę założył białą kufie, przepasaną specjalną opaską – *ekal*.

Pustynia, na którą patrzył, nosiła nazwę Ar–Rab al Chali, czyli „Pusta Dziedzina" i leżała na południowym wschodzie Arabii Saudyjskiej. Jej nazwa była właściwa, w zasięgu wzroku nie można było dostrzec niczego poza pustką. Na złotych piaskach i brązowych skałach nie rosła żadna roślinność, ponieważ deszcz nigdy tu nie padał. W dole widać było jedynie szyby wiertnicze i rafinerie ropy, a w górze przelatywały samoloty. Niezwykle rzadko można było spotkać karawanę Beduinów na wielbłądach, zdążających do Mekki lub właśnie z niej powracających. Tylko Beduini umieli podróżować po tych niegościnnych, dzikich pustkowiach. Stewardesa weszła bezszelestnie do saloniku.

– Niedługo będziemy podchodzić do lądowania.

Skinął jej głową. Miał dwie stewardesy. Ta miała na imię Elke, pochodziła z Austrii i wyglądała jak modelka z okładki "Vogue'a".

Pochyliła się nad nim, aby zapiąć pas. Owionął go zapach drogich perfum.

– Czy zatrzymamy się tutaj, czy odsyła nas pan z powrotem, panie al-Ameer? – spytała.

– Czyżby kapitan Childs nie zrozumiał moich poleceń? – spytał Nadżib zdziwiony.

Elke potrząsnęła głową i opuściła wzrok.

– Nie, to ja chciałam wiedzieć – powiedziała obiecująco.

– Zostaję tutaj sam. Samolot natychmiast wraca do Newark – powiedział uśmiechając się do niej.

– Rozumiem – w jej głosie brzmiała nuta rozczarowania. Nadżib obrócił się do okna. Znowu widział tylko pustynię.

Nagle na bezkresnym pustkowiu pojawił się pałac, duży, nowoczesny budynek zbudowany na sztucznym wzgórzu. Przypominał trochę terminal na lotnisku Kennedy'ego, a trochę latający spodek. Otoczony był potężnymi betonowymi słupami, tworzącymi łuki wysoko nad dachem. Odnosiło się wrażenie, że jest zawieszony w powietrzu. Licząca osiem akrów posiadłość opasana była grubym murem. Na jej terenie znajdowały się również inne budynki z antenami telewizji satelitarnej i radarami na dachach. Widać było zielone trawniki, kort tenisowy oraz basen. Dwa rzekome minarety były wieżami ciśnień.

Kiedy samolot zniżył się jeszcze bardziej, Nadżib ujrzał uzbrojonych strażników rozmieszczonych na murze i na dachach. Wszyscy patrzyli na samolot. Sądząc po ich paramilitarnym umundurowaniu i białych kuflach na głowach, byli to ludzie Abdullaha. Nadżib zauważył również dwa rurociągi, jeden do pobierania paliwa, a drugi wody. Rurociąg wodny ciągnął się na odległość 180 mil do kombinatu odsalającego wodę na wybrzeżu. W dole widać było także pas startowy prywatnego lotniska, na którym stały dwa małe samoloty.

Bracia Tammam mieli tutaj swoją kryjówkę. Każda garść ziemi na ich terenie musiała zostać przywieziona samolotem, a woda pompowana była przez pustynię. Było to również wymarzone miejsce dla Abdullaha. Pałac braci Tammam stanowił prawdziwą

fortecę, oddaloną o osiemdziesiąt mil od najbliższego sąsiada, a jednocześnie wyposażoną we wszystkie zdobycze nowoczesnej techniki.

Nadżib zawsze się dziwił, że arabscy milionerzy budowali swoje pałace i domy na wzór terminali lotniczych lub luksusowych hoteli.

Samolot zniżył się do lądowania. Koła gładko dotknęły betonu. Po płycie lądowiska jechała różowa limuzyna z zaciemnionymi szybami.

Nadżib odpiął pas i ruszył do wyjścia. Elke otworzyła już drzwi, ale zatrzymał go głos pilota:

– Czy nadal pan chce, żebyśmy odlecieli i zostawili pana tutaj, panie al-Ameer?

– Tak, kapitanie Childs – skinął głową Nadżib. – Niech pan odprowadzi samolot do Newark i czeka tam na moje dalsze polecenia. Dam znać, kiedy będę pana potrzebował. Może pan pobrać paliwo w Ar-Rijad.

– Tak, panie al-Ameer. Mam nadzieje, że miał pan przyjemny lot.

– Wszystko było w porządku, dziękuję – powiedział Nadżib schodząc po schodkach.

Dwie stewardesy niosły za nim bagaż, a kierowca limuzyny otworzył drzwi. Nadżib skinął mu głową. Był to Hamid, szyita z Libanu, jeden z najbardziej zaufanych ludzi Abdullaha. Szybko wsiadł do samochodu, Hamid zamknął za nim drzwi i włożył walizki do bagażnika. W klimatyzowanym samochodzie było zimno. Na tylnym siedzeniu siedziała młoda kobieta.

Nadżib patrzył na nią z nie pozbawionym ciekawości zdziwieniem. Pomyślał, że w innych okolicznościach mogłaby być atrakcyjną dziewczyną. Miała na sobie za duży męski mundur

polowy i obcięte na zapałkę blond włosy. Widać było, że robi wszystko, żeby nie wyglądać kobieco. Zaciskała usta, a jej niebieskie oczy miotały fanatyczne błyski. Domyślił się, że jest to jakaś europejska terrorystka na szkoleniu. Na kolanach trzymała amerykański M16–A1, którego lufa skierowana była w jego stronę.

– Nie lubię, kiedy broń jest we mnie wycelowana – powiedział po angielsku, odsuwając lufę na bok. – Szczególnie jeśli jest to naładowana broń.

– Wiem, kim pan jest – powiedziała z silnym niemieckim akcentem, rzucając mu jednocześnie zimne spojrzenie. – Znam pana fotografie z prasy. Przyjdzie taki dzień, że broń zostanie wycelowana we wszystkie bogate świnie, a świat będzie należał do zwykłych ludzi.

– Rzeczywiście? – powiedział z uśmiechem. – Nie jestem pani wrogiem, młoda damo. Lepiej, żeby pani o tym pamiętała –dodał surowo.

– Wszyscy kapitaliści są naszymi wrogami – powiedziała z gniewem. – A szczególnie ci, którzy udają przyjaciół, a sypiają z amerykańskimi dziwkami.

– Nie należy zwracać na nią uwagi – powiedział łagodnym tonem Hamid. – Monika łaknie krwi, a w głowie ma tylko propagandę marksistowską. Należy do gangu Baader-Meinhof. Przyjechała tutaj nauczyć się, jak podkładać bomby. – Roześmiał się cicho. – Chyba potrzebuje szkolenia. O mało co nie wyprawiła na tamten świat trójki swoich przyjaciół, podkładając bombę w amerykańskiej bazie wojskowej w Kaiserslauten.

Nadżib nadal ją obserwował. Emanowała z niej taka wściekłość, że nie byłby wcale zdziwiony, gdyby nagle zaczęła strzelać w tył głowy Hamida.

– Powinien ją pan zobaczyć w akcji – zaśmiał się znowu Hamid. – Jeśli chodzi o strzelanie i przekleństwa, jest lepsza od każdego z naszych ludzi. Jedyna rzecz, której się nigdy nie nauczy, to robienie bomb i rzucanie granatów. To lepiej zostawić mężczyznom.

– Jesteś uprzedzoną do kobiet świnią – zaklęła Monika. – Któregoś dnia dowiesz się, że kobiety są równe mężczyznom. Nie będziecie już mogli dłużej nad nami panować.

W jej głosie brzmiało szaleństwo. Nadżib pomyślał, że nie jest całkowicie normalna. Tym bardziej nie podobał mu się fakt, że ma broń.

– Jej problem polega na tym – powiedział Hamid zapalając papierosa – że udaje chłopa i żaden mężczyzna jej nie chce. Mówią, że ogród jej ziemskich rozkoszy najeżony jest żyletkami. Jej złość, niech Allach ma ją w swej opiece, wynika z braku seksualnej satysfakcji.

– Seks! – wykrzyknęła pogardliwie Monika. – Tylko o tym myślicie. Pan pewnie jest taki sam – zwróciła się do Nadżiba.

Nadżib postanowił nie zwracać na nią uwagi.

– Czy mój wuj już tu jest? – spytał Hamida.

– Tak, ale jutro wieczorem leci do Trypolisu – powiedział Hamid. – Czeka na pana.

– A kobieta?

– Mówi pan o tej aktorce?

– Tak.

– Jest pod opieką Kalida, Muharrema i Mustafy. Właśnie przeszmuglowali ją do Jordanii. Jutro mają przekroczyć granicę Arabii Saudyjskiej z grupą Beduinów jadących do Mekki.

– To znaczy, że mają przed sobą jeszcze tysiąc mil drogi – powiedział Nadżib ze złością. – Nie musiałem przyjeżdżać tak wcześnie.

– Po przekroczeniu granicy dotrą tu bardzo szybko – uspokoił go Hamid. – Abdullah załatwił samolot.

Nadżib nie odezwał się. Dojeżdżali już do posiadłości. Ze zdziwieniem zobaczył, że otaczające ją betonowe mury wysokie na piętnaście stóp nachylone są pod kątem. Na ich szczycie znajdował się odpowiedniej szerokości chodnik dla straży, na całej długości okolony linią wysokiego napięcia. Nadżib pomyślał, że bracia Tammam muszą się czegoś bardzo obawiać i dlatego zbudowali dla siebie to więzienie.

Samochód zatrzymał się przed bramą. Kiedy otworzono ciężkie, stalowe skrzydła, Monika wpadła w nagłą euforię.

– Stal grubości dwóch stóp. Abdullah powiedział, że brama była robiona przez firmę specjalizującą się w zabezpieczaniu banków. Chyba tylko czołg mógłby się przez nią przebić!

Znajdowali się teraz w środku ogrodzonego terenu. Przejeżdżali obok bezustannie zraszanych zielonych trawników i fontann wzbijających w górę pióropusze wody.

Nadżib uważnie rozglądał się dokoła. Zauważył czujniki wmontowane w lampy i w ogrodowe posągi.

Było to wspaniałe, luksusowe, spokojne więzienie. Takie więzienie, z którego nie ma ucieczki.

Wszyscy członkowie rodziny Boralevi mieli zostać tu ściągnięci i zamordowani.

Hamid wjechał na podjazd i zaparkował samochód u podnóża marmurowych schodów. Kiedy Nadżib stanął przed pałacem, poczuł się przytłoczony jego ogromem. Oglądany z samolotu budynek nie

wydawał się aż tak wielki. Zbudowany był z jasnego marmuru. Trudno było uwierzyć, że za jego murem rozpościerał się bezmiar pustyni, szczególnie że wszędzie słychać było szum wody, której nikt nie musiał tu oszczędzać.

Monika została w samochodzie, a Nadżib z Hamidem weszli po schodach. Przy drzwiach stało dwóch strażników z bronią gotową do strzału. Ich głowy owiązane były szczelnie białymi tradycyjnymi chustami. Bogato zdobione drzwi z ręcznie kutego brązu otworzył przed nimi trzeci strażnik, który oprócz zwykłego uzbrojenia miał jeszcze granaty u pasa.

Klimatyzacja pałacu działała wspaniale. Nadżib rozglądał się po holu, którego wystrój był mieszaniną włoskiego futuryzmu i tradycyjnego stylu arabskiego. Było to szczególnie ulubione połączenie bogaczy z Zatoki Perskiej. Arabskie Las Vegas, pomyślał. W każdym innym miejscu świata wystrój ten uznano by za kicz, ale tutaj pasował w jakiś dziwny sposób. W samym środku holu wbudowano w podłogę fontannę. Z sufitu zwieszały się kryształowe żyrandole, a na górę prowadziły marmurowe schody. Hol zastawiony był nowoczesnymi, niskimi sofami. Dominowała biel w połączeniu z kolorem turkusowym i srebrzystym.

– Wszystko jest już dla pana przygotowane – powiedział Hamid. – Myślę, że będzie pan zadowolony. Bagaż zaraz zostanie zaniesiony na górę. Będzie pan mieszkał w apartamencie jednego z braci.

– A gdzie są służący braci Tammam? – spytał Nadżib.

– Zostali tymczasem wysłani do innego pałacu w Abu Dabi. Abdullah postarał się, żeby nikt mu nie przeszkadzał.

– Jeśli to możliwe, chciałbym się z nim natychmiast spotkać – powiedział Nadżib.

– Dostałem polecenie, żeby natychmiast pana do niego zaprowadzić.

Hamid prowadził Nadżiba wzdłuż znajdującej się nad holem galerii i obok wodospadu, spływającego na całej wysokości budynku po białej marmurowej kolumnie. Dotarli do miejsca, gdzie rozgałęziały się cztery korytarze. Hamid bez wahania skręcił w prawo. Marmurowa podłoga pokryta była perskimi dywanami, a pod ścianami stały odpowiednio oświetlone nowoczesne rzeźby.

Dotarli wreszcie do kolejnych drzwi. Hamid zastukał i nie czekając na odpowiedź otworzył je szeroko.

Znaleźli się w ogromnym, bardzo wysokim pokoju. Światło, które wpadało przez witrażowe szyby, tworzyło na podłodze kolorowe plamy. Abdullah stał przy jednym z okien. Jego paramilitarny strój i arafatka zupełnie nie pasowały do otaczającego go luksusu.

Odwrócił się, a kiedy Nadżib podszedł bliżej – wyciągnął rękę, oczekując poddańczego pocałunku.

– A więc – powiedział Abdullah, uważnie go obserwując – nadszedł wreszcie czas. Nie wydawałeś się specjalnie zadowolony z tego powodu.

– Była to dość nieoczekiwana wiadomość – odpowiedział Nadżib, a jego głos nie zdradzał żadnych emocji. – Po tylu latach wydaje się to już nie warte zachodu.

– Zapewniam cię, że się mylisz. Usiądź, zaraz ci wszystko wytłumaczę. Dalia Boralevi jest więcej warta niż równowartość jej wagi w złocie.

Usiedli naprzeciwko siebie na sofach z turkusowym obiciem. Abdullah wskazał Nadżibowi drogocenną zastawę do kawy.

– Czy chciałbyś się napić?

Nadżib potrząsnął przecząco głową.

– Dziękuję. Wolałbym coś chłodnego.

– Chłodnego? A może mocnego? Może wolałbyś jakiś alkohol?

Nadżib miał się na baczności. Czarne, przymrużone oczy wuja miały chytry wyraz.

– Nie. Najchętniej napiłbym się wody z lodem, jeśli to nie sprawi zbyt wiele kłopotu.

Po twarzy Abdullaha przemknął cień niezadowolenia, który natychmiast zniknął. Nadżib zdołał go zauważyć, ponieważ czujnie obserwował wuja. Mógł sobie pogratulować. Słusznie wykazał ostrożność. Abdullah albo chciał go wypróbować, albo złapać w pułapkę. Picie alkoholi było grzechem głównym.

Dobrzy muzułmanie nigdy go nie pili. Było to prawnie zabronione, ale wielu Arabów piło podczas zagranicznych podróży, a niektórzy z nich mieli w swoich domach sekretne piwniczki z alkoholem. Nadżib gotów był się założyć o połowę swojego majątku, że tutaj, na terenie posiadłości braci Tammam, znajdowały się jakieś piwnice win.

– Tam – Abdullah wskazał mu ręką białą szafkę w rogu pokoju. – Zdaje się, że niewierni nazywają to barkiem – powiedział z niesmakiem.

Nadżib wstał i poszedł do szafki. Kiedy zobaczył jej zawartość, z trudem powstrzymał się od śmiechu. Mógłby wygrać zakład nie opuszczając nawet tego pokoju. Ujrzał świetnie zaopatrzony barek, z lodówką i aparaturą do robienia lodu. Jego szklane półki wypełnione były butelkami najbardziej wyrafinowanych alkoholi.

Nadżib napełnił szklankę wodą z syfonu, dodał lód i wrócił na swoje miejsce z niewzruszonym wyrazem twarzy.

Był bardzo zadowolony z tych paru minut, które zyskał. Zdążył się spokojnie zastanowić nad zmianą, jaka zaszła w Abdullahu od czasu, kiedy się ostatni raz widzieli. Przede wszystkim zmienił swój stosunek do niego. Abdullah zachowywał się tak, jakby miał niepodważalne dowody na to, że Nadżib go zdradził. Oczywiście było to tylko bezpodstawne podejrzenie, ale dla Abdullaha samo podejrzenie mogło stanowić dowód winy. Długoletni bojownicy często mieli paranoiczny sposób myślenia, niezrozumiały dla innych. Nadżib stwierdził, że największym nieprzyjacielem Abdullaha jest sam Abdullah. Dawniej potrafił przyjąć odpowiedzialność za źle zorganizowaną akcję, teraz obarczał winą wyłącznie swoich ludzi. Przedtem obdarzał ludzi zaufaniem, teraz podejrzewał nawet najbliższych i najbardziej lojalnych bojowników. Akcje, które przeprowadzał, jeszcze nie tak dawno służyły sprawie, teraz planował ją wyłącznie dla zaspokojenia osobistej nienawiści. Nadal interesował się sprawami Bliskiego Wschodu, uważał, że jest jedyną nadzieją dla Palestyńczyków przebywających w obozach uchodźców. Wszystko to służyło jednak tylko zaspokojeniu żądzy władzy.

Abdullah napawał się władzą, nadużywał jej i uwielbiał ten stan.

Nadżib postanowił zachować neutralny stosunek do jego wypowiedzi. Musiał go uważnie obserwować i czujnie reagować na każdą zmianę nastroju.

Usiadł na sofie, trzymając szklankę w ręku.

– W jaki sposób znalazł się wuj w tym pałacu? – spytał.

– W poprzednich latach bracia Tammam nie wykazywali żadnej gorliwości w popieraniu naszej sprawy. Teraz chcą nadrobić to zaniedbanie. Oddali ten pałac do mojej dyspozycji. Mogę go używać

zawsze, kiedy zajdzie taka potrzeba. Zdziwiłbyś się, gdybyś zobaczył, jacy stali się przyjacielscy – powiedział z kąśliwym uśmiechem.

– Hamid mówił mi, że Dalia Boralevi ma tu jutro dotrzeć – odezwał się Nadżib.

– Przyleci tym samym samolotem, którym ja odlatuje – skinął głową Abdullah. – Pułkownik Muammar zaprosił mnie na tydzień do Trypolisu. Jest moim gorącym poplecznikiem i jedynym przywódcą, który popierał mnie od samego początku – dodał dumnym tonem.

– Mógł mnie wuj zawiadomić o swoim wyjeździe – powiedział Nadżib czując, że ogarnia go złość. – Co ja mam tu robić? Siedzieć i czekać na powrót wuja? – Potrząsnął szklanką, w której zadźwięczały kostki lodu. – Chyba wuj nie zapomniał o tym, że prowadzę rozległe interesy. Nie widzę żadnego sensu w jałowym wyczekiwaniu nie wiadomo na co.

– Ach – Abdullah uniósł wskazujący palec – jest w tym sens – powiedział z jadowitym uśmiechem.

Nadżib siedział w milczeniu.

– To jest test. Sam chyba rozumiesz.

Nadżib zesztywniał. Czuł, że na czole występują mu kropelki potu. Zachował jednak spokój. Potrząsnął przecząco głową.

– Przykro mi, ale nie rozumiem. Może wuj zechce mi wytłumaczyć.

– Chcę się przekonać, czy jeszcze to w tobie siedzi – powiedział Abdullah.

– Czy to we mnie siedzi? – Nadżib nie krył oburzenia. – Co takiego?

– Proszę cię – Abdullah wykonał uspokajający gest dłonią. – W jakim celu prowadzimy między sobą tę grę? Obaj dobrze wiemy, o co chodzi – o twój zachodni tryb życia. Pozycja, jaką zajmujesz, mogła

uczynić z ciebie mięczaka – powiedział z ironicznym uśmiechem. – Chcę zobaczyć, czy pamiętasz jeszcze o przeszłości.

Nadżib przestał panować nad gniewem. Miał tego dość i nie interesowały go ewentualne konsekwencje.

– Przeszłość! Przeszłość! – krzyknął. – Wuj zawsze wspomina przeszłość. Zapomina wuj, że oni zabili moją siostrę.

– W oczach Allacha wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami – powiedział Abdullah.

– Dlaczego przywołujesz imię Allacha, kiedy nie wiesz, co odpowiedzieć? – spytał Nadżib. – Kiedy trzeba coś wytłumaczyć, zawsze szukasz pomocy u Allacha.

Twarz Abdullaha pociemniała z wściekłości.

– Nie tylko zmyślasz – krzyknął piskliwym głosem – ale również bluźnisz! Skazywałem ludzi na śmierć za mniejsze przewinienia niż twoje!

Nadżib uśmiechnął się ponuro.

– Proszę o wybaczenie – powiedział spokojnym głosem, w którym brzmiała nuta pogardy. – Po zabiciu wszystkich zostanie wuj sam i będzie się zastanawiać, gdzie się podziali jego przyjaciele – podniósł się z sofy zdecydowany na wszystko. – Mam tego dosyć. Idę do swojego apartamentu. Kiedy odzyska wuj zdrowy rozsądek, proszę po mnie przysłać.

– Siadaj – powiedział spokojnie Abdullah.

Nadżib spojrzał na niego ze zdziwieniem. Po tym, jak mu się przeciwstawił, zmieniło się nagle zachowanie Abdullaha. Był to fakt, który należało zapamiętać.

Usiadł w milczeniu.

– Nie po to posłałem po ciebie, żeby się z tobą sprzeczać. Jest tyle ważnych spraw do przedyskutowania.

– Ja też nie przyjechałem tutaj po to, aby tracić czas – powiedział Nadżib. – Wuj dobrze wie, jakie wielkie jest imperium przemysłowe, którym zarządzam. Nie mogę tu siedzieć bez końca i czekać, aż wuj zdecyduje się wrócić z Libii. Czas to pieniądz i nie mam zamiaru go marnować. Teraz, kiedy ta kobieta jest już w rękach wuja, trzeba ją natychmiast wykończyć albo wypuścić wolno. Nie ma potrzeby ciągnąć tego w nieskończoność. Najlepiej zabić od razu.

– Chyba nie myślisz, że zorganizowałem całe to porwanie po to, aby ją zabić – powiedział Abdullah. – To można było załatwić na lotnisku.

– Więc czego wuj oczekuje? – Nadżib zmarszczył brwi.

– Po pierwsze pieniądze.

– Po co ta chciwość? Mamy przecież miliony dolarów do swojej dyspozycji.

– Nie zaszkodzi mieć więcej – powiedział Abdullah. – Poza tym pieniądze nie grają tu głównej roli.

– Więc co? – spytał Nadżib.

Abdullah wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

– Dwunastu naszych ludzi znajduje się w izraelskich więzieniach, a trzech uwięzionych jest w Grecji. Będę żądał ich uwolnienia. Chcę także uzyskać zwolnienie wszystkich więźniów z Al Fatah, OWP oraz Fedainów. Pozostaje jeszcze sprawa pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu milionów dolarów, które mają być rozdzielone pomiędzy uchodźców przebywających w obozach. Właśnie tego żądam.

Nadżib patrzył na niego w milczeniu. Nie dowierzał własnym uszom. Szalone ambicje Abdullaha przekraczały granice jego wyobraźni.

– Izraelczycy nigdy się na to nie zgodzą – powiedział spokojnie. – Do tej pory zawsze twardo przeciwstawiali się żądaniom okupu.

– Okup! – zadrwił Abdullah. – Mówisz tak, jakbyśmy byli zwykłymi kidnaperami.

Nadżib postanowił milczeć.

– Do tej pory – ciągnął wuj – nie mieliśmy tak ważnej zakładniczki. Przetrzymując ją mamy w ręku wielki atut. To jest jedna z najbardziej znanych kobiet na świecie. Odezwą się miliony jej wielbicieli. Wiele zachodnich rządów będzie wywierać presję na Izrael i zmusi ich do przyjęcia naszych warunków. Nie zdziwiłbym się, gdyby ta sprawa trafiła na forum Narodów Zjednoczonych. – Oczy mu pałały. – Pomyśl tylko, bratanku! Jeśli uda mi się uwolnić więźniów, zyskam nieograniczoną władzę. Odbiorę Arafatowi wszystkich jego zwolenników. Wszyscy przyłączą się do mnie! Do mnie! – Uderzył dłonią o poręcz fotela. – Ja stanę się najpotężniejszym przywódcą całego świata islamu!

On jest szalony. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że jest szalony, Nadżiba zaczęło ogarniać przerażenie.

– Czy wuj zastanowił się nad tym, gdzie jesteśmy? – spytał cicho.

– O co ci chodzi? – warknął Abdullah, pogrążony w myślach o swojej przyszłej potędze.

– Tak się składa, że znajdujemy się na terenie Arabii Saudyjskiej – przypomniał mu Nadżib – która utrzymuje bardzo dobre stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. Ich petrodolary, sprzęt wojskowy i nowe wynalazki techniczne pochodzą z Ameryki. W tej chwili prowadzą właśnie negocjacje w sprawie kupna amerykańskich samolotów wojskowych i nie pozwolą, aby cokolwiek

stanęło im na przeszkodzie. Oddadzą nas Amerykanom bez chwili wahania.

– Stwarzasz problemy – powiedział niechętnie Abdullah.

Nagła myśl olśniła Nadżiba.

– Oczywiście Saudyjczycy nie wiedzą o pobycie wuja w ich państwie?

– Dlaczego mieliby wiedzieć – uśmiechnął się Abdullah. – Są sposoby na to, aby przekroczyć granicę i nie zostać wykrytym.

Nadżib przymknął oczy. Czuł się kompletnie ogłupiały. Szaleństwo Abdullaha mogło wywołać wojnę na całym Bliskim Wschodzie.

– A jeśli plan wuja się powiedzie – spytał ostrożnie – to co się stanie z tą Boralevi?

– Dopóki będzie przydatna, pozostawimy ją przy życiu, a potem zabijemy – powiedział beznamiętnie.

– Nawet jeżeli, powtarzam, jeżeli, bo nie jest to wcale pewne, więźniowie zostaną zwolnieni.

– Nie rozumiem, dlaczego miałoby to stanowić jakąś różnicę – powiedział Abdullah ze zdziwieniem.

– Ale jeśli jej uwolnienie będzie warunkiem umowy...

– Umowa! – zadrwił Abdullah. – Stałeś się mięczakiem, bratanku. Z wrogami nie zawiera się umów. Dobrze ci zrobi pobyt z nami. Staniesz się znowu mężczyzną.

Nadżib postanowił zignorować obraźliwe słowa. Musiał zapewnić sobie swobodę, nie mógł pozwolić na to, aby Abdullah złapał go w pułapkę i uczynił swoim więźniem. Przecież zupełnie zatracił poczucie rzeczywistości.

– To mi wygląda na propozycję dłuższego pobytu – powiedział. – Zdaje sobie wuj sprawę z tego, że nie mogę pozostać tu długo. Jeśli

nie będzie mnie na miejscu, całe imperium biznesu może się rozlecieć. – Pogrążył się w myślach. – Ale mając do dyspozycji samolot mógłbym tak ustawić swoje sprawy, żeby kursować pomiędzy Nowym Jorkiem a tym pałacem.

Abdullah skrzywił się. Po chwili zastanowienia skinął potakująco głową.

– Zrób tak — powiedział. – Ale bądź na miejscu, kiedy wrócę z Trypolisu. Mam ważną sprawę do omówienia z tobą i z Kalidem.

– Czy nie możemy jej omówić jutro, kiedy Kalid przybędzie z aktorką?

– Jutro nie będzie na to czasu – potrząsnął głową Abdullah.– Poza tym wiele będzie zależało od tego, jak potoczą się moje rozmowy z pułkownikiem Kadafim.

– Dobrze – powiedział z rezygnacją Nadżib. — Będę tutaj czekał na powrót wuja.

– Mam nadzieję – uśmiechnął się Abdullah. – Bądź pewny, że to, co chcę wam zaproponować, wywoła wstrząs na całym świecie.

Dalię zbudziły czyjeś śmiechy i szepty. Otworzyła oczy drżąc z przerażenia. Usiłowała wyswobodzić się z więzów, ale ręce nadal miała mocno związane.

Dokoła niej, w mglistym świetle lampy, poruszyły się trzy postacie szczelnie otulone czarnymi szatami. W mroku widać było jedynie ich błyszczące oczy. Dotykały ją długimi palcami, szeptały i chichotały. Ich wydłużone cienie odbywały jakiś diabelski taniec na ścianach namiotu.

Jedna z postaci nachyliła się nad nią. W dokładnie zakrytej twarzy lśniły czarne, łagodne oczy. Dalia wydała westchnienie ulgi.

Nie byli to żadni zamaskowani bandyci, tylko kobiety, Beduinki. Połowa ich twarzy zasłonięta była czarnym, haftowanym materiałem, z którego zwisały złote monety – symbol zamożności ich mężów.

Dalia odczuła wielką ulgę.

Siedząca przy niej kobieta podniosła rękę i dotknęła jej włosów. Dopiero teraz Dalia zauważyła, że ktoś przykrył ją w nocy kocem.

– Przyniosłyśmy wodę – powiedziała po arabsku jedna z Beduinek. – Musisz być bardzo spragniona. – Zbliżyła naczynie z koźlej skóry do ust Dalii. – *Min Fedlak*, proszę.

Dalia skrzywiła się. Naczynie cuchnęło, a dziobek do picia oblepiony był brudem. Poczuła, że robi się jej niedobrze.

– *Min Fedlak* – powtórzyła tamta potrząsając naczyniem, w którym zabulgotała woda. – Pij.

Dalia otworzyła usta. Beduinka skierowała w nie strumień wody, nie uroniwszy z niego ani kropli. Dalia zatrzymała przez chwilę wodę w ustach, zanim zaczęła ją powoli połykać. Woda była wspaniała. Chociaż ciepła, mulista i nieświeża, była to jednak woda, życiodajna, niezastąpiona woda. O wiele lepsza od butelkowanych wód z górskich strumieni, które kupowała w Ameryce.

Otworzyła usta jeszcze raz, ale kobieta potrząsnęła przecząco głową i odstawiła naczynie. Dalia opuściła oczy i zawstydziła się swojej zachłanności. Powinna być wdzięczna za to, co dostała, a nie prosić o więcej. Dla Beduinów woda była cenniejsza niż złoto.

– Dziękuję – powiedziała po arabsku, patrząc na kobietę, która ją napoiła.

W oczach Beduinki widać było zadowolenie, że Dalia mówi w jej języku.

– *Min Fedlak* – błagała ją Dalia, z trudem przywołując z pamięci dawno nie używane słowa. – Proszę cię, droga przyjaciółko, czy możesz rozwiązać mi ręce? Sznur wrzyna mi się w ciało.

– Nie, tego nie możemy zrobić – odpowiedziała kobieta ciepłym głosem.

– Może powiecie mi, gdzie jestem? – spytała Dalia.

– Nie, przykro mi, ale nie.

W oczach kobiety pojawił się nagle strach. Potrząsnęła głową, ułożyła Dalię na posłaniu i otuliła brudnym kocem.

– Tak mi przykro – powtórzyła. – Przyniesiemy ci jeszcze wody i potrawkę z jagnięcia. Tak mi przykro...

Kobiety zabrały lampę i bezszelestnie wyszły z namiotu.

Dalię przeszedł dreszcz. Intensywna czerń nocy, na którą tylko zdołała zerknąć, kiedy kobiety odchyliły klapę namiotu, przeraziła ją. Postanowiła znowu szukać ucieczki we śnie.

Osiemnaście godzin upłynęło od momentu, kiedy samolot Dalii wylądował na lotnisku Ben Guriona.

W mieszkaniu Tamary i Daniego nadal wisiały przygotowane na jej przyjazd dekoracje. Wielki napis WITAJ W DOMU, DALIA przypominał o jej nieobecności, ale nikt nie miał głowy do zajmowania się takimi drobiazgami.

Tamara siedziała w fotelu z poszarzałą twarzą i oczami pełnymi łez. Sissi i Ari, oboje bardzo bladzi, trzymali się bezustannie za ręce. Szmaria biegał nerwowo po pokoju. Zniknięcie Dalii wywołało u niego atak wściekłości.

– To wszystko nasza cholerna wina! – krzyczał, bijąc pięścią w kredens.

Ten nagły hałas spowodował, że wszyscy podskoczyli gwałtownie. Mieli za sobą nieprzespaną noc i słyszeli każdy dźwięk ze zdwojoną siłą.

– W przerwach pomiędzy wojnami staliśmy się zbyt łagodni, a teraz szokują nas takie wypadki jak ten! Powiadam wam, że jeśli wreszcie nie nauczymy się dbać o własne interesy, to niech rzucają na nas bomby, strzelają i porywają, bo nie zasługujemy na nic lepszego. Ale jak mamy się chronić – rozpoczął swój ulubiony temat – jeżeli *Neturei Karta,* niech ich ortodoksyjne dusze nie wyjrzą nigdy z piekła, nie uznają nawet państwa Izrael? Chcą mieszkać tutaj i być Żydami, ale czy chcą być Izraelczykami? Nawet nie uważają Izraela za samodzielne państwo! Jak możemy obronić się przed atakami z zewnątrz, jeśli jesteśmy rozdarci od środka? – Szmaria znowu zaczął walić pięścią w kredens.

W pokoju znajdowali się trzej obcy mężczyźni. Dwóch z nich było z Szin Bet, tajnych służb izraelskich, a trzeciego, pana Kana, Ari i Sissi podejrzewali o przynależność do Mosadu. Żaden z nich nie zwracał uwagi na tyradę Szmarii. Zajmowali się spokojnie swoją pracą. Zakładali podsłuch w telefonie.

– Ile razy starałem się przekonać tych głupców w Knesecie – podniecał się coraz bardziej Szmaria – że jeśli nie będziemy utrzymywać...

– Przestań, ojcze! – krzyknęła nagle Tamara. – Jesteśmy już wystarczająco zdenerwowani. Nie potrzebujemy wykładów, co można było zrobić, żeby tego uniknąć! Jeśli nie przestaniesz krzyczeć i walić pięściami w meble, to dostanę ataku histerii! – Nagle jej głos się załamał. – Nie wierzę, żeby ktoś chciał skrzywdzić Dalię. Wiem tylko, że zniknęła – zaszlochała. – Żeby tylko... żebyśmy mieli jakieś wiadomości, żądanie okupu... cokolwiek... żebyśmy

tylko coś wiedzieli. Tak to się zwykle odbywa, prawda? – To pytanie skierowane było do pana Kana.

– Tak, jeżeli ma się do czynienia ze zwykłym porwaniem – powiedział spokojnie, podnosząc głowę znad zwoju kabli telefonicznych.

– Minęło już osiemnaście godzin – denerwowała się Tamara. – Powinniśmy mieć już jakąś wiadomość, nie uważa pan? To znaczy... o Boże!

Tamara wyprostowała się w fotelu, złapała męża za rękę i zaczęła nią energicznie potrząsać.

– Nasz numer telefonu jest zastrzeżony! Może właśnie dlatego... Dobry Boże, Dani, może oni chcieli zatelefonować i...

– Proszę posłuchać, pani ben Yaacov – powiedział pan Kan beznamiętnym głosem. – Jeżeli pani córka została porwana dla okupu, to porywacze niewątpliwie znajdą sposób, aby się z państwem skontaktować. Może nawet już zdobyli państwa numer. Mogą go również otrzymać od córki albo dadzą znać listownie. – Wzruszył ramionami. – Istnieje mnóstwo sposobów, którymi mogą się posłużyć.

– Pan mówi – rozpoczęła Tamara, którą słowa pana Kana jeszcze bardziej wyprowadziły z równowagi – pan mówi o „zwykłych" przypadkach i „jeśli została porwana dla okupu"! – Głos jej nabierał histerycznego brzmienia.

Przez kilka pierwszych godzin Tamara była nienaturalnie spokojna i opanowana. Powoli jednak coś się w niej załamywało, była teraz starą zrozpaczoną kobietą.

– To na pewno jest zwykłe porwanie – krzyknęła. – Nie może być nic innego! Ktoś porwał Dalię i chce uzyskać okup.

– To prawda – powiedział pan Kan. – Ale muszę panią ostrzec, że w tym wypadku może nie chodzić o pieniądze.

– Dani! – Tamara zwróciła się do męża. – Co on chce przez to powiedzieć? Oczywiście, że chodzi o pieniądze. Może powinniśmy już zacząć je gromadzić?

– Pan Kan może mieć rację, kochanie – powiedział Dani, patrząc na nią ze współczuciem. – Zbieranie pieniędzy nie ma sensu, dopóki nie znamy ich żądań. – Odwrócił głowę. – Jeśli w ogóle będą jakieś żądania.

– Dani! – Przerwała mu, ciężko łapiąc oddech. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jesteśmy w Izraelu, kochanie. Porwanie dla pieniędzy jest tu niezwykle rzadkie. Właściwie się nie zdarza.

– To znaczy – podjęła Tamara drżącym głosem – że to jest... sprawa polityczna?

– Słuchaj, jest już bardzo późno. Musimy się choć trochę przespać. Wszystkie telefony będą nagrywane na taśmę. Ktoś z Szin Bet będzie miał tu stale dyżur. Jeśli będzie jakiś telefon, to nas obudzi. – Położył jej ręce na ramionach. – Możemy tylko czekać, nic innego nam nie pozostaje.

– Czekać – powtórzyła z westchnieniem Tamara. – O Boże, tak się boję. – Chwyciła męża za rękę. – Oni nie zrobią jej krzywdy, prawda?

Ale Dani nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Beduini szykowali się do dalszej podróży.

Kobiety przyniosły Dalii śniadanie: parę kawałków placka, dwa paski suszonego mięsa i trochę ciepłej wody. Potem ubrały ją w strój

Beduinki, czarną *abaję*, a twarz zasłoniły całkowicie grubą, czarną zasłoną, w której na poziomie oczu znajdowały się pokryte drobną siatką otwory. Dalia wiedziała, że jest to okrycie noszone przez najbardziej ortodoksyjne muzułmanki, i straciła wszelką nadzieję, aby mogła zostać kiedykolwiek rozpoznana i uwolniona. Na dodatek, żeby nie wzbudzać podejrzeń, Beduinki założyły identyczne zasłony.

Grupa, z którą wbrew swej woli podróżowała Dalia, składała się z szesnastu osób, dwanaście z nich było Beduinami. Trzej porywacze także założyli stroje Beduinów i nawet Dalii trudno było ich w tym przebraniu rozpoznać.

Całą grupą kierował Kalid. Siedząc na jednym z sześciu wielbłądów, stale kontrolował trasę, decydował o miejscu postoju i tempie marszu.

Wyruszyli o świcie, kiedy niebo usiane było jeszcze gwiazdami. Dalię posadzono i przywiązano do siodła jednego z wielbłądów, którego prowadził jakiś Beduin.

Powinna być wdzięczna, że nie kazano jej iść piechotą, ale jazda na wielbłądzie przyprawiała ją o mdłości. Bolały ją związane ręce, a wkrótce zdrętwiały jej także przywiązane do siodła nogi. Zamknęła oczy, wyobrażając sobie, że kołysanie wielbłąda jest bujaniem się na łodzi na falach. Robiła wszystko, aby zapomnieć o rzeczywistości.

Beduini szli pieszo.

Kiedy wzeszło słońce i nie było już niebezpieczeństwa, że Dalia ucieknie pod osłoną nocy, rozwiązali jej nogi. Gdy stanęła na piasku, zakręciło jej się w głowie i upadła na kolana.

Jedna z kobiet podbiegła, aby jej pomóc, ale Kalid ją powstrzymał i odeszła do swoich.

– Pójdziesz pieszo – powiedział Kalid po angielsku, stawiając Dalię na nogi. – Jeśli będziesz usiłowała uciekać, to zwiążemy cię znowu. Rozumiesz?

– Tak – powiedziała Dalia i skinęła potakująco głową.

Kalid rozciął więzy krępujące jej ręce. Nareszcie. Całkowicie straciła czucie w dłoniach i nie była w stanie poruszać palcami. Pocieszała się myślą, że objawy te powinny po pewnym czasie ustąpić.

Dobrze się czuła idąc. Tak długo była związana, że tylko ruch mógł przywrócić krążenie krwi w jej żyłach. Nie przejmowała się tym, że stale potyka się o kamienie albo zapada po kostki w piasek. Nie szła po równej płaszczyźnie, tylko po pofalowanych wzgórkach, ciągle w górę i w dół.

Trzymano ją w pewnej odległości od Beduinek, które odwracały się do czasu do czasu, żeby na nią popatrzeć. Nie pozwolono jej odzywać się do nikogo. Kiedy musiała udać się na stronę, asystowała jej jedna z kobiet.

Po słońcu zorientowała się, że idą na południe. Nie miała jednak pojęcia, gdzie byli i dokąd zamierzali dotrzeć.

Piaszczyste wzgórza miały szarobrązowy kolor. Karawana unikała uczęszczanych szlaków, omijając z daleka wioski. Od czasu do czasu Kalid wraz z jednym z Beduinów wysuwali się do przodu i obserwowali pustynię z jakiegoś wzgórza. Wszędzie roztaczał się ten sam widok: piaszczyste wzgórza, kamienie i nagie połacie piasku. Dalia nie mogła się zorientować, jaka to pustynia, równie dobrze mógł to być pustynny obszar Negew lub Synaju.

Przed południem zatrzymali się na posiłek. Znowu dostała kawałek placka i trochę suszonego mięsa. Po zjedzeniu ruszyli w dalszą drogę. Dalia wyczuła, że są teraz bardziej czujni. W grupie

zapanowało nagłe napięcie. Po wysokości słońca domyśliła się, że dochodzi druga. Wszyscy zachowywali milczenie, rozglądając się dokoła i obserwując odległy horyzont.

Po pewnym czasie Kalid zarządził, aby ciężką zasłonę, którą Dalia miała na twarzy, zamienić na zwykłą. Odsłonięto jej oczy. Pomyślała, że musieli przekroczyć jakąś granicę. Nikt nie chciał jednak odpowiedzieć na żadne jej pytanie.

Po kilku godzinach zatrzymali się na kolejny posiłek. Kalid popatrzył na słońce i zaczął oglądać mapę. Wyciągnął krótkofalówkę. Po chwili rozmowy jeszcze raz obejrzał mapę i dał sygnał, aby ruszać w drogę. Po godzinie dotarli do pasa startowego, na którym stał mały samolot.

Kalid i jego dwaj towarzysze wprowadzili Dalię do samolotu, który natychmiast wystartował, obierając kierunek na południe.

Nadżib patrzył przez okno apartamentu Saida Tammama, znajdującego się na trzecim piętrze pałacu. Zauważył, że pas startowy jest mocno oświetlony. Zgasił światło, odsunął szybę i czekał na samolot, który według jego obliczeń powinien niedługo przylecieć. Chciał zobaczyć, jak będzie schodził do lądowania. Usłyszał szum silników. Widział, że samochód czeka już na pasie startowym. Odszedł od okna i zapalił światło.

A więc nadszedł czas. Przeszłość znowu powróciła. Dalia Boralevi prawdopodobnie wysiada teraz z samolotu, którym Abdullah ma zaraz odlecieć do Libii.

Nadżib podszedł do barku Saida i nalał sobie whisky. Podniósł szklankę w geście powitania długo oczekiwanego gościa, po czym jednym haustem wychylił jej zawartość.

Myślał o tym, jak wszystko się zmieniło. Był zadowolony, że przyjechał, chociaż jeszcze przed chwilą marzył jedynie o tym, aby się od tego wszystkiego uwolnić. Zrozumiał, że to spotkanie było im pisane. Może w ten sposób zdoła uwolnić się od przeszłości, która przez te wszystkie lata wisiała nad nim jak czarna chmura.

Przebrał się w czystą galabijję, a na głowę założył kufie z czarno-złotą opaską. Przejrzał się z zadowoleniem w lustrze. W tych szatach wyglądał na prawdziwego syna pustyni.

Przeszedł wolno długim korytarzem i dotarł do galerii, okalającej główny hol. Postanowił nie schodzić na dół. Tutaj miał lepszy punkt obserwacyjny.

Spacerował po galerii, a szelest jego szaty był jedynym dźwiękiem słyszalnym w całym pałacu. Mogło się wydawać, że nikogo w nim więcej nie było.

Po piętnastu minutach drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem. Wszedł Kalid i Hamid wraz z niemiecką terrorystką, która popychała przed sobą jaką postać spowitą w czarne szaty.

– Ruszaj się! – krzyczała Monika. – Prędzej. Tędy, przez te drzwi.

– Zostaw ją! – rozległ się głos z galerii.

Wszyscy spojrzeli w górę. Mężczyźni wycofali się natychmiast, ale Monika nie posłuchała i nadal trzymała Dalię. Nadżib wolno schodził ze schodów. Podszedł do nich i gestem nakazał Monice, aby się odsunęła. Nie ruszyła się z miejsca.

– Mam rozkaz od Abdullaha, aby jej pilnować – powiedziała, prostując się dumnie.

– Sam się tym zajmę – Nadżib popatrzył na nią chłodno.– Wynoś się – powiedział rozkazującym tonem.

Twarz Moniki stężała z wściekłości. Odwróciła się szybko i pomaszerowała w kierunku drzwi. Zostali sami.

Patrzył w oczy Dalii. W jednej chwili zapomniał o przeszłości. Były tylko te oczy, które błyszczały nad czarną zasłoną okrywającą twarz. Czuł się tak, jakby ktoś rzucił na niego urok.

W jej lekko skośnych oczach, ocienionych długimi rzęsami, kryła się szmaragdowa zieleń i kolor syberyjskich malachitów. Były to najbardziej niezwykłe oczy, jakie widział w życiu.

Stali tak naprzeciwko siebie, on w śnieżnej bieli, a ona w głębokiej czerni. Oboje milczeli. Usłyszał, jak głośno wciągnęła powietrze, a w jej oczach pojawiły się dzikie błyski. Zaczęła się śmiać.

Śmiech ten był tak obraźliwy, że cofnął się gwałtownie. Patrzyła na niego z pogardą.

– Patrzcie państwo – powiedziała ironicznie. – Kto by pomyślał, że sam Nadżib al-Ameer musi się posuwać do takich sposobów, aby zdobyć kobietę!

– Pani mnie poznaje? – spytał Nadżib zdumiony.

Zły był na siebie, że okazał zdziwienie. Przecież było oczywiste, że go pozna. Trzeba było to przewidzieć wcześniej. Telewizja i dzienniki na wszystkich kontynentach bez przerwy pokazywały jego zdjęcia.

– Oczywiście. Nawet w tym głupim przebraniu. Wygląda pan jak sam Rudolf Valentino.

– Czy jest pani zdziwiona?

– Dlaczego nie miałabym się dziwić? Nie spodziewałam się na końcu tej podróży spotkać pana, Nadżiba al-Ameera, najbogatszego człowieka na świecie – zaśmiała się drwiąco.

– Nie jestem najbogatszym człowiekiem na świecie – powiedział Nadżib, starając się nie stracić panowania nad sobą. – Nawet nie pretenduję do tego tytułu.

– Najbogatszy czy nie – Dalia machnęła rękę. – Jakie to ma znaczenie?

Nadżib milczał.

Jej oczy zwęziły się, a głos nabrał ostrego brzmienia.

– Czego pan ode mnie chce? – spytała.

Nadżib nie odpowiadał.

– Dlaczego sprowadził mnie pan tutaj? Niech pan mówi, do cholery! Czy to ma być jakaś perwersyjna gra seksualna?

– Na pani miejscu starałbym się panować nad słowami – powiedział spokojnie.

Teraz dopiero zauważył, że Dalia masuje nadgarstki. Szybko odwrócił wzrok, widząc ślady po zbyt mocno związanym sznurze i przeciętą, krwawiącą skórę.

Wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Nigdy nie podejrzewał, że ogarnia go takie poczucie winy. Wielokrotnie wyobrażał sobie tę chwilę, ale nie przypuszczał, że sprawy tak się skomplikują.

Przez tę przeklętą zasłonę na twarzy Dalia stała się bardziej kobieca, nieodgadniona. To właśnie aura tajemnicy zrobiła na nim największe wrażenie. Miał ochotę odsłonić jej twarz.

– Przykro mi, że spotkaliśmy się w tak niefortunnych okolicznościach – powiedział wreszcie. – Jeśli mógłbym w czymkolwiek pomóc...

– Mógłby mi pan oddać pewną cholerną przysługę – warknęła. – Uwolnić mnie i odesłać do domu. To właśnie mógłby pan zrobić!

Nadżib przymknął oczy. Popełnił duży błąd. Nie powinien był wychodzić jej na spotkanie. Uosabiała to wszystko, czego nauczył się nienawidzić, wszystko, co postanowił zniszczyć. Nie przyszło mu do głowy, że ulegnie jej czarowi. Zrobił z siebie głupca!

– Zaprowadzę panią do pokoju – chciał wziąć ją za rękę.

– Niech mnie pan nie dotyka! – wyrwała mu się ze złością.

– Dobrze. Jeśli pani woli tę Niemkę...

Rzuciła mu mordercze spojrzenie.

– Wolę każdego od ciebie, ty arabska świnio!

– Żydowska suka! – powiedział, zrywając jej zasłonę z twarzy.

Jego czarne oczy zwęziły się. Złapał ją jedną ręką za szyję, a drugą położył na jej piersi i mocno ścisnął.

Dalia zesztywniała. Stała przed nim jak marmurowy posąg, – mierząc go nienawistnym spojrzeniem.

Ściskał ją coraz mocniej. Chociaż zbladła, a kropelki potu wystąpiły jej na czoło, nadal miała w oczach drwinę.

Odtrącił ją gwałtownie.

– Jesteś marną kurwą – powiedział.

Hamid i Monika zaprowadzili ją na górę. Dalia nie była w stanie zebrać myśli. Gdyby nie pewność, że to niemożliwe, mogłaby przypuszczać, że Nadżib al-Ameer jest nią zainteresowany. Dlaczego w taki sposób na nią patrzył? Doszła do wniosku, że przemawiała przez niego nienawiść i dlatego chciał jej sprawić ból.

Nie patrzyła, dokąd ją prowadzą. Zauważyła tylko, że przechodzą przez jakieś sale i długie korytarze. Wreszcie Hamid pchnął ciężkie drzwi.

– Możesz za to podziękować temu arabskiemu kapitaliście – warknęła Monika. – Nie rozumiem, dlaczego ma do ciebie taką słabość. Gdyby to zależało ode mnie, zamknęłabym cię w ciemnej piwnicy.

Dalia nie rozumiała, o co jej chodzi, dopóki nie znalazła się w środku, gdzie zostawiono ją samą, zamykając drzwi od zewnątrz. Rozglądała się po wspaniałym, różowym apartamencie.

Spodziewała się ciemnej piwnicy, a była to złota klatka.

W każdym większym mieście jest jakaś znana kawiarnia – miejsce, do którego przychodzi się, aby zostać zauważonym. Można tam przejrzeć gazetę i posiedzieć nad filiżanką kawy. W takich znanych kawiarniach zbierają się zawsze artyści i intelektualiści. Wstępują do nich również zwiedzający miasto turyści. W Tel Awiwie takim właśnie miejscem jest Kassit Cafe.

Szmaria wybrał tę kawiarnię na miejsce ważnego spotkania, ponieważ, jak słusznie sądził, nikt nie mógłby podejrzewać, że w tak znanym i uczęszczanym lokalu omawia się sprawy otoczone ścisłą tajemnicą. Nawet gdyby ktoś rozpoznał w jego towarzyszu agenta tajnych służb, uznałby to spotkanie za przypadkowe.

Chaim Golan był szefem Mosadu.

Zupełnie nie zwracał na siebie uwagi. Wyglądał na dobrodusznego starszego pana, ze swoimi niebieskimi oczami, nieporządną białą czupryną i szerokim, ujmującym uśmiechem.

– Popatrz – zwrócił się do Szmarii, wskazując ręką ulicę pełną przechodniów. – Zachowują się jak beztroskie dzieci. Jakby byli w Paryżu lub Rzymie. Ci trzymają się za ręce i patrzą sobie w oczy, tamci niosą zakupy, a ten cieszy się, że spotkał przyjaciela. Czy nie

zdają sobie sprawy, że w każdej chwili może wybuchnąć bomba i zmieść ich z powierzchni ziemi?

– Oczywiście, że o tym wiedzą – powiedział Szmaria. – Ta myśl nigdy ich nie opuszcza. Dlatego chcą być weseli, bo każdy dzień może być ich ostatnim.

– Nasz problem polega na tym – Golan z szacunkiem popatrzył na Szmarię – że my dwaj jesteśmy w jakiś sposób skażeni. – Westchnął głęboko. – Obaj przeżyliśmy zbyt wiele, widzieliśmy tyle tragedii.

– A mimo to ani ty, ani ja nie jesteśmy przygotowani na to, co może się zdarzyć. – Szmaria zmarszczył brwi. – Zawsze, kiedy to następuje, jesteśmy zdziwieni i zaszokowani, tak jak wszyscy.

– To prawda – powiedział Golan.

Szukał czegoś w kieszeniach marynarki. Wyjął cygaro, włożył je do ust i ponownie przetrząsnął kieszenie w poszukiwaniu zapałek.

– Wracając do naszej sprawy – powiedział. – Do tej pory niczego się jeszcze nie dowiedzieliśmy. Twoja wnuczka rozpłynęła się w powietrzu.

– Co z granicami? – spytał Szmaria.

– O ile wiem, nikt nie próbował jej przeszmuglować. Nie znaczy to, że nie zrobiono tego wcześniej, zanim jeszcze rozpoczęliśmy zakrojoną na szeroką skalę akcję.

– Czy porozumiałeś się z naszymi zagranicznymi donosicielami?

– Oczywiście – powiedział z oburzeniem Golan. – Ale na razie... nic ciekawego. To na pewno nie byli amatorzy. Psy nie znalazły żadnego śladu.

– Nic? Nawet w sprawie zamordowanego pracownika lotniska?

– Nic. Największym problemem ze zbrodniami popełnianymi na lotniskach jest zawsze brak świadków. Zanim się do czegokolwiek dojdzie, wszyscy świadkowie już dawno są w swoich samolotach.

Szmaria w milczeniu bawił się filiżanką. Ciężko westchnął.

– To co zrobimy? – spytał ponuro.

– Potrzeba nam czasu. Takie sprawy długo się ciągną. – Golan ze współczuciem pokiwał głową. – Jeśli porywacze nie dadzą żadnego znaku życia, nie będziemy w stanie jej odnaleźć. Możemy trafić na ich ślad tylko wtedy, gdy się z nami skontaktują. W innym przypadku... – nie dokończył zdania.

– Mówimy o mojej wnuczce! – krzyknął oburzony Szmaria. – Ona jest dumą Izraela!

– Wiem, co czujesz, przyjacielu – powiedział uspokajająco Golan. – Wiem również, jak cierpią jej rodzice. Nie zapominaj jednak, że brak informacji od porywaczy wcale nie musi oznaczać złych wiadomości.

– Złych wiadomości? – krzyknął Szmaria ze złością.

Ludzie odwrócili się od swoich stolików i patrzyli na niego ze zdziwieniem. Zawstydzony Szmaria zniżył głos do szeptu.

– Chcę zabić wszystkich, którzy są za to odpowiedzialni! Mógłbym ich zamordować z zimną krwią!

– To do czego ja ci jestem potrzebny?

Szmaria ciągle bawił się swoją filiżanką. Ręce mu się trzęsły, a wyraz twarzy zdradzał głęboki ból.

– Jest chyba jakiś sposób, żeby zmusić ich do działania?

– Jak sobie radzisz, przyjacielu, z konferencjami prasowymi? – Golan usiłował zmienić temat rozmowy.

– Bez większych problemów, ale jest to raczej specjalność mojej córki – powiedział Szmaria ponuro.

– To dobrze. Bądź tylko obecny, a resztę zostaw Tamarze.

– Myślisz, że konferencja prasowa może pobudzić ich do działania?

– Może, ale nie musi. Nikt nie jest w stanie tego przewidzieć. Ponieważ do tej pory nie dali żadnego znaku, to znaczy, że im się nie spieszy. Zwykle w takim wypadku ktoś daje znać prasie. Ale jeśli wy podacie to do publicznej wiadomości... – Golan w milczeniu pokiwał głową. – Jeszcze nikt nie przyznał się do porwania, a konferencja prasowa może ich do tego skłonić. Być może zachęci również ludzi, którzy mogą dostarczyć jakiś informacji.

– Co mamy powiedzieć?

– Co wam będzie serce dyktować – powiedział Golan po chwili namysłu.

– A potem będziemy czekać.

– A potem będziemy czekać – powtórzył Golan z radosnym wyrazem twarzy. – Pamiętaj, że mamy wszelkie podstawy, aby sądzić, że nie stało jej się nic złego! A tego, przyjacielu, nie może powiedzieć większość rodzin, w których zdarzyło się porwanie. Stale się zastanawiam, dlaczego oni ją porwali. Takich rzeczy nie robi się bez powodu.

– Cały czas zadaję sobie to pytanie – Szmaria skinął głową.

– I co?

– Doszedłem do wniosku, że będą żądać jakiegoś specjalnego okupu. Obawiam się, że im nie chodzi o pieniądze.

– Możliwe... – Golan palił cygaro. – To całkiem możliwe. Szczególnie... – odchrząknął – szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę ciebie i Daniego.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Szmaria.

– Mogę się mylić – Golan wzruszył ramionami – ale mogę też mieć rację. Istnieje możliwość, że chcą jej użyć, aby wywrzeć nacisk na jednego z was. Albo na obu. Czy mam ci przypominać, że zarówno ty, jak i Dani zajmujecie wysokie stanowiska rządowe?

Szmaria wpatrywał się w niego w milczeniu. Już przedtem dręczyły go te obawy, ale bał się do tego przyznać.

– Więc co nam radzisz?

– Trzeba dalej robić to, co robiliśmy do tej pory. W tych okolicznościach nie pozostaje nam nic innego. Musimy przeszukać cały kraj. Czekać. Mieć nadzieję i modlić się.

– Co zrobimy, jeśli porywacze skontaktują się z nami?

– To, co zawsze robimy w takich wypadkach. – Golan spojrzał na niego zdziwiony. – Przecież dobrze znasz procedurę. Staramy się zyskać na czasie. Prowadzimy negocjacje. Usiłujemy obniżyć cenę, a przez ten czas szukamy dalej. Staramy się uwolnić ofiarę, zanim spełnimy żądania porywaczy, a przynajmniej zanim powiemy im, że nie mogą one zostać spełnione.

– Tak, Chaim, ale... ale jeśli nie trzymają jej w Izraelu?

– Jeśli pytasz, co robić w takim wypadku, to odpowiedź jest następująca: nie możemy zrobić nic bez zgody rządu. – Spojrzał na niego przez okulary. – Przynajmniej tak nakazuje prawo. Wiesz o tym, więc po co mnie pytasz?

– Chaim – Szmaria szybko rozejrzał się dokoła. – Chcę ci coś powiedzieć prywatnie – powiedział cicho, przechylając się przez stolik. – Dobrze?

Golan skinął potakująco głową.

– Obaj wiemy, że w naszej armii jest sporo ludzi, którzy są gotowi do działania niekoniecznie zgodnego z prawem. Wiesz, o kim mówię.

Golan milczał.

– Mam tylko jedną prośbę. Jeśli sytuacja będzie tego wymagała, czy mogę liczyć na twoją pomoc? Czy skontaktujesz mnie z ludźmi, którzy podjęliby się tej akcji? Oczywiście nieoficjalnie.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że weźmiemy sprawy we własne ręce?

– Tylko wtedy, kiedy będzie to konieczne – Szmaria bezradnie rozłożył ręce. – Dla mojej wnuczki – dodał – zrobiłbym wszystko, popełniłbym nawet morderstwo.

– Na twoim miejscu nie afiszowałbym się tym – powiedział Golan ostrzegawczym tonem.

Szmaria, pogrążony we własnych myślach, nie zwrócił uwagi na jego słowa.

– A jeśli ona jest teraz w Libii? Albo w Jordanie? Lub w jakimś innym, nieprzychylnym nam państwie – mówił dalej. – Jeśli jest to kraj, z którym nasz rząd prowadzi rokowania pokojowe? Czy wtedy możemy liczyć na taką akcję?

– Mówisz o polityce, Szmaria – Golan wstał z krzesła. – Dobrze wiesz, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Zresztą, to są tylko domysły. Musimy czekać, aż przyjdzie odpowiednia chwila, wtedy będziemy mogli to przedyskutować. Zorganizuj teraz konferencję prasową. Zapomnę o tej rozmowie i tobie radzę zrobić to samo.

– Dobrze – uśmiechnął się Szmaria. – Dziękuje ci, Chaim. Wiem, że chcesz mi pomóc. *Toda raba* [*].

– *B'rakasha*[**], Szmaria. Daj mi znać, jeśli będziesz miał jakieś wiadomości.

– Na pewno. *L'hitra'ot*[***].

---

[*] *toda raba* (hebr.) – dziękuję bardzo

[**] *b'rakasha* (hebr.) – proszę

– *L'hitra'ot* – Golan podniósł rękę w pożegnalnym geście. Szmaria patrzył za nim przez chwilę. Potem zawołał kelnera.

– Kelner, *ha'hesbon*[****].

Dalia szybkim krokiem przemierzała należące do jej apartamentu pokoje. Jeśli wyjdę stąd żywa, pomyślała, to nigdy nie będę mogła o tym zapomnieć. Znała na pamięć każdy przedmiot znajdujący się w zasięgu jej wzroku i rozkład każdego pokoju. Hol miał szesnaście stóp kwadratowych, szerokość pokoju dziennego wynosiła dwadzieścia jeden kroków. Wymiary sypialni były nieco mniejsze. W skład apartamentu wchodziły również dwie ogromne łazienki, jedna przeznaczona najwyraźniej dla kobiety, a druga dla mężczyzny. Obie były równie luksusowe. Marmurowe umywalki miały kształt muszli, a owalne wanny były wielkości małych basenów kąpielowych. Okna w pokojach zasłonięte były umocowanymi na stałe żaluzjami, a jedenaście aparatów telefonicznych zostało odłączonych od sieci. Ucieczka była niemożliwa.

Otaczające ją zewsząd bogactwo działało na Dalię przygnębiająco. Miała wrażenie, że została uwięziona na jakimś planie filmowym. To różowe więzienie pełne marmurów i jedwabnych tkanin doprowadzało ją do szaleństwa.

Zmęczona bieganiem po pokojach usiadła na różowej sofie. Jak długo mają zamiar ją trzymać? Była tu już od dwóch dni. Spojrzała na zegar. Porywacze nie usunęli go z jej więzienia, chociaż, jak Dalia gdzieś czytała, zawsze tak robili, ponieważ porwany nie powinien

[***] *L'hitra'ot* (hebr.) – do widzenia
[****] *ha'hesbon* (hebr.) – rachunek

zdawać sobie sprawy z upływu czasu. Zastanawiała się, jakie ma to w jej przypadku znaczenie. Pomyślała, że jeśli schowa wszystkie zegary, to może poczuje się trochę lepiej, ale szybko zrezygnowała z tego zamiaru.

Posiłki podawano jej niezwykle regularnie, za każdym razem, kiedy pod drzwiami zmieniała się warta. Śniadanie przynoszono punktualnie o ósmej rano, lunch o czwartej popołudniu, a obiad o północy. Po jakości jedzenia zorientowała się, że na miejscu nie było kucharza ani żadnej służby pałacowej.

Podsłuchując pod drzwiami, dowiedziała się, że było tam zawsze co najmniej dwóch strażników. Często słyszała ich głosy. Do przynoszenia posiłków wyznaczone były trzy osoby: Ahmed, Haluk i Monika.

Z całej trójki najgorsza była Monika. W jakiś szczególny sposób nie cierpiała Dalii i dawała jej to często do zrozumienia. Naumyślnie wylewała niesioną kawę albo trzymała palec w kubku.

– Tym razem nie naplułam do talerza – powiedziała kiedyś, patrząc nienawistnie na Dalię.

Dalia nie zwracała na nią uwagi. Wiedziała, że Monika czeka na okazję do konfrontacji. Za każdym razem, kiedy wchodziła do pokoju, Dalia przygotowana była na wszystko. Odtwarzała w pamięci instrukcje dotyczące walki wręcz, chociaż wiele lat upłynęło od czasu, kiedy przechodziła szkolenie w armii izraelskiej. Najbardziej utkwiła jej w pamięci jedna zasada: „jeśli przeciwnik jest uzbrojony, a ty nie masz broni", pouczał ich młody sierżant, „to unikanie konfrontacji jest najlepszą taktyką". Nie myślała wtedy, że jego instrukcje kiedykolwiek mogą okazać się przydatne.

Monika była uzbrojona po zęby.

Dalia czuła się nieswojo również w obecności Ahmeda. Był to nerwowy mężczyzna, który zawsze kręcił się po całym apartamencie, patrząc na nią pożądliwym wzrokiem. Inni strażnicy zaglądali do niej nie częściej niż co godzinę lub dwie, wypełniając jedynie rozkazy, ale kiedy na straży stał Ahmed, wpadał do niej co piętnaście minut i zawsze dziwnie się zachowywał.

Dalia bała się go bardziej niż Moniki, ponieważ uważała go za wariata.

Inni strażnicy nie zwracali na nią szczególnej uwagi, tylko czasami słyszała ich rubaszne dowcipy.

Jednego była pewna – pilnowano jej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie miała żadnej szansy na ucieczkę.

Próbowała odsunąć żaluzje. Kiedy starała się odchylić je od podłogi za pomocą widelca, została dotkliwie porażona prądem. Nie odważyła się na dalsze, próby.

Najwcześniejszym wspomnieniem Nadżiba był moment, kiedy jako dziecko został na parę godzin sam w rodzinnym domu w al-Nadżaf. Matka poszła w jakiejś pilnej sprawie do dziadków, a on zaczął się bawić zapałkami, zapalając je i rzucając na podłogę. Tak pogrążył się w zabawie, że nie usłyszał powrotu matki. Z wyrazu przerażenia na jej twarzy zorientował się, że czeka go kara. Nie dostał jednak w skórę, matka zapaliła zapałkę i potrzymała przez chwilę jego palec w płomieniu. To wyleczyło go całkowicie z ochoty do zabawy ogniem.

Przypomniał sobie to wydarzenie, odpoczywając w pałacowym apartamencie. Czy nauczka, jaką wtedy dostał, była wystarczająca? Czy znowu ma zamiar igrać z ogniem i poparzyć sobie place?

Jakaś niewytłumaczalna siła ciągnęła go do Dalii, zachowywał się jak ćma lecąca do ognia. Nie był w stanie tego zrozumieć. Starał się usunąć jej obraz z pamięci, ale wszystkie wysiłki okazywały się bezskuteczne.

Nie mógł spać. Kiedy tylko zamknął oczy, widział jej twarz. Czuł, że jeśli zaraz jej nie zobaczy, to oszaleje.

Drzwi pilnowało jak zwykle dwóch strażników. Siedzieli na krzesłach, a ich karabiny oparte były o ścianę. Słuchali muzyki z magnetofonu, przeglądając jednocześnie stare, zniszczone egzemplarze „Playboya". Jednym z nich był Haluk, Egipcjanin o poznaczonej ospą twarzy, a drugim nerwowy Syryjczyk, Ahmed.

– Czy mieliście z nią jakieś problemy? – spytał Nadżib.

Haluk wzruszył ramionami, nie odrywając oczu od pisma. Ahmed uśmiechnął się lubieżnie, poruszył kilkakrotnie brwiami i mrugnął porozumiewawczo.

Nadżib złapał go za bluzę i podniósł z krzesła. Wyraz przerażenia pojawił się w oczach Syryjczyka. Usiłował uśmiechnąć się pojednawczo, ale nie bardzo mu to wychodziło.

– Czy dać panu klucz? – spytał Haluk spokojnym głosem.

To pytanie rozładowało napięcie. Nadżib rzucił Ahmeda na krzesło i wziął klucz z rąk Haluka. Zawahał się przez chwilę, ale potem szybko otworzył drzwi i wszedł do środka.

Uderzył go panujący w apartamencie chłód. Dalia włączyła klimatyzację. Okna zasłonięte były różowymi zasłonami, a we wszystkich pokojach paliły się lampy.

Nie widział jej, ale czuł obecność kobiety. Krew zaczęła krążyć mu szybciej, ogarnęło go nagłe pożądanie.

Nie znalazł jej w salonie.

Wszedł do sypialni.

Łóżko było nietknięte, przykryte różową, jedwabną narzutą. Rozejrzał się dokoła. Był bardzo zaniepokojony, a jednocześnie miał nadzieję, że udało jej się uciec.

Wreszcie ją spostrzegł.

Nie wyglądała jak zakładniczka. Siedziała w ogromnym, nowoczesnym fotelu z pleksi. Miała rozpuszczone włosy, a jej bose stopy wystawały spod sobolowego futra. Należało ono do żony jednego z braci. Nadżib zrozumiał wreszcie, dlaczego włączyła klimatyzację na pełny regulator.

Kiedy Dalia zauważyła Nadżiba, twarz jej stężała, a w oczach ukazał się wyraz nienawiści. Po chwili wzruszyła lekceważąco ramionami i obróciła fotel w przeciwnym kierunku, tak że Nadżib widział tylko oparcie.

Krew uderzyła mu do głowy. Co za bezczelność! Żadna kobieta nie potraktowała go jeszcze w ten sposób. Nigdy!

– Ty suko! – powiedział przez zaciśnięte zęby.

Usłyszał śmiech. Ogarnęła go wściekłość. Ruszył szybko do przodu. Kiedy miał już dotknąć oparcia, Dalia obróciła się sama, patrząc na niego szyderczo zielonymi oczami.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego – powiedział obrażonym tonem.

Dalia bez słowa obracała się w fotelu. Nadżib czuł się jak widz na meczu tenisowym, musiał stale patrzeć to w tę, to w tamtą stronę.

– Nie wygląda pan dobrze – w jej głosie nie było ani odrobiny współczucia. – Ta mała przygoda źle na pana wpłynęła. Powinien się pan trochę przespać.

Nadżib nie mógł już patrzeć na obracający się stale fotel.

– Czy nie może pani siedzieć spokojnie? – spytał z irytacją w głosie.

– Bo co? – Dalia uniosła brwi ze zdziwieniem.

– To nie jest zabawa – warknął. – Im wcześniej pani to zrozumie, tym lepiej.

– Oczywiście, że to nie jest zabawa – westchnęła Dalia. – Chyba pan pamięta, że nie był to mój pomysł. Nie wprosiłam się do tego pałacu – powiedziała, nie przestając obracać fotela. – Czego się pan spodziewa? Że będę pana błagać, aby mnie pan wypuścił? Płakać? Żebrać na kolanach o litość? To by się panu na pewno podobało – dodała z uśmiechem.

– Nie – potrząsnął głową Nadżib. – To by mi się nie podobało.

Czuł się jeszcze bardziej nieswojo niż przy pierwszym spotkaniu w holu pałacu. Powinien był trzymać się od niej z daleka.

– Czego pan chce? – spytała Dalia, nie spuszczając z niego wzroku.

– Przyszedłem sprawdzić, czy jest tu pani wygodnie – powiedział nieprzekonująco.

Dalia przestała obracać fotel. Wpatrywała się w niego, marszcząc czoło.

– Czy mógłby pan to powtórzyć? Pan chciałby wiedzieć czy... czy jest mi wygodnie?

Nadżib nie odezwał się.

– Przypuszczam, że za chwilę spyta mnie pan, czy mi się tu podoba – śmiała się Dalia. – Ale najpierw chcę odpowiedzieć na pana pytanie. Tak. Jest mi wygodnie. Nawet idiota mógłby to zauważyć. Siedzę przecież w złotej klatce. Czuję się jak królowa Saby, jak maharani z Dżajpuru – gestem ręki wskazała otaczający ją

zbytek. – Oczywiście nie jestem szczęśliwa, ale jest mi wygodnie. Czy to pana zadowala?

– Jeśli będzie pani czegoś potrzebować, to proszę powiedzieć o tym strażnikowi, a on przekaże mi wiadomość – powiedział.

Dalia wysunęła nogę spod futra.

– A gdybym powiedziała, że potrzeba mi wolności? Nic by to nie zmieniło?

– Obawiam się, że nie – powiedział ze smutnym uśmiechem Nadżib. – To nie zależy ode mnie.

– Wielka szkoda. Zawsze myślałam, że ma pan wielką władzę – wzruszyła ramionami. – Wiem, że pan chce, żebym tutaj została. Przemyślałam ostatnio parę spraw. Kiedy siedzi się w zamknięciu, ma się dużo czasu na myślenie. Przychodzą człowiekowi do głowy najbardziej nieprawdopodobne historie. Myślałam właśnie... – zamilkła na chwilę. – Żałuję, że nie studiowałam psychologii.

– Naprawdę? – spytał Nadżib.

– Jestem pewna, że wtedy – powiedziała poważnym głosem, chociaż oczy jej się śmiały – mogłabym zrozumieć, dlaczego tak dziwnie potraktował mnie pan przy naszym pierwszym spotkaniu. Pewnie zranię pana męską dumę, jeśli powiem, żeby mnie pan zostawił w spokoju.

– Jeżeli tak, to zostawiam panią w spokoju – skierował się ku drzwiom.

Nie zdążył jeszcze dotknąć klamki, kiedy usłyszał jej pieszczotliwy głos?

– Panie al-Ameer?

Obrócił się, Dalia stała przy fotelu.

– Słucham.

Nagłym ruchem zrzuciła z siebie futro.

Nadżib oniemiał. Stała przed nim zupełnie naga. Jej szczupłe ciało było niezwykle piękne. Miała długie nogi, zaokrąglone biodra, płaski brzuch i doskonałe piersi.

Po chwili udało mu się odzyskać panowanie nad sobą.

– Na pani miejscu – powiedział chłodno – nie robiłbym takich rzeczy. Proszę nie zapominać, gdzie pani jest. W tym kraju za takie zachowanie można zostać ukamienowanym.

– Rzeczywiście? – uśmiechnęła się słodko. – To czemu mnie pan nie ukamienuje?

– Nie mam zwyczaju znęcać się nad kobietami.

– A jaki ma pan zwyczaj? Porywania kobiet?

Ogarnął go niepohamowany gniew.

– Wkrótce może pani pożałować, że nie mam takiego zwyczaju – powiedział ochryple.

Dalia ruszyła w jego stronę, wdzięcznie poruszając biodrami. Nadżib przymknął oczy. To było wprost obelżywe. Nie raziła go jej nagość, ale fakt, że ona, ta niezwykła kobieta, zaczęła nagle odgrywać rolę ulicznej dziwki. Podeszła do niego, trzymając ręce na biodrach.

– Zawstydzam pana? – spytała przeciągle.

– Dziwka! – krzyknął, wymierzając jej silny policzek.

Uderzenie było bardzo mocne. Cios odrzucił ją na bok, upadła na kolana. Spojrzała na niego. W jej oczach nie było nienawiści ani nawet zdziwienia.

– Współczuję panu – powiedziała cicho.

Łagodny ton jej głosu natychmiast uśmierzył jego gniew. Podszedł do niej i pomógł wstać.

– Może ma pani rację – powiedział. – Może należy mnie żałować.

Dalia starała się odwrócić oczy i odejść od niego, ale nadal trzymał ją za ramiona.

– Rozumiem, że ma pani dość powodów, aby mnie nienawidzić. Nie mogę jednak zaakceptować tych głupich gierek.

– Kto powiedział, że to są gierki? – Dalia podniosła oczy. Po chwili leciutko dotknęła jego policzka. Teraz Nadżib chciał się od niej odsunąć. Jej dotknięcie wyprowadziło go z równowagi. Dalia przysunęła się jeszcze bliżej.

– Czy to pana denerwuje?

– Nie – powiedział szeptem, cofając się o krok. Kiedy Dalia chciała go ponownie dotknąć, odwrócił się szybko.

– Niech pani tego nie robi!!! – krzyknął rozpaczliwie.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Pan się mnie boi – powiedziała cicho. — Dlaczego pan się mnie boi? Cóż mogę panu zrobić?

– Nic...

– Dlaczego pan na mnie nie patrzy? Czy boi się pan też na mnie spojrzeć? – spytała szeptem.

Ale Nadżib był już przy wyjściu. Usłyszał jej drwiący śmiech. Zatrzasnął szybko drzwi i rzucił klucz Halukowi.

– Zamknij! – powiedział.

Haluk spojrzał na niego ze zdziwieniem, a Ahmed odwrócił głowę, żeby Nadżib nie zauważył jego uśmiechu.

– Chyba ta piekielna suka ma jakieś słabe punkty – szepnął do Haluka.

Nadżib usłyszał jego głos. Odwrócił się.

– Zamknij gębę, bo inaczej ja ci ją zamknę – rzucił przez zaciśnięte zęby i szybko odszedł.

Za rogiem, kiedy zniknął już z pola widzenia strażników, zatrzymał się i oparł o marmurową ścianę. Nadal odczuwał pożądanie. Wyglądało na to, że role chwilowo się odwróciły. Kto był teraz czyim więźniem?

Po wyjściu Nadżiba Dalia opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Odegrała przedstawienie – najtrudniejsze przed-stawienie swojego życia.

Była odważna, wyśmiewała się z niego, ale wszystko to należało do roli, jaką postanowiła zagrać.

W rzeczywistości była bezbronna i śmiertelnie przerażona.

Godziny mijały, a Nadżib leżał wpatrzony w sufit. Bardzo chciał zasnąć. Co chwila zmieniał pozycję, ale chociaż był potwornie zmęczony, sen nie nadchodził. Ile razy zamknął oczy, widział twarz Dalii.

Wytrącony z równowagi zerwał się wreszcie z łóżka. Zapalił lampę, otworzył barek i nalał sobie koniaku. Zaczął chodzić po pokoju z kieliszkiem w ręku. Siadał na chwilę i znowu wstawał, popijał koniak i rozmyślał. Dobrze wiedział, na czym polega jego problem, ale nie chciał pogodzić się z tą myślą.

Nie mógł przestać myśleć o Dalii. Bez względu na to, czym się zajmował, jej obraz nie opuszczał go ani na chwilę. Wszystko, co nie było nią, stało się nagle nieważne. Dalia Boralevi zawładnęła jego życiem.

Wszystkie jej filmy, które oglądał setki razy, powinny stanowić pożywkę dla jego nienawiści, ale odniosły odwrotny skutek. Ile razy przymknął oczy, przypominał sobie różne filmowe epizody, które wydawały się niezwykle realne.

W porywie wściekłości rzucił kieliszkiem o podłogę.

– Niemożliwe! To jest okropne! – krzyknął rozpaczliwie, bijąc pięściami w ścianę.

Sceny z filmów nie chciały go jednak opuścić. Dalia Boralevi przesuwała się bezustannie przed jego oczami. Była jednocześnie Heleną trojańską, Kleopatrą i Moną Lizą.

Należała do rodu niewiernych, którzy zamordowali Iffat i którzy ukradli Palestynę jej prawowitym mieszkańcem.

Ale cichy głos szeptał Nadżibowi co innego.

To nie ona zabiła Iffat. Ona nikomu nie zrobiła krzywdy. Nie był w stanie zagłuszyć tego głosu, który stale powracał. Ona nie mogła ukraść Palestyny. Była wtedy małym dzieckiem. Nie można obarczać winą dzieci.

Jest niewierna tylko dla muzułmanów. Ty jesteś muzułmaninem, więc nazywasz ją niewierną. Ale Żydzi, tak samo jak muzułmanie, wierzą tylko w jednego Boga.

Pożądasz jej. Potrzebujesz jej.

Mijały godziny, a Nadżib nadal walczył ze sobą i z tym diabelskim podszeptem, Zakochałeś się w niej. Dlaczego nie chcesz się do tego przyznać?

Gwałtownie potrząsnął głową. To nieprawda! Każda, tylko nie ona! To są jakieś diabelskie czary. Oby Allach okazał się litościwy. Nadżib był zakochany. Był zakochany w kobiecie z obozu wroga!

Ze wszystkich kobiet na świecie musiał zakochać się właśnie w Dalii Boralevi – w Żydówce. Ta miłość nie miała prawa istnieć.

Podszedł do okna i odsunął białe jedwabne zasłony. Świt rozjaśnił już niebo, słońce wyłoniło się nagle zza horyzontu, oświetlając pustynię silnym blaskiem. Po ciemnościach nocy nie został już nawet ślad.

W świetle dnia rozpłynęły się również nocne koszmary Nadżiba. Doznał olśnienia. Cała sytuacja ukazała mu się nagle w innym niż dotychczas świetle.

Do diabła z tym wszystkim! Był zakochany, a miłość rządzi się własnymi prawami. Jest Żydówką, a on powinien ją nienawidzić. Dlaczego? Abdullah będzie chciał się na nim zemścić, ale nic go to już nie obchodziło.

Kochał Dalię. Nic innego nie miało znaczenia. Nawet gdyby miał przypłacić to życiem, okaże jej swą miłość i wyrwie ze szponów Abdullaha. A potem, jeżeli nie wybaczy mu porwania, pozwoli jej odejść!

Poczuł ogromną ulgę. Zniknęły gdzieś wszystkie dręczące go koszmary. Czuł się oczyszczony. Nie przypuszczał, że takie uczucie jest w ogóle możliwe.

Po chwili przyszła jednak refleksja. Co to jest miłość? Nie może być mowy o miłości pomiędzy nim a Dalią. Dzieli ich zbyt wiele. Nawet gdyby udało się przejść do porządku dziennego nad ich różnym pochodzeniem i religią, to Abdullah nigdy się nie zgodzi na ten związek. Zabije ich oboje.

Nadżib nie zapomniał o jego groźbie. W przypadku zdrady miał umrzeć razem z całą swoją rodziną. Pomyślał, że dotyczy to jego starych rodziców, byłej żony Yasmin, wszystkich ciotek, wujów, siostrzenic, bratanków oraz ich dzieci. Wszystkich z wyjątkiem Abdullaha!

Nagle olśniła go pewna myśl.

Bez szalonego Abdullaha świat byłby o wiele bezpieczniejszy, a jego dawna przysięga straciłaby znaczenie...

Nadżib zrozumiał, co musi uczynić. Wszystko wydało mu się nagle banalnie proste. To nie będzie morderstwo, tylko usunięcie

śmiertelnie niebezpiecznej narośli, zwykły zabieg chirurgiczny. W ten sposób zostanie zlikwidowane samo centrum działalności terrorystycznej. Być może zahamuje to działalność terrorystów na całym świecie, nie będzie już tak łatwo o broń i pieniądze. Poleje się mniej krwi i mniej będzie niewinnych ofiar. Zwiększą się szanse na zawarcie pokoju.

Z jego życia na zawsze zniknie Abdullah.

Będzie mógł kochać i żyć według własnej woli, przestanie być uzależniony od szaleńca.

Nadżib odetchnął głęboko. Po raz pierwszy w życiu miał uczucie, że chce zrobić coś, co dotyczy nie tylko jego. Oczywiście nie było to łatwe, należało wszystko dokładnie zaplanować, wykazując czujność i ostrożność. Nie mógł opanować podniecenia, więc postanowił natychmiast połączyć się z Newark. Zapomniał o różnicy czasu.

– Proszę przyprowadzić samolot do Ar-Rijad – powiedział przez telefon do zaspanego kapitana Childsa.

Przemierzał apartament szybkimi krokami. Kiedy wreszcie podjął decyzję i wyrwał się z marazmu, przez głowę przebiegały mu różne projekty i plany, składające się powoli w jedną całość.

Będzie mu potrzebny jacht oraz helikopter Bell Jet Ranger. Postanowił zatelefonować do Monte Carlo. Tym razem telefon zbudził kapitana Delcroix.

– Proszę wyruszyć o świcie i przeprowadzić mój jacht przez Kanał Sueski, a potem przycumować go u wybrzeża Omanu.

Pałac oddalony był od wybrzeża o sto osiemdziesiąt mil. Według obliczeń Nadżiba, helikopter Bell Jet Ranger, zaopatrzony w podwójne zbiorniki paliwa, mógł z łatwością pokonać dystans trzystu sześćdziesięciu mil.

Postanowił nie zwierzać się jeszcze Dalii ze swoich planów. Zrobi to, gdy wszystko będzie gotowe.

Położył się na łóżku i przymknął oczy. Czuł się wspaniale. Pomoże jej uciec. Może wtedy Dalia zrozumie, że on naprawdę ją kocha. Może w ten sposób odkupi winę, jaką ponosi za jej porwanie.

Szybko zapadł w spokojny sen.

Dalia leżała na ogromnym łóżku otoczona wszystkimi książkami i pismami, jakie udało jej się znaleźć w swoim apartamencie.

Leżała z zamkniętymi oczami i usiłowała zasnąć. Ale bez skutku. Wyczerpała już wszystkie znane jej środki mogące sprowadzić sen. Liczyła owce, próbowała metody, której nauczył ją Tosho Ishagi i przeglądała pisma – nic jednak nie dawało rezultatu. Nawet muzyka płynąca cicho z głośnika nie potrafiła jej uśpić.

Wreszcie podniosła się i usiadła na łóżku. Nie miało to żadnego sensu. Ile razy zamknęła oczy, ukazywał się jej Nadżib al-Ameer. Ze wszystkich ludzi właśnie on. Ten potwór, ten łajdak, ten arabski kryminalista, dzięki któremu znalazła się w tak okropnej sytuacji. Oby piorun w niego strzelił, oby się smażył w piekle. Usiłowała wyobrazić sobie to, co powinno go spotkać. Ze wszystkich okropności, które przychodziły jej do głowy, najbardziej odpowiednia wydawała jej się kastracja. Zaczęła sobie wyobrażać, że go zabija, myślała o wszystkich możliwych sposobach, ale nic nie zdołało go unicestwić – nadal miała jego postać przed oczami.

Zerwała się raptownie z łóżka. Była tak zdenerwowana, że ręce jej się trzęsły. Usiadła w fotelu przecierając oczy. Musi się koniecznie opanować.

Co się z nią dzieje?

Wolno mijały godziny. Żeby tylko udało jej się zasnąć. Wtedy chociaż przez kilka błogosławionych godzin nie będzie musiała myśleć o Nadżibie. Weszła z powrotem pod jedwabną kołdrę i zamknęła oczy. Sen jednak nie przychodził.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak wściekła, a jednocześnie bezradna.

Nie mogła pozbyć się myśli o swoim największym wrogu.

Niech to nagły szlag trafi!

Nie dość, że ją porwano, że przeszła ten koszmar, to na dodatek musiały się w niej odezwać jakieś dziwne uczucia.

Stale widziała jego oczy, w których zapalały się drapieżne błyski. Czyżby ona...

Nie wolno jej o tym nawet myśleć ani analizować dziwnego pożądania, które nagle zaczęła odczuwać. Może o nim zapomni, jeśli uda jej się wyrwać z tego przeklętego miejsca.

Dopiero przed świtem zapadła w lekki sen. We śnie ujrzała go znowu. Trzymał ją w ramionach i namiętnie całował.

Obudziła się zlana potem. Krew pulsowała jej w żyłach. Czuła do siebie obrzydzenie. Ten sen był tak realistyczny, że miała wrażenie, iż została zgwałcona.

Dlaczego właśnie on? Niech to szlag trafi, dlaczego on?

Minęło piętnaście godzin. Samolot Nadżiba wylądował właśnie w Ar-Rijad.

Planowana konferencja prasowa wyprowadziła z równowagi całą rodzinę, a szczególnie Tamarę. Wiedziała, że samo imię Dalii

ściągnie dziennikarzy z całego świata i spotkanie to zamieni się w koszmar. Dani mówił, że jej obecność nie jest konieczna, ale Tamara była innego zdania.

– Jestem matką Dalii – powiedziała. – Muszę tam być, Dani. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Dani przyjął z ulgą to oświadczenie, a Tamara dobrze wiedziała dlaczego. Chodziło im przecież o uzyskanie rozgłosu w mediach, a jej obecność mogła przyciągnąć tłumy dziennikarzy.

Zdawała sobie sprawę z tego, że takie wydarzenia są dla nich wielką gratką. Nie brakowało tu niczego – było morderstwo, tajemnicze porwanie i dwie sławne gwiazdy filmowe. Dla mediów będzie to wielki dzień. Będą rozdmuchiwać tę historię tak długo, jak tylko będzie to możliwe. Łatwo można było sobie wyobrazić sensacyjne nagłówki, jakie ukażą się w wieczornej prasie.

Porwanie sławnej gwiazdy filmowej. Po czterdziestu latach Tamara stanęła przed kamerą. Porwanie wnuczki bohatera narodowego. Tragiczne wydarzenie w naszej sławnej rodzinie.

Perspektywa ta napawała Tamarę niesmakiem i przerażeniem, ale najgorsza była dla niej konieczność publicznego ujawnienia swojego bólu. Od momentu, kiedy zrezygnowała z kariery aktorskiej, robiła wszystko, aby otoczyć siebie i swoją rodzinę nieprzeniknionym murem. Ze wszystkich sił broniła swojego prawa do prywatności. Teraz wszystko miało się zmienić. Dziennikarze nie pozostawią w spokoju również jej przyjaciół, sąsiadów i znajomych, nawet tych z najdawniejszych czasów. Podadzą do publicznej wiadomości wszystkie szczegóły dotyczące prywatnego życia rodziny.

Konferencja prasowa miała się odbyć na parkingu obok budynku, w którym mieszkali. Została wyznaczona na jedenastą rano. O wpół do ósmej, kiedy Tamara wyszła na balkon, zobaczyła

krążących po parkingu dziennikarzy. Z każdą minutą powiększała się liczba ludzi i sprzętu. Wyrastał las mikrofonów. Trzej policjanci i jeden agent Szun Bet bronili wejścia do budynku przed natarczywymi przedstawicielami prasy. Trzech dziennikarzy, udając mieszkańców domu, dostało się jednak do środka.

O dziewiątej samochody dziennikarzy i wozy telewizyjne zaparkowane były w podwójnych rzędach wzdłuż całej ulicy. Pojawili się również sprzedawcy uliczni, przewidując, że będzie to dobry dzień handlowy.

Panowała świąteczna, prawie karnawałowa atmosfera. Brakowało tylko orkiestry. Tamara westchnęła zrezygnowana.

Chodziła tam i z powrotem po wielkim salonie. Cztery lata wcześniej odkupili sąsiednie mieszkanie, zburzyli ścianę i w ten sposób zyskali dużo przestrzeni. Był to bardzo piękny pokój. We wnęce stały półki z książkami, a na ścianie, nad starym prowansalskim stołem, wisiał oryginalny obraz Matisse'a. Tamara nie zwracała na nic uwagi. Chodziła z opuszczoną głową, zaciskając nerwowo dłonie.

Myślała o Dalii. Zawsze twierdziła, że wszystkie swoje dzieci kocha tak samo. Nie była to jednak prawda. Najbardziej kochała Dalię. Oczywiście kochała również Ariego, ale on był podobny do ojca. Jedynie Dalia odziedziczyła po niej wiele, między innymi tę niezależność, która była istotną cechą charakteru Tamary. Tak samo jak matka wyruszyła w świat, aby zdobyć go szturmem. Wszystkie młodzieńcze pasje Tamary znalazły swoje odzwierciedlenie w córce. Tamara robiła wszystko, aby uchronić swoje dzieci przed niebezpieczeństwem, wysiłki te były jednak daremne. Najlepszym dowodem była śmierć Asy, a teraz porwanie Dalii.

Dani podszedł do niej i objął ją opiekuńczo ramieniem. Tamara pocałowała go w policzek.

– Nie bądź taka wystraszona – powiedział łagodnie.

– Spójrz na ten cyrk na dole – szepnęła drżącym głosem, wskazując okno.

– Oni tutaj przyszli, aby nam pomóc.

– Ty w to wierzysz? – z trudem panowała nad głosem.

Rozległ się przeraźliwy dźwięk dzwonka u drzwi. Tamara obróciła się w ich stronę.

– Zaczynają się niecierpliwić – powiedziała.

Wszedł Szmaria. Po raz pierwszy widać było, że wyraźnie utyka. Te wszystkie przejścia odbiły się na całej rodzinie, pomyślała Tamara ze smutkiem.

– Zejdę na dół – powiedział. – Powiem im, żeby przestali się gorączkować. – Pokuśtykał do drzwi.

Tamara patrzyła za nim przez chwilę. Szmaria po raz pierwszy miał w domu jarmułkę na głowie. Po chwili domyśliła się. Na pewno się modlił.

Podeszła do okna i rozsunęła lekko firanki. Na dole stał Szmaria i podnosił rękę w geście nakazującym ciszę. Po chwili zwrócił się do policjanta, coś do niego mówił, żywo gestykulował i wskazywał na drzwi wejściowe. Po paru minutach wszedł z powrotem do budynku.

Kiedy Tamara usłyszała skrzypnięcie drzwi, szybko wybiegała mu na spotkanie.

– Niecierpliwią się – mruknął Szmaria – ale kazałem im czekać. Powiedzieliśmy: jedenasta i zaczniemy o jedenastej. Nie powinni już więcej do nas dzwonić – dodał z satysfakcją i pokuśtykał do kuchni.

Za kwadrans jedenasta Tamara skierowała się do sypialni. Dani zatrzymał ją po drodze.

– Gdzie idziesz? – spytał z niepokojem.

– Jak to gdzie? – Tamara była zdziwiona. – Muszę się przebrać i umalować.

– Jak Gloria Swanson w „Bulwarze Zachodzącego Słońca". Po wielu latach znowu przed kamerami – uśmiechnął się.

Tamara nie odwzajemniła uśmiechu. Po niewczasie Dani zorientował się, że nie był to odpowiedni moment na żarty.

– Przepraszam – powiedział nieśmiało.

– Nie musisz przepraszać, chcę po prostu wyglądać jak najlepiej, aby zrobić dobre wrażenie na reporterach. Publiczność będzie bardziej zainteresowana naszą sprawą, jeśli dostanie to, czego oczekuje.

Dani spojrzał na nią z szacunkiem. Tamara miała nieomylny instynkt.

– Pośpiesz się trochę – powiedział, całując ją w policzek.

– Zaraz wracam – odpowiedziała.

Tamara, która wyszła z sypialni, była zupełnie inną kobietą. Wszystkie zmarszczki zostały wygładzone, a twarz miała pokrytą cieniutką, prawie niewidoczną warstewką różu. Doskonale panowała nad swoim zdenerwowaniem. Kiedy wchodziła do sypialni, była zdruzgotaną, roztrzęsioną kobietą, po dziesięciu minutach wyszła z niej jako pełna godności gwiazda. Ubrana była w swój najelegantszy beżowy kostium od Chanel, a na głowę włożyła słomkowy kapelusz.

– Pięknie wyglądasz – powiedział Dani.

Tamara trzymała w ręku jego letnią marynarkę. Pomogła mu ją włożyć, zapięła guziki i poprawiła chusteczkę w kieszonce.

– Wyglądasz jak...

Zegar wybił właśnie jedenastą. Szmaria wyszedł z kuchni, mrucząc coś pod nosem.

– Jesteście gotowi? – spytał Dani.

– Ojcze? – Tamara spojrzała pytająco na Szmarię.

– Jestem gotów.

– Czy masz przy sobie nasze oświadczenie? – spytała męża.

– Mam je w kieszeni. A jego kopie są na dole przy drzwiach, żeby można było je rozdawać.

– To dobrze – powiedziała ze sztucznym spokojem Tamara. – Pamiętajcie, żadnych łez. Nie będziemy się obnosić z naszym nieszczęściem. Musimy panować nad sobą i zachowywać się godnie... – Głos jej się nagle załamał.

Powoli zeszli ze schodów, Dani i Szmaria trzymali Tamarę z obu stron pod ręce.

Kiedy znaleźli się przed domem, reporterzy od razu ruszyli do przodu, słychać było szum kamer filmowych i pstrykanie aparatów fotograficznych. Tamara natychmiast zesztywniała i przestała odpowiadać na rzucane zewsząd pytania, patrząc ponad głowami tłumu. Dani i Szmaria przeprowadzili ją bezpiecznie na parking, a policjanci stworzyli kordon, który powstrzymywał napór ciekawskich.

Zupełnie jak po premierze, pomyślała Tamara. Jeśli zaczną prosić mnie o autografy, to wpadnę w histerię.

Dani podszedł do mikrofonów.

– Najpierw chcę odczytać nasze oświadczenie – powiedział spokojnym głosem. – Bardzo proszę, żeby państwo powstrzymali się tymczasem od zadawania pytań.

Wyjął papier z kieszeni, rozłożył i zaczął czytać.

– Panie i panowie. Z ciężkim sercem chcemy was poinformować, że nasza córka, aktorka Dalia Boralevi, zaginęła. Prawdopodobnie została porwana.

Tłum poruszył się niespokojnie. Wszędzie słychać było okrzyki zdziwienia. Dani podniósł rękę, nakazując ciszę.

– Dwa dni temu wylądowała na lotnisku Ben Guriona. Wysiadła z samolotu El Al, lot 1002 i prawdopodobnie zatrzymana została przez nieznaną osobę lub osoby. Na razie nikt nie wystąpił z żądaniem okupu. Szin Bet oraz policja prowadzą śledztwo. Uważa się, że jej zniknięcie można powiązać z faktem zamordowania Eliego Levina, przedstawiciela El Al do obsługi pasażerów...

Tamara przez cały czas patrzyła na męża. Podziwiała jego opanowanie, kiedy spokojnie podawał kolejne informacje. Nikt nie mógłby zgadnąć, że ten mężczyzna był bliski załamania, a na rozmowę z dziennikarzami zmobilizował całą siłę woli.

– Dziękuję za przybycie – kończył Dani. – W holu budynku jest policjant, który wręczy państwu kopie tego oświadczenia. Jeśli mają państwo jakieś pytania...

Nie dokończył. Natychmiast podniósł się taki gwar, że nie można było zrozumieć ani jednego słowa.

Dani spojrzał na żonę. Skinęła potakująco głową i wystąpiła do przodu. Zapanowała cisza.

– Panie i panowie – powiedziała cicho Tamara – chyba nie muszę się przedstawiać – rozejrzała się wokoło. – Chciałam tylko powiedzieć, że nie występuję tutaj w charakterze byłej gwiazdy filmowej, ale jedynie jako matka Dalii. Jestem chora ze zmartwienia. Przyszłam prosić was, żebyście zwrócili się do swoich słuchaczy i czytelników. Jeżeli ktoś z nich posiada jakąś informację, choćby nawet wydawała się ona mało istotna, błagam, niech skontaktuje

się z nami albo z policją. Nasz telefon czynny jest przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wszystko, czego się dowiemy, utrzymamy w ścisłej tajemnicy. Nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów otrzyma osoba, której informacja przyczyni się do uwolnienia Dalii. Nie będziemy zadawać żadnych pytań. – Przerwała na chwilę. – Nigdy nie zdołamy się wam odwzajemnić za przekazanie naszej prośby. – Wargi jej drżały. – Dziękuję wam serdecznie.

Zaczęto zarzucać ją pytaniami, na które starała się odpowiadać spokojnie.

– Nie wiemy, kto mógł to zrobić... Prawdopodobnie nie miała żadnych wrogów... Tak, myślę czasem o tym, że sława może być niebezpieczna... Jest wielu niezrównoważonych ludzi, a Dalię znają prawie wszyscy... Nie myślę jednak, żeby zrobił to jakiś zwariowany wielbiciel... Wielbiciel nigdy by... Nie, nie mamy pojęcia.

Dani patrzył na nią ze zdziwieniem. Z pałającą twarzą i błyszczącymi oczami Tamara wyglądała tak pięknie jak wtedy, kiedy była u szczytu swojej kariery. Chociaż porwanie Dalii było najbardziej bolesnym przeżyciem, jakiego kiedykolwiek doświadczyła, napięcie spowodowało, że wyglądała jak prawdziwa gwiazda.

– Oczywiście, że się tego nie spodziewaliśmy. Zatrudnilibyśmy przecież ochronę. Jak mówiłam, przez myśl nam nie przeszło, że taka rzecz może się wydarzyć.

Dani zauważył, że reporterzy nie zarzucają jej bezładnymi pytaniami, ale zachowują się grzecznie i dają jej czas do namysłu.

„Tamara obłaskawiła prasę" – wyobraził sobie nagłówek w gazecie.

– Jest oczywiste, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby odzyskać Dalię – mówiła Tamara. – Mogą ją nawet wymienić na mnie, chociaż nie myślę, żeby zadowolili się taką starą kobietą.

Dani i Szmaria wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Tamara świetnie radziła sobie z dziennikarzami.

– Kiedy moja córka powróci, nie będę jej namawiać, aby przestała pokazywać się publicznie. To jest jej praca. Czy jest wśród was reporter, który odmówiłby wykonywania swojego zawodu tylko dlatego, że jest on niebezpieczny? – Tamara rozejrzała się dokoła. – Przypuszczam, że nie. Tak, będę jej radzić, żeby prowadziła taki sam tryb życia jak dotychczas.

Swobodnie odpowiadając na zadawane jej pytania, nie pomijając żadnego ze zgromadzonych dziennikarzy. Traktowała wszystkich po przyjacielsku.

Na Boga, pomyślał Dani. To chyba jedna z jej najlepszych ról.

– Jaką radę dałabym Dalii, jeśli ogląda tę transmisję? – Tamara zrobiła efektowną przerwę i powiedziała z uśmiechem. – Jeśli nie znajdziesz żadnej drogi ucieczki, to przynajmniej daj im się porządnie we znaki! – skinęła głową.

– Dziękuję wam, panie i panowie.

Na parkingu zapanowała cisza.

Z opuszczoną głową Tamara podeszła do męża i ojca. Wzięli ją obaj pod ręce i wprowadzili do budynku.

Dani wpatrywał się w nią z szacunkiem. Była wspaniała, pomyślał. Zamiast zapłakanej matki widzowie zobaczyli spokojną kobietę, silną jak przysłowiowa skała. Jednocześnie każdy mógł dostrzec, że pod tą pełną godności maską kryje się prawdziwa rozpacz.

Była to gra, której mogła sprostać jedynie wspaniała aktorka.

Kiedy weszli do mieszkania, Tamara opadła na krzesło i zaczęła gwałtownie szlochać.

Pałac braci Tammam, wyposażony w zdobycze najnowszej techniki, posiadał również antenę satelitarną. Dzięki niej można było oglądać wszystkie programy światowej telewizji.

Nadżib śledził wiadomości kilka razy dziennie, zarówno te z Arabii Saudyjskiej, jak i niemieckie, angielskie, amerykańskie i izraelskie. Był pewny, że porwanie Dalii zostanie wkrótce podane do wiadomości publicznej i chciał natychmiast poznać treść tego komunikatu.

Przez pierwsze dwa dni, kiedy dzienniki nie podawały żadnych informacji o jej zaginięciu, Nadżib odczuwał ulgę, a jednocześnie trochę się niepokoił. To przecież niemożliwe, aby do tej pory nie zgłoszono jej zniknięcia. Tak popularna postać nie mogła po prostu rozpłynąć się w powietrzu. Na pewno policja i służby bezpieczeństwa poszukują jej w całym Izraelu, prawdopodobnie jednak robią to po cichu. Przecież nikt nie zażądał jeszcze okupu, żadna grupa nie wzięła odpowiedzialności za to porwanie.

Nadżib doszedł do wniosku, że brak wiadomości jest dla niego bardziej korzystny. Będąc pod presją, Abdullah mógłby podjąć jakąś przedwczesną akcję.

Jednak pewnego dnia sytuacja się zmieniła.

Kiedy włączył telewizor, by obejrzeć wiadomości z Nowego Jorku, zobaczył twarz młodego, przystojnego spikera.

– Dobry wieczór. Tu wieczorne wiadomości CBS. Wita państwa Borb Severt. Czy mamy do czynienia z kolejnym aktem terroryzmu, czy też jest to robota pospolitych przestępców? Ta zagadka dręczy

izraelską policję, która podejrzewa, że aktorka Dalia Boralevi została porwana...

Ta nagła wiadomość zelektryzowała Nadżiba. Słucha wiadomości telewizyjnych, a osoba, o której mówią, jest tak blisko niego. Ze zdumienia stracił wątek przekazu i kilka zdań młodego spikera przeszło mu koło uszu.

– Matka panny Boralevi, Tamara, zdecydowała się nawiązać kontakt z prasą, błagając o pomoc dla córki.

Taśma z konferencji prasowej w Tel Awiwie była trochę zamazana. Nadżib zbliżył się do ekranu telewizora. Zobaczył Tamarę w towarzystwie dwóch mężczyzn, którzy prowadzili ją w kierunku oczekujących dziennikarzy. Potem kamera pokazała zbliżenie jej twarzy. Wyglądała równie pięknie jak w swoich starych filmach. Była tylko bardziej dojrzała, a jej włosy straciły metaliczny połysk. Widać było również, że ma lekko podkrążone oczy. Mówiła opanowanym głosem.

– Nie, jak do tej pory nie było żadnych żądań. Wszyscy jesteśmy pogrążeni w rozpaczy. Dzielimy również nasz smutek z rodziną Eliego Levina.

Na ekranie ukazała się czarno-biała fotografia młodego mężczyzny.

– Elie Levin był pracownikiem El Al obsługującym VIP-ów. W dniu porwania przydzielony został do obsługi panny Boralevi – wyjaśnił spiker.

Następna czarno-biała fotografia – zwłoki Eliego Levina.

– Według doniesień izraelskiej policji, przyczyną śmierci Eliego Levina było złamanie kręgów szyjnych. Niewątpliwie jeden z porywaczy przejął jego funkcję i wyszedł na spotkanie panny

Boralevi. W tej chwili gości w naszym studio Patsy Lipschitz, która jest agentem filmowym panny Boralevi.

– To jest nie do pomyślenia – rozległ się krzykliwy głos Patsy. – Najpierw świeci słońce i wszystko jest w porządku, a za chwilę nie wiadomo, co się dzieje!

Na ekranie ponownie ukazała się twarz spikera.

– Powtarzam najważniejsze wiadomości. Dalia Boralevi, słynna na całym świecie aktorka, została prawdopodobnie porwana w Izraelu... Inne wiadomości...

Nadżib wyłączył telewizor.

Zastanawiał się, jakie skutki wywoła ten komunikat. Konferencja prasowa było niewątpliwie dobrym pomysłem. Turyści, którzy tego dnia znajdowali się na lotnisku, zaczną kojarzyć różne drobne wydarzenia z faktem porwania. Wkrótce policja zdobędzie pierwsze informacje.

Nadżib obawiał się jednak, że to publiczne wystąpienie może mieć dla Dalii fatalne skutki.

Wystraszony Abdullah może przenieść ją w inne miejsce i ukryć nawet przed Nadżibem. Albo wpadnie w szał i każe ją zabić.

Konferencja prasowa mogła pokrzyżować wszystkie plany Nadżiba.

W mieszkaniu Tamary telefon dzwonił bezustannie.

– Pod żadnym pozorem nie powinni państwo sami odbierać telefonów – powiedział z naciskiem Dov Cohen. – Nasi ludzie wiedzą, jak prowadzić takie rozmowy.

Był to agent Szin Bet, potężny mężczyzna około czterdziestki, o inteligentnych oczach.

– Ale, panie Cohen – odezwała się błagalnym tonem Tamara – my też chcemy coś robić.

Dov Cohen obdarzył ją przeciągłym spojrzeniem.

– Będzie pani tego gorzko żałować. Nawet nie wyobraża pani sobie, jakie to mogą być telefony. Często w takich przypadkach dzwonią różni wariaci. Na wypadek, gdyby państwo zmienili zdanie, zostawię tu dwóch swoich ludzi. Rano przyjdzie następna zmiana. Ja również zostanę tu jeszcze trochę.

– Dziękuję panu – powiedziała Tamara, usiłując się uśmiechnąć.

Cohen usiadł na krześle, zakładając słuchawki na uszy. Prawie natychmiast zadzwonił telefon.

– Proszę zaczekać! – krzyknęła Tamara, podbiegając do jednego z zainstalowanych przez policję aparatów. Dani podszedł do drugiego i jednocześnie podnieśli słuchawki.

– Halo – powiedział – przy telefonie Dani ben Yaacov.

– Dzwonię w sprawie okupu – odezwał się szorstki głos.

Dani nie mógł wydobyć z siebie głosu. Popatrzył rozpaczliwie na Tamarę.

– Kim pan jest? – spytała Tamara.

– To nieważne! – W głosie nieznajomego brzmiała teraz groźba. – Żądam miliona dolarów amerykańskich w dwudziesto-dolarowych banknotach. Zrozumiano?

– Tak – odpowiedział Dani.

– Włóżcie pieniądze do walizki i zanieście je na pocztę główną. Wejście od Jaffa Road. Stoi tam kosz na śmieci. Włóżcie do niego walizkę i odjedźcie. Daję wam czas do jutra, do dwunastej w południe!

– Skąd mamy wiedzieć, że ona jest...

– Macie to zrobić – warknął. – I nie zawiadamiajcie policji. Jeśli zobaczymy tam gliniarzy, zabijemy ją.

– Jak... Halo, Halo! – Dani rozpaczliwie stukał w widełki, ale połączenie zostało przerwane.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Dova Cohena.

– Trudno powiedzieć – wzruszył ramionami Dov. – To równie dobrze mógł być oszust.

– Czy nie uważa pan, że powinniśmy zacząć zbierać pieniądze? – spytał Dani.

– Nie. Zaczekamy. – Twarz Cohena nie miała żadnego wyrazu. – Nie może pan dać miliona dolarów każdemu, kto do pana zatelefonuje. Jeśli to byli porywacze, to odezwą się znowu. Będą musieli udowodnić, że mają Dalię w swoich rękach i że ona żyje. Inaczej nic z tego.

– Halo. Dani ben Yaacov przy telefonie.

– To wy szukacie Dalii Boralevi?

– Tak. – Dani nie mógł przez chwilę złapać tchu. – Czy ma pan dla nas jakieś wiadomości?

– Wiem, gdzie ona jest.

– Czy może mi pan to powiedzieć? – Dani zacisnął dłoń na słuchawce.

– Oni ją mają.

– Oni? Kim są „oni”?

– Wiadomo – głos zniżył się do szeptu. – Te zielone ludki z UFO. Zabrali ją na swoją planetę.

Rozległ się trzask odkładanej słuchawki. Rozmówca przerwał połączenie.

– Niech to szlag trafi! – krzyknął Dani.

Dov Cohen wyprostował się na krześle.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece – powiedział cicho. – Ten komunikat nie powinien być podany do wiadomości publicznej.

Było to zaproszenie dla wszelkiego rodzaju wariatów.

Halo. Dani ben Yaacov przy telefonie.

– Oglądałam konferencję prasową w telewizji – odezwał się podniecony kobiecy głos. – Czy telefonuję pod właściwy numer?

– Tak. Czy ma pani jakieś informacje?

– Muszę porozmawiać z Tamarą. Nikomu innemu tego nie zdradzę.

– Przykro mi, ale nie mogę poprosić jej do telefonu. Czy nie może pani przekazać tej informacji mnie?

– Nie! Powiem to tylko jej.

Dani spojrzał z westchnieniem na Tamarę, która skinęła głową i podeszła do telefonu.

– Halo – powiedziała miłym głosem. – Tamara przy telefonie.

Głos w słuchawce miał ostre, histeryczne brzmienie.

– Czy uważasz, że możesz błagać wszystkich o pomoc przez telewizję, bo jesteś sławna i bogata? Co mają zrobić zwykli ludzie? Kiedy moja córka zachorowała, a ja nie miałam pieniędzy, żaden lekarz nie chciał jej pomóc i ona umarła! Mam nadzieję, że twoja Dalia też umrze! A jeśli nie, to sama ją zabiję!

Tamara upuściła słuchawkę. Oczy rozszerzyły się jej z przerażenia, a wszystko wokół zawirowało.

– Kochanie – Dani chwycił ją w objęcia. – Zapomnij o tym, kochanie, nie przejmuj się...

– Dani – załkała Tamara. – Jakie to straszne. Może pan Cohen ma rację. Może lepiej, żeby to jego ludzie odbierali telefony. –

Przytuliła się do męża. – Chodźmy spać, Dani. To był okropnie wyczerpujący dzień.

– Masz rację – skinął głową Dani. – Wydaje mi się, że ta konferencja prasowa może nam przysporzyć wielu kłopotów.

Nie było jeszcze dziewiątej, a upał dawał się już porządnie we znaki. Nadżib wyszedł z basenu i usiadł na osłoniętym od słońca leżaku. Przez cały czas zastanawiał się, jak przechytrzyć Abdullaha i doprowadzić do jego upadku. Miał jeszcze wiele do zrobienia przed oczekującą go ostateczną bitwą.

Jedna sprawa była szczególnie trudna do wykonania.

Musiał znaleźć sposób, aby porozumieć się z Samarią Boralevi lub z Danim ben Yaacov. Wbrew pozorom wcale nie było to takie łatwe. Nie mógł przecież zatelefonować do nich z pałacu, gdzie wszystkie telefony były na podsłuchu. Nie mógł też, nie zwracając na siebie uwagi, wsiąść do samolotu i polecieć do Izraela. Wszystkie jego podróże były skrzętnie odnotowywane przez prasę.

Mógł oczywiście zatelefonować z jakiegoś innego miejsca, nawet ze swojego samolotu, ale pojawił się nowy problem. Po konferencji prasowej rodzina Dalii otrzymała z pewnością mnóstwo fałszywych doniesień i każda rozmowa była teraz dokładnie kontrolowana. Mogło to być niebezpieczne. Musiał działać szybko i skutecznie. Potrzebne mu było coś, co stanowiłoby niezbity dowód, że nie jest kolejnym oszustem. Ponieważ nie mógł spotkać się z rodziną Dalii w Izraelu, musiał nakłonić ich do spotkania poza krajem, w Grecji lub na Cyprze.

Gdyby tylko coś takiego miał. Jej prawo jazdy albo paszport.

Ale Dalia przybyła do pałacu w przebraniu Beduinki, odebrano jej wszystkie dokumenty i osobiste drobiazgi. Nie mógł zwrócić się do Kalida z prośbą o wypożyczenie jej pierścionka czy paszportu.

Ale musiał coś mieć.

Zerwał się nagle, jakby doznał olśnienia, chwycił ręcznik i pobiegł do pałacu. Kiedy znalazł się w swoim apartamencie, zaczął gwałtownie przetrząsać wszystkie szuflady i szafki. Po dwudziestu minutach znalazł to, czego szukał.

Był to aparat fotograficzny Polaroid.

Zrobi jej zdjęcie. Potem wezwie kapitana Childsa i każe mu doręczyć fotografię rodzinie. Znalazł film i umieścił go w aparacie. Kiedy stwierdził, że wszystko działa, szybko włożył spodnie i koszulę. Teraz czekała go konfrontacja z Dalią.

Gdzie się podziały pana szaty?

Nadżib popatrzył na nią zdumiony. Tym razem nie atakowała go ani się z niego nie wyśmiewała. Mówiła zupełnie naturalnym tonem, nie starając się ukryć zdziwienia.

– W pewnych klasach społecznych przyjęte jest noszenie zachodnich ubrań – powiedział Nadżib. – Kobiety sprowadzają stroje z Paryża. Oczywiście nie noszą ich publicznie – dodał.– Myślałem, że pani o tym wie.

Patrzyła na jego szytą na zamówienie koszulę i na ciemne eleganckie spodnie.

– Rozumiem, że przebrał się pan za szejka wyłącznie z mojego powodu.

– To nie były szaty szejka – uśmiechnął się Nadżib. – To była zwyczajna galabijja.

– Rozumiem.

Dalia spojrzała na niego z powątpiewaniem. Odwróciła się widząc czuły wyraz jego oczu. Zajęła się przestawianiem ozdobnych przedmiotów na kredensie – pudełek z kości słoniowej, szklanych kul i innych drobiazgów.

– Chciałabym... żeby pan wyszedł – powiedziała drżącym głosem.

Nadżib odczuł nieodpartą potrzebę wyznania jej wszystkich swoich tajemnic. Chciał, żeby zrozumiała, że nie ma zamiaru jej skrzywdzić, że ten szalony pomysł porwania nie wyszedł od niego i że nie myśli już o zemście. Chciał ją również przekonać, że poruszy niebo i ziemię, aby wydostać ją z rąk Abdullaha.

Nie odezwał się jednak. Cóż mogły tu pomóc słowa?

Patrzył, jak przestawia ozdoby na kredensie. Była tak blisko, zaledwie o kilka kroków od niego, a dzieliły ich niezmierzone przestrzenie.

Gdyby tylko potrafiła go zrozumieć.

– Potrzebuję pani pomocy – powiedział cicho.

Dalia milczała.

– Nie mam zamiaru pani skrzywdzić – odezwał się znowu.

Chciał się do niej zbliżyć, ale powstrzymała go obawa, że może ją rozzłościć albo wystraszyć.

– Proszę posłuchać – powiedział łagodnie.

Stała w milczeniu, chociaż widać było, że przestała już być spięta.

– Dalia, gdyby... – przerwał nagle.

Nigdy przedtem nie zwracał się do niej po imieniu i fakt ten zdziwił go tak samo jak ją. Wyprostowała się i tak szybko obróciła w

jego stronę, że przez chwilę całą twarz miała zakrytą włosami. Odrzuciła je szybko do tyłu.

– Wynoś się! – krzyknęła.

– To zajmie tylko chwilę – powiedział spokojnie Nadżib, podnosząc aparat do oka.

– Nie rozumiesz? – wrzeszczała. – Nie chcę cię widzieć!

Błysnął flesz i po chwili ukazało się pierwsze zdjęcie.

– Jak śmiesz! – rzuciła się na niego, uderzając zaciśniętymi pięściami w jego pierś. – Zostaw mnie w spokoju! Zostaw mnie w spokoju!

– Dalia...

– Jak śmiesz mówić do mnie po imieniu! – nadal okładała go pięściami.

Nadżib stał spokojnie, trzymając w ręku aparat.

– Przestań.

W jego spokojnym głosie brzmiała groźba. Dalia opuściła ręce. Ogarnął ją nagły strach, który ustąpił, gdy spojrzała Nadżibowi w oczy. Odczuła gwałtowne pożądanie. Jeszcze przed chwilą pałała gniewem, a teraz nogi jej drżały i czuła wilgoć między udami. Co się z nią działo? Przecież nie mogła pragnąć go świadomie. Dlaczego ten mężczyzna tak na nią działał? Popatrzyła na niego. Był wysoki i silny, pod cienką koszulą prężyły się napięte mięśnie. Spostrzegła, że on również jest podniecony. Jego męska siła wyzwalała w niej wciąż nowe fale pożądania.

Potrząsnęła gwałtownie głową.

To niemożliwe. Nieprawda, że go pożąda. Każdy, byle nie on!

Wiedziała jednak aż nadto dobrze, że ma to być właśnie on. Ostatni raz kochała się w Cannes, z Jerome'em, ale wtedy nie odczuwała tak silnego pożądania jak teraz.

Nie! Nie! Nie!

Westchnął głęboko.

– Nie! – powiedziała i zaczęła się cofać.

Nadżib ruszył za nią. Znowu ogarnął ją strach, kiedy zobaczyła jego zaciśnięte usta i drapieżny wyraz oczu.

– A więc... jesteś dziś w zaczepnym nastroju – powiedział wolno. – Ciekaw jestem, jak będziesz się przede mną bronić?

– Nie zbliżaj się do mnie! – szepnęła Dalia drżącym głosem.

– A jeśli nie posłucham?

Cofała się powoli. Zabrakło jej odwagi, aby odwrócić się do niego tyłem.

– Czego ode mnie chcesz? – spytała szeptem.

– Dobrze wiesz, czego chcę. Ciebie. – Z każdym krokiem, jaki Dalia robiła do tyłu, Nadżib postępował krok naprzód.

– Czy myślisz, że jestem ślepy, że nie widzę pożądania w twoich oczach? Możesz udawać i mówić nie, nikt ci w to nie uwierzy – powiedział kpiącym tonem.

– Trzymaj się ode mnie z daleka! Ostrzegam, że cię zabiję, jeśli mnie dotkniesz!

– No to mnie zabij.

W jego oczach migotał ogień pożądania i pogardliwe błyski. Cofnęła się znowu o krok. Nagle jej wyciągnięte do tyłu ręce dotknęły jakiegoś mebla. Krzyknęła z przerażenia. Dała mu się zapędzić w pułapkę. Usłyszała jego pogardliwy śmiech. Zatrzęsła się ze złości. Co za poniżenie!

– Wydaje mi się, że już cię mam – powiedział Nadżib ze złośliwym błyskiem w oku.

Dalia rozejrzała się rozpaczliwie dokoła. Zobaczyła otwarte drzwi sypialni. Może uda jej się tam wpaść i zamknąć na klucz.

Popatrzyła na Nadżiba. Obserwował ją, a na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz okrucieństwa.

Teraz! – pomyślała.

Przesunęła się lekko w prawo, po czym gwałtownie odskoczyła w lewo, w kierunku sypialni. Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie całym ciałem. Nie było w nich żadnego klucza ani zamka! Chyba muszę je czymś zablokować – pomyślała.

Ale było już za późno. Drzwi otworzyły się z trzaskiem, a Dalia upadła na dywan. Chciała się podnieść, ale Nadżib był od niej szybszy. Złapał ją za ręce i postawił na nogi, trzymając mocno. Po chwili poczuła jego język w swoich ustach...

Walczyła jak szalona, starając się wyswobodzić z jego uścisku. Wszystkie jej wysiłki były jednak daremne.

– Puść mnie – wyjąkała.

Znowu poczuła jego usta. Z rozpaczy zacisnęła zęby i ugryzła go w język. Złapał ją za włosy i szarpnął tak mocno, że prawie uniósł do góry. Krzyknęła z bólu. Czuła jego ręce rozdzierające jej suknię, która już po chwili opadła w strzępach na podłogę.

Była naga i upokorzona, ale nadal niezwykle podniecona.

Usiłowała dosięgnąć paznokciami jego twarzy. Złapał ją za ręce i trzymał je w stalowym uścisku. Pchnął drzwi sypialni, które zamknęły się z lekkim trzaskiem. Nie było już dla niej ratunku, ale walczyła nadal.

Wziął ją na ręce i rzucił na łóżko.

Opadła na plecy, wyciągniętą ręką strącając lampę ze stolika. Pokój pogrążył się w półmroku. Nadżib pochylił się nad nią. Wbrew sobie patrzyła na niego z podziwem. Był tak przystojny... Nagle spostrzegła, że rozpina guziki koszuli i wyjmuje pasek ze spodni.

Szybko przesunęła się w kierunku krawędzi łóżka. Złapał ją za nogę i trzymał mocno jedną ręką, podczas gdy drugą zdejmował spodnie.

Spojrzała mu w oczy, a potem przesunęła wzrok na jego szeroką klatkę piersiową, płaski brzuch i długie nogi. Widok jego męskości prawie pozbawił ją tchu. Patrzyła jak zahipnotyzowana.

– Proszę – błagała szeptem. – Nie. To przecież...

Był głuchy na wszystkie jej prośby. Chciała przesunąć się trochę do tyłu, ale on klęczał na łóżku, brutalnie rozchylając kolanem jej uda.

– Nie – błagała słabym głosem. – Nie.

Opadł na nią całym ciałem. Głośno wciągnął powietrze. Cała dotychczasowa nienawiść topniała pod dotykiem jego gładkiego, ciepłego ciała i delikatnych pocałunków.

Całował jej wargi, ramiona i piersi. Jego usta powoli przesuwały się po brzuchu. Rozchylił jej uda. Ciało Dalii wyprężyło się w spazmie rozkoszy, kiedy jego język dotarł do jej najczulszego miejsca.

To jest prawdziwy akt miłosny, pomyślała nagle, coś, co pozwala zapomnieć o nienawiści. Coś prawdziwego, coś innego niż perwersyjne zabawy Jerome'a.

Jęczała. Bez wahania dotknęła jego członka ustami. Pogrążyli się w dawaniu sobie rozkoszy.

Potem ukląkł nad nią. Objęła go nogami. Po chwili poczuła go w sobie.

Jego ruchy były zdecydowane i szybkie. Dalia poruszała biodrami i unosiła się na łóżku, wydając ciche jęki. Za każdym razem, kiedy w nią wchodził, odczuwała coraz silniejszą rozkosz. Chociaż wypełniał ją całą, starała się jeszcze bardziej do niego

zbliżyć. Ich ciała znalazły wspólny rytm. Znowu całował jej piersi. Zwolnił ruchy czując, że Dalia jest bliska orgazmu. Wyprężyła się cała, wbijając mu paznokcie w plecy. Jego ruchy stały się jeszcze szybsze.

Nie wiedziała, że krzyczy w zapamiętaniu. Orgazm następował po orgazmie. Pot wystąpił jej na twarz, a ciałem wstrząsały konwulsyjne spazmy. Zapomniała gdzie jest, kim jest i co się z nią dzieje.

Teraz i on zbliżał się do momentu spełnienia. Jego oddech stał się szybszy, a ruchy jeszcze bardziej zdecydowane. Wreszcie opadł na nią całym ciałem.

Dalia otworzyła oczy, ze zdziwieniem rozglądając się dokoła.

– O nie – szepnęła. – Ja nie miałam zamiaru...

– To było piękne – powiedział, gładząc jej włosy. – To było bardzo piękne.

Chciał ją pocałować, ale odchyliła głowę. Oczywiście, że to było piękne, pomyślała. Najlepsze ze wszystkiego. Ale...

– Proszę – powiedziała. – Idź już. Ubierz się i idź.

– Dlaczego? Ja ciebie kocham, Dalia.

– Ty? Ty mnie kochasz? Nie wolno ci mówić takich rzeczy.

– Dlaczego? – spytał łagodnie, pochylając się nad nią. – Jeśli to prawda...

– Prawda! – zawołała, odwracając głowę, żeby nie widział łez w jej oczach.

– Czy ty nie czujesz tego samego? Popatrz na mnie, Dalia! – powiedział, delikatnie odwracając jej twarz ku swojej. – Czy możesz spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, że mnie nie kochasz? Po tym co przeszłaś, masz pełne prawo mnie nienawidzić. Ale proszę cię, posłuchaj głosu swojego serca!

Leżała jak w narkotycznym transie, patrząc niewidzącymi oczami w sufit. Nic do niej nie docierało. Zapomniała o rzeczywistości.

– Posłuchaj mnie. Dalia. Postaraj się zrozumieć – kontyno-wał Nadżib spokojnym głosem, chociaż serce biło jak oszalałe. – Dopiero wtedy, gdy ci wszystko opowiem, będziesz mogła zdecydować, czy powinnaś mnie nienawidzić, czy kochać.

– To wszystko zaczęło się dawno temu... – rozpoczął cichym, spokojnym głosem.

W trakcie opowiadania obrazy z przeszłości zaczęły żywo jawić mu się przed oczami, a głos nabrał szybszego tempa.

– To było dawno temu, jeszcze zanim oboje przyszliśmy na świat, Dalia. Nasi dziadkowie znali się. Kiedyś byli nawet przyjaciółmi.

Był to najdłuższy i najtrudniejszy monolog, jaki Nadżib kiedykolwiek wygłosił. Opowiedział jej wszystko. O swoich dziadkach, Naemuddinie al-Ameer i jego żonie, którzy pielęgnowali Szmarię Boralevi w chorobie, o tym jak kibuc Ein Shmona pozbawił ich oazę wody, jak Abdullah zaatakował kibuc oraz o kontrataku jego mieszkańców, w czasie którego zabita została Iffat. Powiedział jej, że Abdullah wysłał go do szkoły w Anglii, a potem do Harvardu. Starał się wytłumaczyć, jaką mu złożył przysięgę i dlaczego ma on nad nim władzę. Niczego nie przemilczał, ani swojego małżeństwa bez miłości, ani spisku, którego celem była zemsta. Nie koloryzował ani nie starał się przedstawić siebie w korzystnym świetle. Był brutalnie szczery. Powiedział jej, że Abdullah przekroczył granice uprzednio zaplanowanej zemsty, starając się wykorzystać jej porwanie dla wzmocnienia swojej władzy. Na zakończenie dodał, że z tego, co wie, nie ma zamiaru wypuścić jej stąd żywej.

Kiedy skończył, zapanowała głucha cisza. Czuł się dziwnie spokojny, jakby pozbył się wielkiego ciężaru.

– Teraz wiesz już wszystko – szepnął, biorąc jej rękę w swoje dłonie. – Jeśli nadal mnie nienawidzisz... – cień bólu przemknął mu po twarzy – masz do tego prawo. – Ale jeśli mnie kochasz... – puścił jej ręce i wstał.

Kiedy Nadżib snuł swoją opowieść, Dalia miała mieszane uczucia. Chwilami porywał ją gniew, a zaraz potem ogarniała litość. Leżała jednak bez ruchu, nie okazując żadnych emocji, nawet wtedy, kiedy dowiedziała się, że Abdullah zamierza ją zabić.

W tej chwili własny los najmniej ją obchodził, szczególnie że nie miała na to żadnego wpływu. Była pod wrażeniem słów Nadżiba, poruszyła ją jego bezwzględna szczerość. Żaden mężczyzna nie zdobyłby się na taką otwartość. To było coś więcej niż odwaga. Ilu takich mężczyzn istniało na świecie? Może jeden na miliard?

Przymknęła oczy. Tak wygodnie i łatwo było go nienawidzić. Był kimś obcym. Teraz, po tej spowiedzi, stał się jej bliski w cierpieniu. Dlaczego nie mógł pozostać znienawidzonym wrogiem? Kocham cię! omal nie wykrzyknęła. Potrzebuję ciebie, pożądam! Milczała jednak.

– Dalia... – powiedział cicho Nadżib.

Spojrzała na niego, zmieszana. Potrząsnęła przecząco głową.

– To nie jest możliwe. Proszę, nie utrudniaj tego wszystkiego – powiedziała z westchnieniem. – To co czujemy... nie ma znaczenia.

– Jak możesz tak mówić?

– Wiem, że to nie jest mo ?

– W esgwiesia.88 Tf13.44 0 TD ($) Tj/F2 15.08 Tfc ( ) Tj-0.1056 (ma) Tj-

– Czy na zawsze mamy pozostać zamknięci w klatce, którą ktoś dla nas zbudował? Powiedz, Dalia. Czy nie chcesz się zbudzić i sięgnąć po to, co jest nasze?

– Nasze? – spytała cicho. – Nie ma naszego świata.

Nadżib poradził już sobie z tym problemem, ale ona nadal nie była w stanie tego zrobić. Zbyt wiele ich dzieliło. Była Żydówką, pochodziła z Izraela. Bez względu na to, czy wyznawała swoją wiarę i ile czasu spędzała w kraju, nigdy nie zapominała o tym, że jest Izraelką.

– Proszę – błagała go. – Idź... tak będzie lepiej dla nas obojga. Zapomnij o mnie i... nie wracaj. – Dokończyła z trudem.

– Dalia, wysłuchaj mnie!

– Nadżib... – przerwała.

Jak mogła zwrócić się do niego po imieniu? Co się z nią dzieje?

Jej miękki głos, kiedy wymawiała jego imię, był dla Nadżiba wystarczającym dowodem. Kochała go, ale broniła się przed tym uczuciem. Dlaczego nie mogła się przemóc i zapomnieć o wszystkim, co ich dzieli?

– Posłuchaj mnie jeszcze przez chwilę – poprosił. – Doskonale rozumiem, co czujesz. Jesteś uwięziona, nie chcesz myśleć o przyszłości ani o tym, że możesz być szczęśliwa. Ale ja cię stąd uwolnię – zniżył głos. – Czy mnie rozumiesz? Opracowuję właśnie plan twojej ucieczki...

Ogarnęła ją fala podniecenia, ale w głębi serca tkwiło jeszcze ziarno podejrzliwości.

– Ucieczki? – spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.– Chcesz mi pomóc uciec?

– Tak.

Milczała długo.

– Dlaczego? – spytała wreszcie. – Dlaczego chcesz to zrobić?

– Ponieważ cię kocham. Również...

– Tak? – wpatrywała się w niego intensywnie.

– ... ponieważ będzie to zadośćuczynienie za to, do czego się przyczyniłem – powiedział cicho.

Dotknęła dłonią jego policzka. Nadżib poczuł się szczęśliwy.

Nie chcąc przedłużać tej sceny, wstał, ubrał się szybko i skierował do drzwi. Na pożegnanie dotknął ustami jej ust i poczuł, że oddaje mu pocałunek.

– Nadżib...

Odwrócił się do niej.

– Gdyby tylko... – przerwała z żałosnym westchnieniem. – Idź – zacisnęła mocno powieki. – Idź.

Po dwóch dniach podróży jacht dotarł do Omanu. Kapitan Delcroix natychmiast zatelefonował do Nadżiba po dalsze rozkazy, informując go jednocześnie, że helikopter jest w każdej chwili gotów do startu.

– Proszę tam pozostać, dopóki osobiście nie wydam panu dalszych poleceń – powiedział mu Nadżib.

Odłożył słuchawkę z uśmiechem. Jak do tej pory ułożony przez niego plan działał perfekcyjnie. Jeśli Allach pozwoli, to konferencja prasowa nie wywrze na Abdullahu zbyt wielkiego wrażenia.

Teraz należało doręczyć rodzinie Dalii jej zdjęcia.

Sześć godzin później Abdullah wrócił z Trypolisu i wezwał do siebie Nadżiba i Kalida. Kiedy ich zobaczył, wyciągnął rękę gestem godnym imperatora.

Czy ten gest jest teraz bardziej arogancki, zastanawiał się Nadżib. Czy przedtem było tak samo? Podniósł do ust wyciągniętą dłoń wuja.

– Nadżib, mój bratanku! – oczy Abdullaha błyszczały gorączkowo.

– Z głosu wuja wnioskuję, że sprawy w Trypolisie zostały załatwione pomyślnie – powiedział Nadżib, patrząc wujowi prosto w oczy.

Abdullah uśmiechnął się. W jego głosie zabrzmiała jednak nagana.

– Powinieneś wiedzieć, że nie zawsze wszystko układa się tak, jak to człowiek zaplanuje.

– Rzeczywiście – zgodził się Nadżib. – To się dość często zdarza.

Wzbierał w nim gniew, ale nie dał tego po sobie poznać. Wszystkie emocje można było łatwo ukryć, dobierając właściwych słów. Język arabski był w tym wypadku bardzo pomocny. Nadżiba najbardziej gniewał sposób, w jaki Abdullah lubił wystawiać jego cierpliwość na próbę. Jeśli powiedział, że niebo jest niebieskie, to Abdullah nieodmiennie prostował, że jest zielone. Nadżib zawsze chciał wiedzieć, dlaczego to robił. Jego słowa oraz ton głosu wyrażały nie ukrywaną pogardę.

Nadżib odsunął się, żeby Abdullah mógł przywitać się z Kalidem. Scena powitania umocniła jego przekonanie, że coś zmieniło się w zachowaniu wuja. Był teraz jeszcze bardziej pewny siebie, bardziej wypinał pierś i wyżej trzymał głowę.

– Wszystko poszło dobrze. Nawet bardzo dobrze – rzadko widziany uśmiech zagościł na twarzy Abdullaha.

Dopiero teraz Nadżib spostrzegł inne, bardziej istotne zmiany w wyglądzie swojego wuja. Abdullah wydawał się o wiele młodszy i

bardziej rozogniony niż przed podróżą do Trypolisu. Zmienił się też jego wygląd zewnętrzny. Miał na sobie dopasowany, sztywny mundur. To bez wątpienia wpływ Kadafiego, pomyślał Nadżib.

– Znaleźliśmy wspólny język z Muammarem – mówił Abdullah. – Odbyliśmy kilka bardzo inspirujących rozmów – przesunął wzrok od Nadżiba do Kalida. – Chcę, żebyście zobaczyli, co mi ofiarował.

Z uśmiechem podniósł rękę do góry i strzelił palcami.

Zza jego pleców wyłoniło się bezszelestnie dwóch ogromnych mężczyzn. Stanęli po obu stronach Abdullaha. Obaj byli uzbrojeni i wyglądali na świetnie wyszkolonych. Oczy zasłonięte mieli ciemnymi okularami. Sprawiali wrażenie robotów, co od razu uderzyło Nadżiba. Przypominali mu żołnierzy elitarnych oddziałów bojowych, z którymi miał okazję się kiedyś zetknąć. To byli Zombie Abdullaha.

Przejął go zimny dreszcz.

– Pozwólcie, że przedstawię wam podarunek od pułkownika Kadafiego. Surour i Gazi. To jest moja gwardia pretoriańska – powiedział, patrząc dumnie. – Muammar obawia się, że w moim otoczeniu są osoby, które chcą wyrządzić mi krzywdę – uśmiechnął się do Nadżiba. – Co o tym myślisz?

– Zawsze istnieje taka możliwość – odpowiedział spokojnie Nadżib. Sparaliżowany strachem pomyślał: On coś podejrzewa! On wie! Zakochałem się w Dalii i powiedziałem, że ją uwolnię, a on się o tym dowiedział!

– Surour i Gazi przysięgli, że będą mnie chronić i nie odstąpią ani na krok. Będą podróżować razem ze mną, jeść, kąpać się i spać w moim pokoju. Jeden z nich zawsze będzie przy mnie czuwał, żebym mógł spać bez obaw. Zrobią wszystko, co im każę. Wszystko! Zaraz wam to zademonstruję.

Nakazał gestem, żeby poszli za nim. Na stole pod oknem leżały cztery szpikulce do nabierania lodu i kopiowy ołówek. Abdullah patrzył badawczo na Nadżiba i Kalida.

– Wiele lat temu zaprzysięgliście mi wierność. Pamiętacie o tym?

Nadżib skinął potakująco głową. Dobrze pamiętał tamto popołudnie w górach Syrii, kiedy krew z jego nadgarstka połączyła się z krwią Abdullaha. Od tamtej pory wuj trzymał go w swoich szponach. Ja mógłby o tym zapomnieć?

Abdullah wziął ołówek.

– Podnieście prawe dłonie.

Surour i Gazi nie zawahali się ani chwili. Nadżib zerknął na Kalida, ale jego twarz była nieprzenikniona. Oni dwaj również wolno podnieśli ręce.

Abdullah dokładnie obmacał wszystkie dłonie, kopiowym ołówkiem zaznaczając na każdej krzyżyk.

– Zrobiłem to równie precyzyjnie jak promienie Rentgena. Na każdej dłoni znalazłem miejsce, gdzie nie ma żadnej kości. Samo ciało.

Nadżib poczuł się nieswojo. Samo ciało? Co on chce przez to powiedzieć? Po co, u diabła, te szpikulce?

Abdullah podniósł szpikulce ze stolika i wręczył każdemu po jednym. Nadżib spojrzał na Kalida. Od niepamiętnych czasów był on zastępcą Abdullaha i wykazywał się zawsze wielką odwagą. Ale nawet najbardziej odważny mężczyzna uchyla się przed ukłuciem, choćby była to tylko igła. Nadżib zauważył, że Kalid trzyma się jedynie siłą woli. Wyglądał tak, jakby miał za chwilę zemdleć.

– Chcę wam zademonstrować, do jakiego stopnia Surour i Gazi są mi oddani. Wtedy zrozumiecie, jak dobrze będą mnie strzegli. Gazi, połóż rękę na stole i przebij ją w miejscu, gdzie zaznaczyłem X.

Nadżib wpatrywał się w Gaziego. Libijczyk nie okazywał żadnych emocji. Ręka nie zadrżała mu ani przez chwilę. Podniósł szpikulec i przebił swoją dłoń.

Nadżib odwrócił wzrok. Zrobiło mu się niedobrze. Usłyszał głos Abdullaha.

– Widzicie, co zrobił Gazi, nie wahając się ani przez sekundę? Rozumiecie teraz, jak jest mi oddany? Gotów jest oddać za mnie życie!

– Surour – powiedział Abdullah. – Kolej na ciebie.

Nadżib nie mógł tego dłużej znieść. Były to rozkazy szaleńca.

– Proszę – powiedział słabym głosem. – Dość tego. Już nam wuj wszystko udowodnił.

Abdullah nie zwrócił na niego uwagi.

Surour przebił sobie dłoń. Teraz przyszła kolej na Kalida.

Kalid był blady i trzęsły mu się dłonie. Podniósł szpikulec i w tym samym momencie zachwiał się na nogach. Upadł zemdlony.

Abdullah obrócił się z triumfem do Nadżiba.

– Rozumiesz teraz, dlaczego potrzebna jest mi gwardia przyboczna. Nie mogę polegać na tych, którzy mnie otaczają.

Z obrzydzeniem odsunął nogą zemdlonego Kalida.

– On ma serce gołębia i odwagę kobiety! – splunął z obrzydzeniem. – Jak mogę na nim polegać, jeśli znajdę się w niebezpieczeństwie?

Pod Nadżibem uginały się kolana. Czuł, że powinien powiedzieć wujowi, jakim oddaniem zawsze wykazywał się Kalid i ile razy

ryzykował życiem w jego obronie. Nie mógł jednak wykrztusić słowa. Skinął tylko głową.

– Nadżib? – głos Abdullaha brzmiał fałszywie łagodną nutą.

Nadżib popatrzył na niego, a potem na swoją dłoń. Była cała spocona. Pot spływał mu po czole i piecach.

– No? – spytał miękko Abdullah, kładąc mu rękę na ramieniu.

Nadżib położył dłoń na stole i podniósł szpikulec. Wszystko się w nim buntowało przeciw takiej głupocie, ale wiedział, że nie ma innego wyjścia. Gdyby tego nie zrobił, to niech Allach ma go w swojej opiece. Abdullah mógłby kazać go zabić. Co się wtedy stanie z Dalią?

Będzie zdana na łaskę bezlitosnego szaleńca i nikt jej już nie pomoże. Jeśli teraz sprzeciwi się Abdullahowi, podpisze na nią wyrok śmierci.

– Czy mam wątpić w twoją wierność? – spytał Abdullah prawie szeptem.

Dłoń Nadżiba przeszył ostry ból. Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak i kiedy zdołał przebić dłoń. Pot zalewał mu twarz, ale przed oczami miał Dalię.

– Bardzo dobrze – powiedział Abdullah. – A teraz dość tego. Chodźmy do jadalni – powiedział tonem dobrego gospodarza. – Obiad czeka.

– Zaraz do was dołączę – powiedział Nadżib, unosząc zakrwawioną dłoń. – Chcę się tylko umyć.

Kiedy dotarł do swojego apartamentu, natychmiast polał ranę alkoholem. Odczuł tak przejmujący ból, że z trudnością powstrzymał się od krzyku. Zabandażował dłoń, a resztę alkoholu wypił prosto z butelki.

Abdullah siedzący na honorowym miejscu przy stole nie dawał po sobie poznać, że wydarzyło się cokolwiek niezwykłego. Jedzenie było tłuste i niesmaczne. Przygotował je jeden z jego ludzi.

Dwaj Libijczycy stali za krzesłem Abdullaha.

Nadżib patrzył z obrzydzeniem na kawałek baraniny, który leżał przed nim na talerzu. Dziwił się, że zamiast tego fatalnie przyrządzonego mięsa nie podano wykwintnych przysmaków, którymi zapełnione były kuchenne lodówki. Ale i tak nie miało to znaczenia. Nie miałby apetytu nawet wtedy, gdyby podano kawior i ostrygi. Jego rękę ciągle przeszywał ostry ból. Z trudnością utrzymywał w niej widelec.

Jak średniowieczny monarcha, Abdullah odczekał pełne dwadzieścia minut, zanim dotknął jedzenia, którego najpierw musieli spróbować jego Zombie. Tydzień spędzony w Libii spotęgował wyraźnie jego paranoję.

– Mekka, Ściana Płaczu i plac Świętego Piotra w Rzymie – wyliczał Abdullah, żując kawałek mięsa. – Trójstronny atak, dokonany w ciągu trzech dni. To na pewno poruszy świat.

Widelec wypadł Kalidowi z ręki.

– Mekka! – wykrzyknął Kalid. – Przecież Mekka jest najświętszym sanktuarium całego islamu! Całego świata! To byłoby świętokradztwo!

– Czasami – Abdullah utkwił wzrok w twarzy Kalida – należy zniszczyć, żeby zbudować na nowo.

– To szaleństwo – szepnął Kalid, odsuwając swój talerz. – Ściana Płaczu i plac Świętego Piotra... nie podobają mi się te cele, chociaż są to święte miejsca niewiernych. Ale Mekka...

– Już zdecydowałem! – powiedział ostro Abdullah. – Trzeba natychmiast rozpocząć świętą wojnę. Im prędzej, tym lepiej. Cały świat należeć będzie do islamu. Zastanówcie się nad tym – bębnił palcami po marmurowym stole. – Najpierw zniszczymy Mekkę. Bomby zostaną rozmieszczone tak, że zawalą się wszystkie mury. Muzułmanie z całego świata natychmiast powstaną. Następnego dnia Ściana Płaczu niewiernych zamieni się w kupę gruzu, a trzeciego... No tak! Trzeciego dnia padnie bazylika Świętego Piotra. Ale Mekka musi być pierwsza! Wtedy cała wściekłość skupi się na niewiernych. Widzicie, jakie to proste – mówił, podniecając się z każdym słowem.

– O zniszczenie Mekki oskarżeni zostaną chrześcijanie i Żydzi, a o zniszczenie świętych miejsc niewiernych posądzać się będzie muzułmanów. Rozgorzeje święta wojna na tak wielką skalę, że zbledną przy niej wyprawy krzyżowe. Zmienimy historię świata, moi bracia, a w następnych wiekach nasze imiona będą czczone tak jak imię Proroka. Trzy największe religie świata będą walczyły przy pomocy swoich wojsk. A islam zwycięży! – zakończył triumfalnie.

Zapanowała martwa cisza.

Nadżib czuł wzbierający w nim gniew. Starał się jednak uważnie dobierać słowa.

– Już przedtem próbowano zaatakować Mekkę – powiedział spokojnie. – Ludzie ci zostali skazani na śmierć.

– To byli głupcy! – Abdullah machnął lekceważąco ręką. – Zajęli Mekkę i starali się ją utrzymać. My tylko zniszczymy sanktuarium. Kiedy bomby wybuchną, żadnego z naszych ludzi nie będzie w promieniu stu mil. Nikt nie będzie mógł nas o to oskarżyć. Muammar dostarczy nam materiały wybuchowe oraz ludzi. Nie przyzna się, oczywiście, że brał w tym udział. Uważa to jednak za

konieczne. Pomyślcie, jakie otwierają się przed nami możliwości! Zjednoczony islam stanie się światową potęgą! Wszystkie kraje Środkowego Wschodu, Indie, Pakistan, każdy kraj, w którym mieszkają muzułmanie – wszystkie staną się jednym, wielkim państwem religijnym.

– Obawiam się, że jest to prosta droga do piekła – powiedział Nadżib beznamiętnym głosem.

– Wręcz przeciwnie – uśmiechnął się lekko Abdullah – jako wojownicy Allacha będziemy mieli zapewnione miejsce w raju.

Była druga w nocy, kiedy coś zbudziło Nadżiba. Usiadł na łóżku i nasłuchiwał, wstrzymując oddech. Nie słyszał jednak niczego poza szumem klimatyzacji. Sypialnia pogrążona była w ciemnościach.

Czuł jednak, że ktoś jest w pokoju. Ogarnął go nagły strach. Usiadł na łóżku i zapalił lampę. Na chwilę zabrakło mu tchu. Kalid i Hamid stali nieruchomo tuż obok niego.

– Co tu robicie? – spytał ze złością.

– Nie tak głośno – Kalid położył palec na ustach. – Hamid, sprawdź, czy drzwi są zamknięte.

Hamid bezszelestnie poszedł do salonu. Czekali na niego w milczeniu.

Kiedy wrócił do sypialni, obaj z Kalidem usiedli na krzesłach obok łóżka. Kalid wydawał się pochłonięty zapalaniem cienkiego cygara.

– Przyszedł czas – powiedział niezobowiązującym tonem – żebyśmy trochę porozmawiali.

Nadżib nie dał się zwieść jego słowom. Widział, że jest spięty i bardzo czujny.

– Wiesz – powiedział Kalid – że już od dawna cię obserwuję. Jesteś dziwnym człowiekiem – mówił dalej. – W przeciwieństwie do nas zawsze starałeś się trzymać Abdullaha na dystans, a z nas wszystkich ty jesteś mu najbardziej potrzebny. Jednocześnie pozwalasz mu się traktować tak, jakbyś był najniższego rzędu rekrutem. Często zastanawiałem się dlaczego.

– Abdullah wszystkich traktuje jednakowo – powiedział wymijająco Nadżib.

– Rzeczywiście? – Kalid spojrzał na niego uważnie. – Naprawdę uważasz, że traktuje Kadafiego tak samo jak nas?

– Skąd mogę wiedzieć? Nie było mnie przy tym – Nadżib wzruszył ramionami.

– Ale możesz wywnioskować coś ze sposobu, w jaki o nim mówi.

– Chcesz powiedzieć, że przyjaźni się z Kadafim? – spytał retorycznie Nadżib. – Tak, przyjaźni się z nim. Pułkownik bardzo mu imponuje. Jest przecież głową państwa i bez względu na to, jakie uczucia żywisz w stosunku do niego, ty też byłbyś dumny, gdyby poświęcił ci tyle uwagi.

– Nie o to mi chodzi – Kalid machnął ręką. – Abdullah patrzy na Kadafiego jak na proroka. Jestem pewny, że ten szalony projekt świętej wojny był pomysłem pułkownika.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał ostrożnie Nadżib.

Ta rozmowa była spacerem po zaminowanym polu. Wszystko zależało do tego, czy Nadżib trafnie osądzi sytuację i czy Kalid był z nim szczery, czy spełniał tylko rozkaz Abdullaha.

– Twój wuj bardzo się zmienił – powiedział Hamid.

– Zmienił się? W jaki sposób? – spytał Nadżib.

– Przecież dobrze wiesz – powiedział cicho Hamid. – To już nie ten sam człowiek. Jakby ktoś obcy zajął jego miejsce. Przedtem walczył o sprawy, których nasi ludzie nie potrafiliby sami sobie wywalczyć. A teraz? Teraz pławi się we własnej chwale! – Głos Hamida zmienił się, nabrał ostrych tonów. – Jest gotów nas sprzedać. Stał się niewolnikiem Kadafiego. Nie obchodzą go już sprawy, o które zawsze walczyliśmy!

– Odnoszę wrażenie, że nie poruszyliście jeszcze żadnej ważnej kwestii – powiedział Nadżib. – Nie przyszliście przecież w środku nocy do mojej sypialni po to, aby bawić się słowami.

– Nie – powiedział Kalid.

Siedział ze zmarszczonymi brwiami, paląc w milczeniu. Wreszcie podjął decyzję.

– Nie możemy pozwolić Abdullahowi, aby zniszczył Mekkę – powiedział cicho. – Dlatego przyszliśmy do ciebie. Chcemy, żebyś nam pomógł powstrzymać go przed popełnieniem tego świętokradztwa.

– Mówisz o złamaniu przysięgi złożonej Abdullahowi – powiedział Nadżib chłodno. – Domyślasz się, co by było, gdybym powtórzył Abdullahowi choć jedno słowo z naszej rozmowy.

Hamid zerwał się nagle z krzesła. Jego pistolet wymierzony był w głowę Nadżiba.

– Odłóż to – powiedział spokojnie Kalid. – Nie widzisz, że on jest po naszej stronie?

Hamid opuścił pistolet, ale widać było, że słowa Kalida nie rozproszyły jego wątpliwości.

Nadżib zignorował ten incydent. Cała jego uwaga skoncentrowana była na Kalidzie.

– Skąd masz tę pewność, że jestem po waszej stronie?

– Przekonaliśmy się o tym już dwukrotnie – odezwał się Hamid.

Nadżib zachowywał milczenie.

– Za pierwszym razem wystawiliśmy cię na próbę – powiedział Kalid.

Nadżib przypomniał sobie nagle tę sytuację.

– Kiedy usłyszałem waszą rozmowę tej nocy w Jordanii?

– Tak – skinął głową Kalid. – Wtedy, kiedy straciliśmy sześciu ludzi w tym idiotycznym ataku na Zefat. To był test. Nasza rozmowa przeznaczona była tylko dla twoich uszu – uśmiechnął się. – Mogłeś donieść wtedy na nas Abdullahowi. Ponieważ tego nie zrobiłeś, przekonaliśmy się, że możemy mieć do ciebie zaufanie.

Hamid schował pistolet do kabury.

– Mówiłeś o dwóch przypadkach – przypomniał mu Nadżib.

– Drugi przypadek miał miejsce kilka dni temu – Kalid spojrzał na Nadżiba. – Twoje odwiedziny u tej Żydówki nie przeszły nie zauważone.

Nadżib siedział w milczeniu. Twarz miał nieruchomą, ale w jego głowie panował zamęt. Co mogli wiedzieć o nimi Dalii? Od kiedy go szpiegowali?

– Słyszano niektóre wasze rozmowy – powiedział z uśmiechem Kalid. – Jesteś w niej zakochany. Chcesz jej pomóc w ucieczce.

Nadżib milczał.

– Czy chcesz poznać jakieś bliższe szczegóły?

– Podsłuchiwaliście – powiedział Nadżib lodowatym tonem.

– Tak. Na rozkaz Abdullaha – Kalid wzruszył ramionami. – Najśmieszniejsze w tych informacjach jest to, że można na nich polegać jedynie wtedy, kiedy ma się zaufanie do osoby, która podsłuchuje.

– Próbujecie mnie szantażować – Nadżib wstał z łóżka i stanął przed Kalidem. – Uważam naszą rozmowę za skończoną – powiedział pogardliwym tonem. – Nigdy nie dawałem się zastraszyć i nadal nie mam takiego zamiaru. Mogę wam tylko przyrzec, że nikomu nie powiem o naszej rozmowie. A teraz wyjdźcie, chcę zostać sam.

Kalid nie ruszył się z miejsca.

– Jak byś nazwał sposób, w jaki Abdullah uzależnił cię od siebie na tyle lat? Czy nie była to właśnie forma szantażu? A może źle cię oceniam? Może wcale nie jesteś odważny?

– Wynoś się! – krzyknął Nadżib.

Kalid nadal siedział nieruchomo.

– Czy myślisz, że samemu uda ci się zorganizować jej ucieczkę? – odczekał chwilę, ale Nadżib nie odezwał się. – Nie jestem tego pewny. Proszę cię, usiądź i posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Możemy już nigdy nie mieć takiej okazji. Nie wolno jej zmarnować.

Nadżib wahał się chwilę, chociaż dobrze wiedział, że Kalid ma rację. Byłoby głupotą nie wykorzystać tej szansy i nie połączyć sił. Przecież mieli ten sam cel, a on potrzebował ich pomocy, aby uwolnić Dalię. Skinął głową i usiadł na krawędzi łóżka.

– Wszyscy trzej – powiedział Kalid – mamy te same problemy. Nie możemy walczyć ze sobą. Musimy zostać przyjaciółmi – spojrzał na Nadżiba – No, jeśli nie przyjaciółmi, to przynajmniej sojusznikami.

– Dobrze – skinął głową Nadżib. – Wiecie już, czego ja chcę. Teraz powiedzcie mi, czego wy oczekujecie?

– Chcę, aby skończyło się szaleństwo świętej wojny – powiedział Kalid cicho. – Nie obchodzi mnie żydowska Ściana Płaczu ani chrześcijańska bazylika Świętego Piotra, ale Mekka to co innego. Nie

mogę dopuścić, aby zginęły tysiące niewinnych ludzi, a nasz święty przybytek został zniszczony. Abdullah musi odejść.

– A co się stanie, kiedy już odejdzie? – spytał Nadżib.

– Ja zostanę przywódcą naszej Organizacji – odpowiedział Kalid pewnie.

– A to coś zmieni?

– Tak. Mam nadzieję, że na lepsze. Jeśli mi nie wierzysz, to potraktuj mnie po prostu jako mniejsze zło. – Uśmiechnął się lekko. – Czy doszliśmy do porozumienia? Możemy na ciebie liczyć?

– Nie tak szybko – powstrzymał go Nadżib gestem ręki.– Powiedziałeś, że Abdullah musi odejść. Co przez to rozumiesz? On nigdy dobrowolnie nie zrezygnuje ze swojej władzy.

– Trzeba go zabić – powiedział Kalid. – Nie ma innego wyjścia.

– A co będzie z ludźmi, którzy są mu oddani?

Kalid milczał.

– Powiedzmy inaczej. Na ilu ludzi możesz liczyć, oprócz siebie i Hamida?

– Jest nas tylko trzech – powiedział cicho Kalid.

– Czyś ty oszalał? – Nadżib popatrzył na niego ze zdumieniem. – Abdullah ma poparcie setek ludzi. Tysięcy.

– Tu, w pałacu, może liczyć wyłącznie na dziewięćdziesięciu-siedmiu. Jedyną naszą szansą jest wykończenie go właśnie tutaj.

– Czy brałeś pod uwagę tych dwóch Libijczyków?

– Oni też zostaną zabici.

– A co z niemiecką terrorystką? – Nadżib potrząsnął głową. – Jest nas za mało. To nie może się udać.

– Weźmiemy ich przez zaskoczenie – powiedział Kalid.

– Jest nas za mało! Nie możemy się do niego dostać nawet w nocy. Słyszałeś, co mówił. Jeden z Libijczyków stale przy nim czuwa.

– A ty w jaki sposób chciałeś wydostać stąd tę Żydówkę? – Kalid spojrzał na niego bystro.

Nadżib nie odpowiedział.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? Jeśli połączymy swoje siły, to obaj możemy liczyć na powodzenie naszych planów.

Nadżib pomyślał chwilę. Nie mógł przewidzieć reakcji Kalida na to, co miał mu do zakomunikowania.

– Czy jesteś gotów walczyć po stronie Izraelczyków? – spytał wreszcie.

Kalid wpatrywał się w niego w osłupieniu.

– Czy jesteś gotów? – powtórzył Nadżib.

Kalid spojrzał na drzwi i zaczął mówić szeptem.

– Skąd masz pewność, że niewierni będą chcieli służyć nam pomocą?

– Powinna ich do tego skłonić perspektywa uwolnienia Dalii Boralevi i możliwość odebrania władzy Abdullahowi. Nie mogą mu pozwolić na rozpoczęcie świętej wojny, ponieważ to oni najbardziej by w niej ucierpieli.

Kalid siedział w milczeniu.

– No? – przynaglał go Nadżib.

Kalid zmarszczył brwi i spytał niepewnie:

– Kto będzie o tym wiedział?

– Wy dwaj – powiedział Nadżib. – Ja. Ta dziewczyna. No i oczywiście Izraelczycy. Nie powinieneś się tym martwić. Im samym będzie zależało na upozorowaniu śmierci Abdullaha. Zwalą winę na starcia z Armią Wyzwolenia Palestyny. W innym wypadku

Saudyjczycy uznaliby próbę odbicia Dalii za akt inwazji na ich terytorium. Izraelczycy nigdy się na to nie odważą.

Zapanowała cisza. Trzej mężczyźni obliczali bilans ewentualnych zysków i strat takiego przedsięwzięcia. Ryzyko było bardzo duże. Wiedzieli jednak, że muszą się go podjąć, jeżeli chcą cokolwiek osiągnąć.

Nadżib popatrzył na Kalida, po czym przesunął wzrok na jego towarzysza. Postanowił poczekać, aż spokojnie podejmą decyzję.

– Mam pytanie – odezwał się Kalid. – Wiemy, że trzeba zabić Abdullaha, dwóch Libijczyków i niemiecką terrorystkę. Nie możemy jednak zabić wszystkich w pałacu – przerwał, uważnie wpatrując się w Nadżiba. – Chcę wiedzieć, czy możesz mi zagwarantować, że nikt nie będzie podejrzewał ani Hamida, ani mnie o powiązania z Izraelczykami? Gdyby do tego doszło, bylibyśmy skończeni.

– Myślałem o tym – powiedział Nadżib. – Wbrew pozorom będzie to bardzo proste. Nikt się nie domyśli, że napastnicy są Izraelczykami, ponieważ nie będą mieli na sobie mundurów. Dopilnuję również, żeby posługiwali się rosyjską i amerykańską bronią. Jeśli akcja odbędzie się sprawnie i nikt nie zostanie ranny, nie będzie żadnych podejrzeń.

– To byłoby dziwne – zaśmiał się cicho Kalid. – Izraelczycy, którzy pomagają mi osiągnąć władzę...

Nadżib siedział w milczeniu.

Kalid spojrzał porozumiewawczo na Hamida.

– Możesz na nas liczyć – powiedział stanowczo.

– Wymagam od was pewnych gwarancji – powiedział Nadżib. – Jeśli mi ich nie udzielicie, nie przyłączę się do was.

– Jakie to mają być gwarancje? – spytał ostro Kalid.

– Po pierwsze, po zakończeniu akcji wycofuję się ze wszystkiego. Nie chcę mieć już nic wspólnego z Armią Wyzwolenia Palestyny. Po drugie, muszę uzyskać gwarancję bezpieczeństwa dla siebie i dla dziewczyny. Po trzecie, chcę mieć również stałą gwarancję nietykalności dla jej rodziny.

Nadżib wyczuł niechęć Kalida. Niełatwo było udzielić takich gwarancji.

– Takie są moje warunki. Możecie je przyjąć albo odrzucić.

Zapanowała długa cisza. Nadżib czekał cierpliwie.

– Dobrze, dam ci taką gwarancję – Kalid skinął głową. – Ale tylko w imieniu AWP. Nie mogę ręczyć za OWP, Fedainów i inne ugrupowania – wzruszył lekko ramionami.

– Nie oczekuję od ciebie gwarancji w ich imieniu.

– W takim razie zgoda – powiedział Kalid.

– Dobrze – Nadżib skinął głową. – Zostało nam tylko kilka godzin. Musimy szybko uzgodnić nasze plany. Rano odlatuję do Ar-Rijad, pod pretekstem konsultacji lekarskiej – podniósł obandażowaną dłoń. – Nie wrócę tu sam. Sprowadzę posiłki.

– Nie mamy więc czasu do stracenia. Kiedy wrócisz?

– Za dwie doby. Dłuższe oczekiwanie nie ma sensu. To się albo uda...

– Albo nie – dokończył Kalid.

Famagusta była zwykłym nadmorskim miastem na Cyprze, posiadającym ambicje wielkiego śródziemnomorskiego kurortu. Wzdłuż brzegu zbudowano wiele wysokich, nowoczesnych hoteli i bloków mieszkalnych. Zrobiono to jednak tak niefortunnie, że

budynki rzucały na plażę cień, a spragnieni słońca plażowicze rozkładali swe leżaki w wąskich przejściach pomiędzy domami.

Apartament Nadżiba znajdował się na czternastym piętrze. Siedząc daleko od okna nie widział zacienionej plaży, tylko samo morze.

Odwrócił wzrok i spojrzał najpierw na Szmarię, a potem w bok, na Daniego.

W pokoju panowała absolutna cisza.

Twarze obu mężczyzn były blade i spięte, a w ich oczach widać było coś więcej niż tylko zdziwienie. Najwyraźniej nie mogli poradzić sobie z tym, co przed chwilą usłyszeli.

Nadżib wstał i podszedł do barku. Przyniósł trzy szklaneczki brandy i postawił je przed nimi na stoliku. Usiadł w milczeniu.

Rozumiał, że jego opowieść musiała wywrzeć na nich wrażenie. Byli przerażeni. Nie przypuszczali, że uwolnienie Dalii będzie wymagało aż tak wielkiego przedsięwzięcia.

Dani zapalił papierosa trzęsącymi się rękami.

Wreszcie odezwał się Szmaria.

– Panie al-Ameer – powiedział cicho. – Uzgodnijmy jedną sprawę. Dostaliśmy fotografię Dalii i wyznaczono nam spotkanie, abyśmy mogli porozmawiać o jej uwolnieniu. – Spojrzał uważnie na Nadżiba. – Czy wszystko właściwie zrozumiałem?

– Niezupełnie, panie Boralevi – Nadżib patrzył mu prosto w oczy. – Jak już mówiłem, obawiam się, że pańska wnuczka nigdy nie zostanie uwolniona. Musimy zaplanować jej ucieczkę.

Dani poruszył się w swoim fotelu i powiedział:

– Panie al-Ameer. Jest pan Arabem. Dowiedzieliśmy się właśnie, że przez wiele lat związany był pan z Abdullahem. Wie pan chyba, że to czyni z nas wrogów.

– Czasami, panie ben Yaacov – powiedział spokojnie Nadżib – wrogowie muszą się sprzymierzyć w obliczu jeszcze większego niebezpieczeństwa. Jest to właśnie taki przypadek i nie ma innego wyjścia.

Dani milczał przez chwilę.

– Proszę mi powiedzieć jedno. Dlaczego mielibyśmy wierzyć, że chce się pan przeciwstawić Abdullahowi? Jaką możemy mieć gwarancję, że chodzi panu o uwolnienie Dalii?

– Przecież jestem tutaj, prawda? – Nadżib rozłożył ręce.

– To może być pułapka – upierał się Dani.

– Musicie mi uwierzyć.

– Na zaufanie trzeba sobie zasłużyć

– Dobrze wiecie, że nie ma na to czasu. W tym przypadku musicie mi po prostu zaufać.

– Wiem – powiedział sucho Dani. – I wcale mi się to nie podoba.

Nadżib uśmiechnął się. Bardzo dobrze go rozumiał. Gdyby był na jego miejscu, zachowywałby się tak samo.

– Chcieliście – powiedział wolno – mieć jakiś dowód na to, że jej uwolnienie... przyniesie mi jakąś korzyść. Wtedy mielibyście do mnie więcej zaufania. Prawda?

– Szczerze mówiąc, tak.

– Mógłbym wam podać wiele powodów. Na przykład, że należy powstrzymać Abdullaha, zanim rozpocznie świętą wojnę, którą zaplanował razem z Kadafim. Albo że chcę się od niego uwolnić, a jest to jedyny sposób, w jaki mogę tego dokonać. To wszystko są bardzo ważne powody, ale ja szukałem kontaktu z wami z zupełnie innej przyczyny. – Zawiesił głos na chwilę. – Zakochałem się w pana córce.

Dani podskoczył na fotelu, a jego twarz wykrzywiła się w gniewie.

– Co? – krzyknął.

– To, co powiedziałem – powtórzył spokojnie Nadżib. – Kocham Dalię.

Dani z przerażeniem spojrzał na teścia.

– To niemożliwe – wykrztusił.

– Wysłuchaj go, Dani – powiedział Szmaria łagodnie. – To nie mogą być kłamstwa.

Dani poderwał się gwałtownie z fotela. Przez chwilę Nadżib miał wrażenie, że chce go zaatakować, ale przeszedł przez pokój i stanął przy oknie, potrząsając głową.

– To niemożliwe – szeptał. – Niemożliwe.

Szmaria obrócił się w jego kierunku.

– Gdybyś żył tak długo jak ja, przekonałbyś się, że wszystko jest możliwe – powiedział. – Dlaczego nie mielibyśmy mu wierzyć?

Dani nie odezwał się. Po chwili wrócił na swoje miejsce i opadł na fotel, czujnie patrząc na Nadżiba.

– Przypuszczam, że to, co o panu czytałem, pokrywa się z rzeczywistością. Wobec tego nikt nie jest w stanie przewidzieć, co pan zrobi.

Nadżib siedział w milczeniu.

– Nikt też nie może przewidzieć, co zrobi Dalia – głos Daniego drżał. – Nigdy nie rozumiałem jej związków z mężczyznami, wyborów, jakich dokonywała. Najpierw ten student medycyny, a potem francuski reżyser, z którym żyła przez wiele lat... – Dani potrząsnął bezradnie głową. – A teraz pan. Ma talent do podejmowania... nieobliczalnych decyzji, jeśli tak to można ująć.

Nadżib zacisnął wargi. Byłby szczęśliwy, gdyby Dalia go wybrała. Jak do tej pory robiła wszystko, żeby go zniechęcić. Zastanawiał się, czy jej ojciec mógłby w to uwierzyć.

– Przepraszam – powiedział nagle Dani, odzyskując panowanie nad sobą. – Wiem, że nie jest to odpowiedni moment na taką rozmowę, ale ta wiadomość wprawiła mnie w osłupienie...

– Wiem, że nie powinienem teraz o tym mówić, ale chciałem, żebyście zrozumieli, dlaczego muszę pomóc Dalii w ucieczce i dlaczego zwróciłem się z tym do was. Potrzebuję waszej pomocy. Musimy działać razem. Jest to jedyna szansa dla Dalii. Wy macie do dyspozycji siłę militarną, a ja wiem, w jaki sposób należy przeprowadzić tę akcję. Sytuacja jest jednak bardzo poważna i wszystko musi zostać utrzymane w tajemnicy.

– Niech mi pan powie – spytał Szmaria – czy Saudyjczycy wiedzą, że ona jest przetrzymywana na ich terytorium?

– Wątpię – potrząsnął głową Nadżib. – Gdyby o tym wiedzieli, na pewno by jakoś zareagowali. Jak pan wie, prowadzą teraz negocjacje w sprawie zakupu amerykańskich samolotów bojowych i nie mogą sobie pozwolić na zadrażnienia w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi. Z drugiej strony, Stanom zależy na ich ropie. Miałem nawet pomysł, aby zwrócić się do władz Arabii Saudyjskiej lub Stanów Zjednoczonych i prosić ich, żeby wywarli presję na Abdullaha.

– No i? – przerwał mu Szmaria z niecierpliwością.

– Obawiam się, że nic by to nie dało – Nadżib potrząsnął głową. – Saudyjczycy nie mogą zepsuć sobie stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, ale nie mogą również zadrzeć z Abdullahem. Jest to zupełnie zrozumiałe. Jedynie Allach wie, gdzie może zostać umieszczona kolejna bomba. Ar-Rijad? Medyna?

– Mekka – rzucił Szmaria. – Gdyby się o tym dowiedzieli...

– Nie! – w głosie Nadżiba brzmiało zdecydowanie. – To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Gdyby Saudyjczycy wywarli silną presję na Abdullaha, to albo zabiłby Dalię, albo przeniósł ją w inne miejsce. W tej chwili wiemy przynajmniej, że żyje i...

– Więc co mamy robić? – spytał Szmaria. – W tej chwili rząd Izraela usiłuje prowadzić rozmowy pokojowe z naszymi arabskimi sąsiadami. Nie zgodzą się na użycie siły poza granicami kraju. To byłby koniec rozmów. Mogłaby nawet wybuchnąć wojna w Zatoce! – popatrzył w zamyśleniu na Nadżiba. – Ma pan rację. To bardzo delikatna sytuacja. Domyślam się, że opracował pan już cały plan? – dodał z uśmiechem.

– Tak. – Nadżib pochylił się do przodu, a jego głos był spokojny. – Musimy dotrzeć do pałacu i uwolnić Dalię? Oczywiście w sposób nieoficjalny.

– Czy... czy myśli pan o najemnikach? – spytał Dani.

– Ależ nie – Nadżib potrząsnął głową. – Nie ma na to czasu. Nie uda się tak szybko zebrać odpowiednio wyszkolonych ludzi. Potrzebujemy, i to natychmiast, grupy komandosów.

– Izraelczyków – dodał Szmaria.

– Tak, Izraelczyków – potwierdził Nadżib. – Ale po cywilnemu. Bez żadnych znaków rozpoznawczych. Jeśli zostaną złapani, to oczywiście wasz rząd będzie musiał wyjaśnić, że odbyło się to bez jego wiedzy.

– Nie żąda pan zbyt wiele? – parsknął Szmaria, spoglądając ze złością na Nadżiba. – Tylko tego, żeby nasi najlepsi chłopcy ryzykowali życiem w prywatnej, nielegalnej akcji!

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedział Nadżib. – Ale nie mamy innego wyboru.

– Obawiałem się tego – powiedział Szmaria. – To będzie trudne. Bardzo trudne.

– Mamy również bardzo mało czasu – dodał Nadżib. – Jeszcze tydzień temu Dalia była dla Abdullaha ważną zakładniczką. Wiązał z nią swoje plany. Ale wszystko się diametralnie zmieniło. Teraz Abdullah żyje wyłącznie pomysłem świętej wojny i obawiam się, że Dalia może stać się dla niego ciężarem... nie będzie miał żadnego powodu, aby zachować ją przy życiu. Już teraz jest to dla niego pewien problem.

– Pośpiech jest tu więc sprawą zasadniczą – powiedział Szmaria z ciężkim westchnieniem. – Zawsze tak jest. Co nam będzie potrzebne, oprócz ludzi, aby rozpocząć tę akcję?

– Broń – powiedział Nadżib. – W tych warunkach nie możemy posługiwać się bronią izraelską. Wszystko inne jest już przygotowane. Mój jacht stoi zacumowany u wybrzeży Omanu, a na jego pokładzie jest helikopter. W pałacu Abdullaha znajduje się dwóch mężczyzn współpracujących ze mną. – Po krótkiej przerwie dodał beznamiętnie: – Zaplanowaliśmy akcję na jutrzejszą noc.

– Jutro? – spytał zaskoczony Szmaria.

– Tak – skinął głową Nadżib. – Wszystko jest już gotowe, brakuje tylko komandosów. Zrobiłem plan pałacu. O wyznaczonej godzinie dwóch moich ludzi rozpocznie akcję. Zrozumcie, że nie mamy wyboru. Akcja musi rozpocząć się jutro. Jest już za późno na zmianę planów.

– To czyste wariactwo – powiedział Szmaria.

– Możliwe. Ale jest to konieczne. Czy mogę liczyć na waszą pomoc? – spytał Nadżib.

– Zobaczymy, co się da zrobić – mruknął Szmaria. – Zaraz się do tego zabiorę.

– Druga czterdzieści pięć w nocy lokalnego czasu – powiedział Nadżib. – Jeśli nie będziecie w stanie zmobilizować ludzi na tę godzinę, to już nic nie będę mógł zrobić.

– Rozumiem – powiedział Szmaria. – W Bogu nadzieja, że zrozumie to również człowiek, do którego mam zamiar się udać.

– Nie traćmy czasu. – Dani spojrzał na zegarek. – Zatelefonuję na lotnisko i dowiemy się o najbliższy samolot do Tel Awiwu. Im prędzej się tam znajdziemy, tym lepiej dla sprawy.

– Nie musi pan telefonować na lotnisko – odezwał się Nadżib. – Pozwoliłem sobie wyczarterować dla panów samolot. Stoi na międzynarodowym lotnisku w Nikozji, w każdej chwili gotów jest do startu. Pilot dostał polecenie, aby zostać w Tel Awiwie i czekać na dalsze instrukcje. Kiedy zbierzecie ludzi, a wierzę, że tak się stanie, przywiezie ich tutaj. Mój samolot, którego używać będziemy podczas ucieczki, będzie czekał na opuszczonym lotnisku wojskowym na półwyspie. Wasz pilot zna to miejsce.

– A broń? Jak przemycimy broń przez cypryjską komorę celną? – spytał Szmaria marszcząc czoło.

– To też zostało już załatwione – Nadżib uśmiechnął się triumfalnie. – Celnicy będą patrzyli w drugą stronę.

– Ale jeśli pana celnik się rozchoruje, albo...

– Nie ma znaczenia, kto będzie na służbie – potrząsnął głową Nadżib. – Wybrałem Cypr ze względu na stosunki, jakie łączą mnie z tamtejszym rządem. Od pewnego czasu prowadzą ze mną negocjacje w sprawie wybudowania dodatkowego lotniska i spalarni odpadów. – Uśmiechnął się. – Będą patrzeć w drugą stronę. Rozmawiałem o tym z osobą, która zajmuje jedno z najwyższych stanowisk rządowych i powiedziałem jej, że jest to warunek wznowienia negocjacji.

– Widać, że przewidział pan wszystko. – W głosie Szmarii brzmiała nuta podziwu.

– Obawiam się, że jest jeszcze wiele rzeczy, których nie przewidziałem.

Szmaria po raz pierwszy pozwolił sobie na uśmiech. Wstał ze swojego fotela.

– Myślę, że my obaj dobrze się rozumiemy, panie al-Ameer – powiedział serdecznie. – Jest pan człowiekiem, który szybko dochodzi do sedna sprawy. Kto wie? Może... może mamy jakąś szansę? Pana dziadek musi być z pana bardzo dumny – dodał.

Nadżib podniósł na niego wzrok.

– Mój dziadek zmarł zeszłej zimy – powiedział cicho. – Bardzo się zmienił od czasu, kiedy Abdullah przejął władzę nad naszą wioską. Właściwie już wtedy zaczął umierać. Wszystko się w nim wypaliło.

– Bardzo mi przykro – powiedział Szmaria.

Stał przez chwilę bez ruchu, a w jego oczach pojawiły się łzy.

– Był czas, kiedy byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

– Wiem – powiedział cicho Nadżib. – Często o panu mówił.

– Wielka szkoda, że rozdzieliła nas polityka i religia. Czy pan wie, że zawdzięczam mu życie? A teraz, jeżeli wszystko się powiedzie, Dalia będzie zawdzięczać życie panu.

Nadżib potrząsnął przecząco głową.

– Ona nie będzie mi niczego zawdzięczać, panie Boralevi. Przecież ja ją kocham. – Wyciągnął rękę. – Dziękuję panom za przybycie. Będę niecierpliwie czekał na wiadomości od was.

– Miejmy nadzieję, że uda mi się szybko pokonać biurokrację – Szmaria serdecznie uścisnął wyciągniętą rękę.

Nadżib podszedł do Daniego, ale on nie zwrócił na niego żadnej uwagi. Opuścił rękę.

– Nie spodziewam się oznak sympatii z pana strony, panie ben Yaacov – powiedział Nadżib odprowadzając ich do drzwi. – Mam jednak nadzieję, że kiedyś zostaniemy przyjaciółmi. Samochód czeka na dole.

Stanął w otwartych drzwiach.

– Będę oczekiwał na wasz telefon.

Kiedy zniknęli mu z oczu, Nadżib szepnął po hebrajsku:

– *Szalom*.

Zachowywałeś dziwne milczenie – powiedział Szmaria do Daniego, kiedy samochód podwoził ich do schodków samolotu.

Przerwał, ponieważ szofer otwierał właśnie drzwi. Szmaria wysiadł pierwszy.

– Wyglądasz jak człowiek, który zobaczył koniec świata – w głosie Szmarii brzmiało zniecierpliwienie.

– A czy tak nie jest? – Dani popatrzył na niego ze złością.

Szmaria westchnął. Widać było, że Dani z trudem się hamuje. W samochodzie nie powiedział ani słowa.

– Wiem, że jest jeszcze zbyt wcześnie na okazywanie radości – powiedział cicho. – Powinieneś być jednak szczęśliwy, że Dalia ma jakąkolwiek szansę. Gdyby nie pan al-Ameer, nigdy byśmy jej już nie zobaczyli. Czy nie pomyślałeś o tym?

– Zawsze miałeś słabość do al-Ameerów, prawda? – warknął w odpowiedzi Dani. Wszedł do samolotu nie zwracając uwagi na witającą ich stewardesę.

Szmaria skinął jej głową i westchnął ponownie. Nie był w stanie zmienić nastroju Daniego. Widział jego reakcję, kiedy Nadżib al-Ameer wyznał, że kocha Dalię.

– Czy wolałby, żeby jej nie kochał i nie miał zamiaru jej pomóc? – mruczał do siebie, sadowiąc się na skórzanym fotelu.

Rozejrzał się dokoła. Wnętrze w niczym nie przypominało wystroju normalnych samolotów pasażerskich. Było urządzone ze smakiem.

Zacisnął wargi. Szkoda, że nie jest w nastroju i nie może cieszyć się tym luksusem.

– Za moment będziemy startować – powiedziała z uśmiechem stewardesa. – Czy mogę podać panom coś do picia?

Dani, nie odwracając się od okna, potrząsnął przecząco głową.

– A dla pana? – spytała Szmarię.

– Nie, dziękuję.

Stewardesa odwróciła się, aby odejść, ale zatrzymał ją głos Szmarii.

– Proszę mi powiedzieć, czy z tego samolotu można zatelefonować?

– Oczywiście – powiedziała. – Proszę mi podać numer. Przyniosę panu telefon, gdy tylko uzyskam połączenie.

Dziesięć minut później Szmaria usłyszał w słuchawce cichy, odległy sygnał.

– Ken – usłyszał po czwartym dzwonku.

– Tak?

– Czy nie napiłbyś się ze mną kawy, przyjacielu? – powiedział ostrożnie dobierając słowa. – Tam gdzie spotkaliśmy się ostatnio.

W słuchawce zapadła cisza.

– A więc do tego doszło – odezwał się po chwili głos Chaima Golana.

– Wszystko ci powiem. Czy możemy się spotkać za półtorej godziny?

– Gdzie ty jesteś? – mruknął Golan. – Chyba dzwonisz z pojemnika na śmieci.

– Jestem w samolocie – roześmiał się Szmaria. – A więc za półtorej godziny.

– W samolocie – powtórzył Chaim. – No, no. Jeśli tak dalej pójdzie, to niedługo poczujesz się tak ważny, że nie będziesz chciał nawet z nami rozmawiać – z tymi słowami Chaim odłożył słuchawkę.

Szmaria oddał telefon stewardesie i spojrzał przez okno. Zapadała ciemność.

Nie można było nazwać ich podróży prawdziwym lotem.

Ostro wznieśli się w górę i zaraz potem zaczęli schodzić w dół. Dla Szmarii było to jednak najcięższe czterdzieści pięć minut, jakie musiał wytrzymać w powietrzu.

Był zadowolony, kiedy samolot wylądował na lotnisku Ben Guriona.

– Jedź do domu – powiedział Daniemu, kiedy wsiadali do taksówki. – Podwieź mnie na Dizehgoff i wracaj do Tamary.

Dani skinął głową. Nie miał ochoty na rozmowę. Przez cały czas zastanawiał się, czy Dalia i Nadżib al-Ameer rzeczywiście są w sobie zakochani.

Po upalnym dniu nastał chłodny wieczór i mnóstwo ludzi wyszło na ulicę. W Kassit Cafe zajęte były wszystkie stoliki. Słychać

było przytłumione rozmowy, brzęk kieliszków i szybkie kroki kelnerów. Na jezdni migały światła samochodów i kolorowe neony. Cały kalejdoskop ruchu i dźwięku. Szmaria przysłuchiwał się podniesionym młodzieńczym głosom, dyskutującym o sowieckich Żydach.

Wydawało mu się, że Chaim zamilkł bardzo dawno temu i zaczynał tracić cierpliwość. Upływały cenne minuty, które mogły decydować o losie Dalii.

Chaim Golan siedział zamyślony, a Szmaria wiedział, że nie powinien go popędzać.

Golan poruszył się i spojrzał na przyjaciela pogodnie.

– Nie starczy już czasu na zwołanie zebrania i przedyskutowanie tej sprawy.

– To musi nastąpić jutro w nocy — potrząsnął głową Szmaria. – Wszystko jest już przygotowane i nie można niczego zmienić.

– Jakie al-Ameer zrobił na tobie wrażenie? – spytał Golan. – Czy jest taki, jak opisują go gazety. Poszukiwacz przygód? Znudzony bogacz?

– Wcale nie. Podchodzi do sprawy poważnie. Chce powstrzymać Abdullaha.

– Mekka! Ściana Płaczu, święty Piotr! – Golan zaklął cicho. – To dowodzi, że nasze podejrzenia były słuszne. Abdullah jest szalony. Już dawno powinniśmy go unieszkodliwić.

– Znowu eufemizm. Dlaczego nikt w tajnych służbach nie używa prawdziwych słów, na przykład „zamordować", „zabić"? Unieszkodliwić! – Szmaria parsknął pogardliwie.

– Niedobrze, że mamy tak mało czasu – powiedział Golan, ignorując słowa przyjaciela. – Z tego co mi mówiłeś wynika, że będzie to akcja na dużą skalę. Zaatakowanie setki dobrze

wyszkolonych terrorystów na ich własnym gruncie, to samobójstwo, jeżeli dysponuje się tylko garstką ludzi.

– Moment zaskoczenia będzie działał na naszą korzyść – powiedział Szmaria.

– Moment zaskoczenia i nic więcej – odparł sucho Golan.

Szmaria odstawił kieliszek.

– Ilu ludzi, Chaim? – spytał szeptem. – Ilu ludzi możesz zorganizować?

– Piętnastu. Dwudziestu. – Golan wzruszył ramionami. – Reszta ma inne zadania, a niektórych nie ma w kraju. – Westchnął, potrząsając głową. – To bardzo źle wygląda, Szmaria. Bardzo źle dla tych chłopców.

– Ale są przecież świetnie wyszkoleni. Najlepsi na świecie.

– Tym bardziej nie należy ich bezsensownie wystawiać na niebezpieczeństwo!

– Sam przed chwilą powiedziałeś – Szmaria patrzył na niego ze zdziwieniem – że trzeba powstrzymać Abdullaha za wszelką cenę. Nie masz chyba zamiaru tego zaniechać. To jedyna okazja!

– Widzę, że ufasz całkowicie Nadżibowi al-Ameerowi.

– Wierzę, że mówił szczerze – potwierdził Szmaria. – Jemu również bardzo zależy na tym, żeby unieszkodliwić Abdullaha.

– To powiedz mi, dlaczego tak długo związany był z terrorystami? Przez te wszystkie lata dostarczał Abdullahowi pieniędzy. Tylko dzięki niemu mógł prowadzić swoje działania.

– Wszystko o nim wiecie – Szmaria spojrzał na Chaima ze zdziwieniem.

– Mieliśmy na niego oko – powiedział obojętnie Golan.

– Jak grube jest jego *dossier?* – spytał Szmaria.

– Możesz się tego domyślić.

– Jednego nie mogę zrozumieć. Jeśli mieliście tyle informacji na jego temat, to dlaczego pozwoliliście mu działać dalej?

– Przecież sam dobrze wiesz. – Golan machnął ręką. – On jest nietykalny. Niczego nie można mu udowodnić. To, że jego statki przewożą broń, a przez jego różnorodne konta w szwajcarskich bankach przepływają wielkie pieniądze, nie stanowi dowodu przeciwko niemu osobiście. Oczywiście wiemy, że to on, ale nie możemy tego udowodnić. Nie jest głupi, to mogę ci zagwarantować. Gdyby do czegoś doszło, to i tak jego nic nie dosięgnie.

– Powiedział mi, że chce z nimi zerwać.

– Nie rozumiem dlaczego – powiedział ironicznie Golan. – Zabawne – ludzie, którzy zawierają pakt z diabłem, zawsze za późno dochodzą do wniosku, że te układy prowadzą ich wprost do piekła. Powinni wcześniej o tym wiedzieć, nie uważasz?

– Chaim... – zaczął Szmaria, patrząc na niego z niepokojem.

– W porządku – Golan westchnął ciężko. – Wbrew sobie mówię ci – tak. Zajmę się tym natychmiast. Pamiętaj tylko – podniósł palec do góry – że jest to prywatna sprawa. My nic o tym nie wiemy. Jeśli któryś z naszych chłopców zginie, to nie przyznamy się, że był od nas. A jeżeli uda nam się wyciągnąć stamtąd Dalię, to prasa absolutnie nie może się dowiedzieć, w jaki sposób to się odbyło. Powiemy, że uwolniła ją jakaś umiarkowana frakcja, która szykowała zamach na Abdullaha. Rozumiesz?

Szmaria skinął potakująco głową.

– Jestem ci niezmiernie wdzięczny, Chaim – powiedział. – Ale jest jeszcze jedna sprawa. Nadżib al-Ameer żąda immunitetu.

– Immunitetu?

– Dalia nie będzie występować przeciwko niemu...

– A śmierć Eliego Levina? Czy mamy o tym po prostu zapomnieć?

– W tych okolicznościach byłoby to słuszne. Nadżib al-Ameer związany był z Abdullahem, ale mordercami nie byli jego ludzie.

– Szmaria, wystawiasz na próbę moją cierpliwość.

– A ty, stary przyjacielu, moją.

Szef Mosadu wzruszył tylko ramionami.

W pałacu braci Tammam Dalia krążyła niespokojnie po swoim apartamencie. Miała na sobie jedwabną piżamę, znalezioną w jednej z szaf, a włosy zaplotła w warkocz. Kalid, który zjawił się u niej w ramach rutynowej kontroli, zdążył jej szepnąć, że ma być przygotowana na dzisiejszą noc. Oczywiście nie próbowała nawet zasnąć. Była spięta. Otuchy dodawał jej fakt, że wyostrzyła sobie refleks ćwicząc codziennie karate i dżudo.

Kalid pił mocną kawę, jeden kubek po drugim. On również nie mógł pozwolić sobie na sen. Wiedział z doświadczenia, że nie powinien spać przed akcją. Był wtedy o wiele sprawniejszy.

Hamid z latarką w ręku błąkał się po jednym z budynków, znajdujących się na terenie posiadłości. Plątanina cienkich, kolorowych drucików przyprawiała go o zawrót głowy. Nie wiedział, które powinien odłączyć, postanowił więc rozłączyć wszystkie. Ręce mu się trzęsły i zimny pot wystąpił na czoło, kiedy pomyślał, że może uruchomić alarm.

Gazi pogrążony był w głębokim śnie.

Surour siedział na krześle w łazience, trzymając broń w pogotowiu. Był dumny, że jego pan ma do niego zaufanie i spokojnie myje się pod prysznicem.

Abdullah brał kąpiel. Z trzech ścian kabiny prysznicowej biła w niego gorąca woda. Był bardzo z siebie zadowolony. Dopiero teraz mógł osiągnąć prawdziwą władzę. Dalia Boralevi przestała mu być potrzebna. Jutro się jej pozbędę, pomyślał Abdullah, najważniejsza jest teraz święta wojna.

W samolocie lecącym nad Jordanią:

Nadżib wszedł do kabiny i usiadł na miejscu drugiego pilota. Wielokrotnie stosował tę metodę dla uspokojenia nerwów, ale teraz nie dała żadnych rezultatów.

Dani, zamknięty w toalecie, usiłował pokryć sobie twarz warstwą żelu maskującego rysy, nie mógł jednak sprostać temu zadaniu, ponieważ trzęsły mu się ręce. Ta samobójcza akcja działała mu na nerwy. Od czasu wojny zawsze wsiadał do samolotu roztrzęsiony. Nie zapomniał nigdy tej chwili, kiedy jego samolot został zestrzelony przez Niemców.

Szmaria czuł, że ciśnienie podniosło mu się do niebezpiecznej granicy. Rozglądał się po luksusowo urządzonej kabinie i po raz setny zastanawiał, czy istnieje jakakolwiek szansa, że któryś z nich ocaleje. Rachunek był prosty – pięć do jednego. Na ich niekorzyść...

W Jerozolimie:

Chaim Golan słuchał w milczeniu gniewnych słów premiera. Ta nieoficjalna rozmowa miała miejsce w prywatnym domu premiera, w jego bibliotece. Chaim zaczynał żałować, że zgodził się na prośbę Szmarii.

Wreszcie premier zamilkł. Wysocy urzędnicy rządowi dyżurowali przy telefonach, a wojsko zostało postawione w stan pełnej gotowości bojowej. Teraz można było jedynie czekać...

Widzisz coś? – spytał Dani patrząc na zegar, który wskazywał drugą dwadzieścia pięć.

– Nie – odpowiedział Szmaria.

Wpatrywał się w okno samolotu, ale widział tylko ciemność. Przelatywali właśnie nad pustynią Ar-Rab al-Chali. Przez ostatnie dwie godziny nie dostrzegł żadnego światła. Było to prawdziwe pustkowie. Spojrzał na zegarek. Do ustalonej godziny brakowało tylko dwudziestu minut.

Szmaria odwrócił się od okna. Dotknął przycisk w oparciu, obrócił fotel i rozejrzał się po kabinie. Gdyby nie powaga sytuacji, widok ten na pewno by go rozbawił. W luksusowym samolocie siedziało siedemnastu komandosów z twarzami pomalowanymi na czarno. Wszyscy mężczyźni ubrani byli w ciemne, obcisłe kombinezony. Wśród nich wyraźnie wyróżniał się jeden, ubrany inaczej. Był to chirurg wojskowy, który miał pozostać w samolocie i w drodze powrotnej zająć się rannymi.

Podchodząc do lądowania samolot wszedł w strefę turbulencji. Złożona na podłodze broń przesuwała się z hałasem. Leżały tam półautomatyczne karabiny Uzi, amerykańskie M17-A1, przenośne wyrzutnie rakietowe i miotacze ognia.

Szmaria podniósł wzrok na Daniego.

– Jesteś zdenerwowany? – spytał cicho.

Dani podniósł głowę. On również miał twarz pokrytą czarnym mazidłem.

– Zdenerwowany? – powtórzył. – Tak.

– Ja też. Pomyśl o dawnych czasach. Zawsze byłeś wspaniały.

– Ale teraz jestem już stary.

– Ty?! – zaśmiał się Szmaria. – To ja jestem stary. Za stary na wojnę, za stary na takie przebieranki.

Nadżib wyszedł z kabiny pilotów i stanął przy fotelu Szmarii. Jego twarz była również czarna.

– Kapitan Childs porozumiał się z załogą helikoptera. Są o pięć mil na południe od pałacu. Da im sygnał przed naszym lądowaniem. A zatem, czas lądowania samolotu i helikoptera będzie dokładnie zsynchronizowany.

Szmaria zaskoczony był jego opanowaniem. Zdumiewało go również opanowanie innych mężczyzn, a jego własne najbardziej.

Jeszcze raz rozejrzał się dokoła. Siedemnastu komandosów, pomyślał, on, Dani, Nadżib i ja. Dwudziestu mężczyzn. Dwudziestu dwóch razem z tymi, którzy są w pałacu.

Można mieć tylko nadzieję, że to wystarczy. Komandosi byli doskonali, wielokrotnie obserwował ich ćwiczenia. Bez względu na zadanie, jakie mieli do wykonania, ich działania były zawsze idealnie zgrane. Wykazywali się niezwykłą odwagą i lojalnością w stosunku do współtowarzyszy. Jeśli uda się nam pomyślnie przeprowadzić tę akcję, to tylko dzięki nim, pomyślał Szmaria.

– Czy mogę tu usiąść na chwilę? – Nadżib wskazywał pusty fotel koło Szmarii.

– To pana samolot – zaśmiał się Szmaria. – Proszę się nie krępować. – Przesunął fotel w jego stronę.

Nadżib poprosił Daniego, żeby usiadł bliżej. Zmiana ciśnienia w kabinie spowodowała, że Dani miał zatkane uszy. Stale przełykał

ślinę. Odruchowo spojrzał na zegarek. Zostało jeszcze czternaście minut.

Osiemset czterdzieści sekund do rozpoczęcia akcji.

Nadżib siedział w milczeniu. Modlił się, by Allach był po ich stronie. Akcja musi się odbyć bez najmniejszych zakłóceń, jedno potknięcie może mieć nieodwracalne skutki nie tylko dla Izraelczyków, ale przede wszystkim dla niego samego. Nawet jeśli wszystko się uda, a ktoś nie dotrzyma tajemnicy, nie tylko nie będzie mógł pokazać się w żadnym z arabskich krajów, ale jego dni będą policzone. Arabowie, którzy zdradzili swoich braci, byli bardziej nienawidzeni niż Żydzi.

Zacisnął wargi. Nie pora o tym myśleć.

Szmaria uważnie obserwował Nadżiba. Z wyrazu jego twarzy można było odgadnąć, o czym myśli.

Zostało trzynaście minut.

Młody kapitan, który był dowódcą komandosów, podniósł się z fotela i stanął na środku kabiny.

– Proszę o uwagę! – zawołał. – Wiem, że już to przerabialiśmy, ale chcę jeszcze raz wszystko powtórzyć. Nie mieliśmy zbyt dużo czasu. Proszę słuchać uważnie. Kiedy samolot dotknie ziemi, wszyscy mają mieć broń w ręku. Wychodzimy przez zapasowe wyjścia. W helikopterze mieści się sześć osób, łącznie z pilotem. Musimy zrobić pięć kursów, żeby dostać się na teren pałacu. Wszystkie alarmy powinny być wyłączone, ale musicie być przygotowani, że coś może nawalić. Nie muszę wam mówić, że mamy do czynienia z grupą dobrze wyszkolonych terrorystów. Najpierw strzelać, potem zadawać pytania. Nie możemy pozwolić sobie na to, aby brać jeńców. Kto odnajdzie kobietę, niech zasygnalizuje to czerwonym płomieniem z wyrzutni. Śmierć

Abdullaha – żółtym. Potem należy się wycofać. Kobieta jako cywil zabrana zostanie pierwszym kursem helikoptera. Czy są jakieś pytania? – rozejrzał się po kabinie.

Jeden z komandosów podniósł rękę do góry.

– Tak? Meyer.

– Moja żona chce mieć orientalny dywan. Czy możemy zabrać jakieś pamiątki?

Komandosi roześmiali się.

– Zapomnij o tym, Meyer – powiedział kapitan z uśmiechem. Rozejrzał się dokoła. – Sprawdźcie broń i bądźcie gotowi.

W samolocie nastąpiło poruszenie. Dani wyjął spod stolika hełm i podał go Nadżibowi.

– Czy to konieczne? – spytał Nadżib. – Jest okropnie ciężki.

– Lepiej mieć ten ciężar na głowie niż żałować poniewczasie, że się go nie miało – powiedział Szmaria.

Nadżib skinął głową i zerknął na swoje odbicie w szybie. Czarna twarz, czarny hełm. Własna matka by go nie poznała. Spojrzał na Daniego.

– Nie miałem jeszcze okazji podziękować za to, że się pan do nas przyłączył – powiedział cicho. – Chciałbym, żeby pan wiedział, jak bardzo się z tego cieszę.

Dani potrząsnął głową.

– To ja powinienem panu dziękować. Dalia jest moją córką, a ja zachowałem się jak gówniarz. Przykro mi, że byłem niepia (p) Tj0.1152 Tc

– To dlatego, że niewielu mężczyzn mogłoby sobie na to pozwolić – zaśmiał się Nadżib.

– Nie o to mi chodzi. Chcę tylko, żeby pan wiedział... – nagle odwrócił głowę.

Nadżib milczał.

– Chcę tylko powiedzieć – odezwał się Dani – że nie mam zamiaru stanąć między panem a Dalią.

Nadżib spojrzał na niego ze zdziwieniem. Zanim jednak zdołał coś odpowiedzieć, z głośnika rozległ się głos kapitana Childsa.

– Za pięć minut lądujemy. Helikopter właśnie startuje. Spotkamy się z nim po wylądowaniu. Pałac jest po naszej lewej stronie. Będziemy nad nim przelatywać, mogą go panowie obejrzeć. Za piętnaście sekund wygaszę wszystkie światła. Będziemy lądować w kompletnej ciemności, nawet bez świateł nawigacyjnych. Byłbym wdzięczny za ukrycie tego faktu przed Ministerstwem Lotnictwa, ponieważ łamiemy wszelkie przepisy. – Przerwał na chwilę. – Za pięć sekund światła zostaną zgaszone.

Po chwili samolot pogrążył się w ciemnościach. Błyszczały jedynie czerwone lampki, oznaczające wyjścia awaryjne.

– Życzę wam szczęścia, panowie – dodał kapitan Childs.

Po chwili wszyscy przysunęli się do okien. Nadżib spojrzał w dół. Pałac braci Tammam!

– Życzę ci szczęścia, przyjacielu – zwrócił się do Daniego.

– Ja tobie też – powiedział Dani, a po chwili dodał: – przyjacielu.

Komandosi wymieniali między sobą uwagi na temat pałacu.

Jedynie Dani nie patrzył w dół. Siedział wyprostowany, trzymając broń na kolanach. Ten karabin dodawał mu otuchy, przypominał młodzieńcze lata. Poczuł się nagle silny i

niezwyciężony. Kto raz był żołnierzem, zawsze nim pozostanie, pomyślał.

Samolot przelatywał właśnie nad dachem pałacu.

Z apartamentu Saida Tammama, który został oddany do dyspozycji Nadżiba, można było zobaczyć cały pas startowy.

Kalid siedział spokojnie przy otwartym oknie. Przez tyle lat brał udział w atakach terrorystycznych, po których musiał spędzać całe miesiące w ukryciu, że nie odczuwał zniecierpliwienia.

Usłyszał nadlatujący samolot i spojrzał na zegarek. 02.44.02. Za pięćdziesiąt osiem sekund zapali światła na pasie startowym za pomocą zdalnie sterowanego pilota. Wypróbował go już w południe, w pełnym blasku słońca, kiedy światła nie były widoczne.

Wstał z krzesła, sprawdził swój pas z amunicją, karabin maszynowy oraz kieszenie, w których były granaty. Trzymając w ręku pilota, spojrzał na zegarek. 02.44.49.

Jeszcze sekunda.

Dotknął przycisk. Dwa rzędy światełek rozbłysły w ciemności.

Samolot był już bardzo nisko, helikopter również.

Kalid uśmiechnął się. Nareszcie.

Dalia zesztywniała słysząc przeciągły dźwięk, który zakończył się gwałtownym wybuchem. Miała wrażenie, że cały pałac się zatrząsł, a wszystkie okna zadygotały.

Serce biło jej jak oszalałe. Kalid mówił prawdę. Nadżib wrócił, aby ją uwolnić.

Abdullah siedział w salonie, w którym na jego życzenie

rozstawiono trzy stoły. Na każdym z nich leżała rozłożona mapa – Jerozolimy, Watykanu i Mekki.

Krzesło, na którym siedział, stało u szczytu stołu pod wysokim przeszklonym dachem. Ludzie Abdullaha na jego rozkaz wynieśli wszystkie pozostałe meble. Zostały jedynie trzy stoły, trzy lampy, telefon i specjalnie wybrane krzesło. Abdullah był zadowolony. Czuł się jak generał, który obmyśla plan bitwy.

Rozpierała go duma. W tym ogromnym, pustym pomieszczeniu czuł się jak w sali tronowej. Niedługo cały świat będzie należał do mnie, pomyślał. Trzeba tylko przeprowadzić

kiedy zmieniałem bieg historii? Kto wie? Może nawet razem wejdziemy do raju? Nie każdy został wybrany, aby służyć Allachowi w takiej...

Abdullah przerwał i podniósł głowę. Usłyszał nadlatujący samolot, który po chwili z ogłuszającym hukiem przewalił się nad dachem pałacu. Wszystkie szyby zadrżały.

– Przyleciał mój bratanek – powiedział Abdullah. – Powiem mu, żeby zaraz wysłał samolot po lekarza.

– Wszystko w porządku. Nie ma pośpiechu – powiedział Gazi.

– Pamiętaj, Gazi, że ty i Surour macie mnie ochraniać. Musicie być w doskonałej kondycji, żeby dobrze wypełniać swoje zadania.

– Tak – odezwał się Gazi. – Jeśli tak pan sobie życzy.

Abdullah skinął głową, pochylając się na planem Mekki. Nagle nad przeszklonym dachem niebo rozbłysło wszystkimi kolorami tęczy. Abdullah spojrzał w górę.

– Będę musiał porozmawiać ze swoimi ludźmi. Zachowują się jak dzieci. Zabawiają się!

– Niech mi pan pozwoli tam pójść – powiedział Gazi.

– Nie. Zostań przy mnie. Niedługo skończę, wtedy pójdziemy tam razem.

Abdullah pochylił się nad mapą. Wydawało mu się, że usłyszał warkot helikoptera. Zastanowiło go to, ale szybko zapomniał o całej sprawie. Myślał o powrocie Nadżiba.

Dopiero po chwili, kiedy przez szklany dach wpadły kolejne błyski światła, a warkot helikoptera słychać było w całym pomieszczeniu, Abdullah zrozumiał swój błąd. Gdy usłyszał pierwsze strzały, zerwał się gwałtownie z krzesła i rzucił w kierunku drzwi. Gazi biegł tuż obok niego. Usłyszeli brzęk szyb i huk eksplozji. Silny podmuch rzucił ich na podłogę. Miejsce, w którym

się przed chwilą znajdowali, wyglądało okropnie – kupa gruzu pokryta szkłem z rozbitego dachu. Całe pomieszczenie przesiąknięte było zapachem dymu i jakimś chemicznym odorem. Abdullah dotknął twarzy. Spływała z niej krew. Został raniony odłamkami szkła. To, że obaj z Gazim uszli z życiem, graniczyło z cudem.

Abdullaha ogarnęła niepohamowana wściekłość. Jego wspaniały pokój tronowy uległ zniszczeniu.

Powoli złość ustępowała miejsca strachowi. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że stracił kilka cennych minut. Samolotem mógł przybyć Nadżib, ale w promieniu stuosiemdziesięciu mil nie było żadnego helikoptera.

Abdullah zerwał się z podłogi.

– Atakują nas! – krzyknął.

Dali wydawało się, że trwa silne trzęsienie ziemi. Podłogi drżały i wszędzie słychać było huk eksplozji. W przyległym pokoju szyby poleciały z trzaskiem. Słychać było, jak wielkie lustro weneckie spada ze ściany i rozbija się na podłodze. Co chwila rozlegała się seria z karabinów maszynowych. Dalia z krzykiem waliła pięściami w drzwi, ale nikt nie przychodził jej na ratunek.

Nagle zapadła cisza. Dalia przyłożyła ucho do drzwi. Usłyszała wrzaski dochodzące z holu i znowu zaczęła bić pięściami w drzwi. Bez skutku. Odgłosy strzelaniny słychać było teraz w oddali. Spojrzała przez okno, ale niewiele mogła zobaczyć przez gęste żaluzje, które okazały się równie mocne jak drzwi i mimo eksplozji pozostały nietknięte.

Nie odczuwała strachu. Myślała o Nadżibie. O tym, że przychodzi jej z pomocą.

Po chwili następna eksplozja, silniejsza niż poprzednie, wstrząsnęła ścianami apartamentu i naruszyła marmurowe płyty podłogi. Z sufitu zaczął spadać tynk. Ten atak skierowany był na nią. Krzyki w holu stawały się coraz głośniejsze. Słychać było warkot helikoptera i serie z karabinów maszynowych. Boże, chroń Nadżiba!

Rozejrzała się dokoła. Żeby tylko się stąd wydostać!

Wstrzymała oddech. Oczywiście! Czemu wcześniej nie przyszło jej to do głowy?

Spirytus! Widziała przecież w barku butelkę czystego spirytusu!

Szybko pobiegła do drugiego pokoju. Następna eksplozja wstrząsnęła ścianami apartamentu, a odłamki uderzyły w żaluzje. Dalia padła na podłogę. Powoli przesuwała się na brzuchu w kierunku barku. Butelka spirytusu stała na swoim miejscu.

Potrzebowała jeszcze zapałek i knota. Nie było zapałek! Przypomniała sobie, że na stoliku przy łóżku stoi duża zapalniczka.

Czołgała się teraz w kierunku sypialni, przeklinając wielkość pokoi. Wreszcie dotarła do łóżka. Chwyciła poduszkę i paznokciami zaczęła drzeć ją na kawałki. Po chwili knot był gotowy. Polała go spirytusem i zanurzyła w butelce. Koktajl Mołotowa, pomyślała. Teraz mogą już po mnie przyjść! Pobiegła do holu.

Nie musiała długo czekać.

– *Schnell!* Otwierajcie! – usłyszała za drzwiami gardłowy głos niemieckiej terrorystki.

Zabrzęczały klucze. Dalia przywarła do ściany i zapaliła nasączony spirytusem knot.

Drzwi otwierały się powoli. Ogarnęło ją przerażenie. Dlaczego nikt nie wchodzi? Na co czekają?

Szybko, do cholery. Zaraz wybuchnie mi to w twarz! – pomyślała w panice.

Do góry! – krzyknął Nadżib do pilota helikoptera. – Na dach!

Prawie całym ciałem wychylony był na zewnątrz, poza kabinę. Po przeciwnej stronie Dani znajdował się w takiej samej pozycji.

– Do góry! – krzyknął ponownie.

– Jak pan sobie życzy – powiedział pilot spokojnie, wznosząc jednocześnie helikopter pod ostrym kątem. Nadżib spojrzał w dół. Ludzie Abdullaha bezładnie biegali po całym terenie. Przyzwyczajeni byli, że to oni działają zawsze z zaskoczenia. Teraz, kiedy sami zostali zaatakowani znienacka, nie potrafili dać sobie z tym rady. Zostaną pobici swoją własną bronią, pomyślał Nadżib.

Dani również spojrzał w dół. Zobaczył ludzi Abdullaha rozmieszczonych na murach okalających teren pałacu. Po chwili wszystko zawirowało w powietrzu. W mur trafiła rakieta.

Helikopter znajdował się nad dachem pałacu, po chwili obniżył się znacznie i zawisł w powietrzu. Nadżib i Dani otworzyli ogień do biegnących w dole ludzi. Tylko trzem udało się dotrzeć do wyjścia i zniknąć im z pola widzenia.

Nadżib wtulił głowę w ramiona i skoczył. Dwa razy przekoziołkował w powietrzu i wylądował na dachu. Dani poszedł jego śladem, dając pilotowi znak, żeby odleciał.

Nadżib wskazał Daniemu wyjście z dachu. Obaj pobiegli w tamtym kierunku.

– Osłaniaj mnie! – krzyknął Nadżib, otwierając gwałtownym ruchem drzwi.

Dani skoczył do przodu, ostrzeliwując schody. Po chwili Nadżib zbiegł po nich przeskakując po trzy stopnie. Dani nie został w tyle.

Znaleźli się wewnątrz pałacu. Na zakręcie powitał ich grad kul. Ktoś strzelał z dołu. Odpowiedzieli ogniem. Usłyszeli krótki krzyk i znowu zapadła cisza.

– Gdzie teraz? – Dani patrzył pytająco na Nadżiba.

– To trzecia kondygnacja. Dalia jest na drugiej.

Usłyszeli odgłosy strzałów. Spojrzeli na siebie. Nadżib zrzucił hełm z głowy.

– Źle w nim słyszę. Ogranicza pole widzenia – powiedział.

Znów biegli w dół. Dani był zadowolony, że Nadżib al-Ameer jest jego sprzymierzeńcem. Nigdy w życiu nie chciałby mieć takiego przeciwnika.

Dalia przycisnęła się mocniej do ściany. Niemiecka terrorystka i Surour weszli do apartamentu, kierując się wprost do salonu. Dalia wyszła bezszelestnie zza drzwi i podążyła za nimi z płonącym koktajlem Mołotowa w ręku.

Monika odwróciła się gwałtownie.

– *Nein!* – krzyknęła przeraźliwie, zasłaniając twarz rękami. Dalia rzuciła jej butelkę pod nogi.

Huk eksplozji mieszał się z krzykami płonącej Moniki. Dalia nie czekała na dalszy rozwój wypadków. Rzuciła się szybko do drzwi. Kiedy znalazła się w holu, usłyszała przekleństwa Niemki i tupot nóg.

Koktajl Mołotowa powstrzymał ich tylko na chwilę.

Skręciła w prawo. Biegła zygzakiem, a kule odbijały się rykoszetem od rzeźbionych figur, ustawionych po obu stronach korytarza.

Nadżib i Dani wpadli do wypełnionego ogniem apartamentu Dalii.

– Dalia! – krzyczał Nadżib. – Dalia!

Nie było odpowiedzi. Spojrzał bezradnie na Daniego. Uciekła? Czy leży gdzieś zemdlona?... Nieżywa? Skinął na Daniego.

– Ty przeszukasz sypialnię, ja łazienkę, a potem sprawdzimy salon.

Po kilku minutach byli z powrotem na zewnątrz, krztusząc się, kaszląc i ocierając załzawione oczy.

– I co teraz? – spytał Dani.

– Biegnij w prawo – powiedział Nadżib. – Ja pójdę w lewo.

Dalia przestała zwracać uwagę na odgłosy wybuchów, dobiegające z różnych stron pałacu. Za wszelką cenę chciała utrzymać dystans, jaki dzielił ją od Moniki i Suroura. Wydawało się jej, że biega dokoła. Wszystkie rzeźby wyglądały jednakowo. Była pewna, że biegła już tym korytarzem.

Po pewnym czasie znalazła się w holu z dwojgiem drzwi. Szarpała je rozpaczliwie.

Zamknięte. Odwróciła się. Monika i Surour byli już bardzo blisko niej.

Znalazła się w pułapce.

Monika wyglądała przerażająco. Czerwona, poparzona twarz, spalone włosy i brwi. Dała znak Surourowi, aby trzymał Dalię na

muszce, a sama odrzuciła broń. Z wyciągniętymi rękami zbliżała się do niej krok po kroku.

Szmaria poruszał się szybko i sprawnie, chociaż wyraźnie utykał.

Rozglądał się po polu bitwy. Miał wrażenie, że ludzie Abdullaha stawiają coraz słabszy opór. Szukał izraelskiego kapitana, dowódcy komandosów.

Znalazł go po drugiej stronie pałacu, pod prowizoryczną osłoną obok oświetlonego basenu.

– Kapitanie, bronią się jeszcze w jednym z baraków. – Szmaria oddychał ciężko, ale oczy błyszczały mu gorączkowo. – Potrzebuję człowieka z wyrzutnią rakiet.

Kapitan dał znak komandosowi, który trzymał na ramieniu przenośną wyrzutnię.

– Idź z nim, Perlman. I zaraz wracaj. Za kilka minut rozpoczynamy szturm na budynek.

Szmaria prowadził Perlmana na drugą stronę pałacu. Teraz był już pewien, że liczba terrorystów wyraźnie się zmniejszyła. Ci, którzy pozostali, rozpaczliwie szukali schronienia. Izraelscy komandosi mogli być z siebie dumni.

Cofała się przed Moniką, która nagle rzuciła się do przodu. Dalia błyskawicznie zrobiła unik. Wtedy Monika zaczęła zataczać wokół niej małe kółka. Badała przeciwniczkę. Wiedziała już, z kim ma do czynienia. Dalia miała dobry refleks, niewątpliwie przeszła jakieś przeszkolenie. Trochę dżudo, może karate. Wskazywała na to jej taktyka uchylania się od ciosu.

Monika wytarła spocone dłonie o spodnie. Czekała na odpowiedni moment. Walka zapowiadała się interesująco.

Nie atakuj. Jeśli to możliwe, bądź cały czas w defensywie. Dalia pamiętała jeszcze słowa sierżanta z kursu samoobrony. Ale już wystarczająco długo była w defensywie. Wychyliła się do przodu.

Monika przygotowała ręce do ciosu.

Nagle nogi Dalii wystrzeliły w górę, mierząc prosto w jej brzuch. Obróciła się szybko i uniknęła ciosu.

Nie chcąc stracić inicjatywy Dalia kontynuowała atak. Z każdym jej ruchem Monika cofała się powoli w kierunku stojącego z tyłu Libijczyka. Teraz ona przeszła do defensywy.

Zajęta walką Dalia zapomniała o obecności Suroura. Chciała zadać ostateczny cios – w gardło.

Ale ta zwłoka okazała się dla niej fatalna. Nie zorientowała się, kiedy Monika zadała cios. Poczuła tylko jej kolano pod żebrami i potworny ból w nerkach. Upadła na podłogę.

Monika odwróciła się od niej i zrobiła kilka kroków w przeciwnym kierunku. Dalia wiedziała, że w ten sposób chce jej okazać swoją pogardę, pokazać, że się jej nie boi. Gniew przemógł ból. Podniosła się.

Przez chwilę z nienawiścią patrzyły sobie w oczy. Nagle Monika złapała Dalię za lewy nadgarstek i kostkę u lewej nogi. Zaczęła nią gwałtownie obracać. Dalii zakręciło się w głowie. Próbowała kopać, ale to potęgowało tylko wściekłość Moniki. Obracała nią coraz szybciej.

Nagle puściła.

Dalia leciała w powietrzu. Schowała głowę w wyciągnięte ręce, a dokoła niej wirowały białe ściany. Ale Monika popełniła błąd. Zamiast trzasnąć głową o ścianę, Dalia uderzyła w brzuch Suroura. Libijczyk zachwiał się i upadł. Seria pocisków z jego karabinu poszła w sufit.

Początkowo Dalia nie wiedziała, co się z nią dzieje. Wszystko wirowało jej w głowie. Usiłowała stanąć, ale zaraz upadła z powrotem, przygniatając Suroura.

Wtedy Monika znów ruszyła do ataku. Chociaż pot spływał jej po twarzy i z trudnością łapała powietrze, chwyciła Dalię za warkocz.

Dalia krzyknęła z bólu.

Była teraz związana z Moniką. Na szczęście warkocz był wystarczająco długi i pozostawiał jej pewne pole manewru. Zaczęła robić skręty całym ciałem, za każdym razem uderzając Monikę łokciem w obojczyk. Koncentrowała wszystkie swoje uderzenia w jednym miejscu, mając nadzieję, że kość w końcu pęknie. Nie mogąc opanować bólu, Monika schyliła się, wypuszczając z ręki włosy.

Dalia szybko ruszyła do ataku, kopiąc ją mocno w brzuch.

Monika zachwiała się, oszołomiona.

Jeszcze raz ją uderzę. Tylko jeden raz... i będzie po wszystkim! – myślała Dalia.

Uderzenie łokciem nie dało jednak żadnego rezultatu. Jeszcze raz i jeszcze...

Nagle Monika natarła na nią z nadludzką siłą. Cios odrzucił Dalię na bok. Niemka zaczęła krążyć dokoła niej jak bokser na ringu.

Dalia obserwowała ją czujnie. Monika spadła na nią ponownie jak błyskawica i trzymała w żelaznym uścisku. Dalia usiłowała się

wyrwać, ale bez rezultatu. Monika uniosła ją z ziemi, zacieśniając chwyt.

Dalii brakowało powietrza. Czuła, że za chwilę się udusi. Rozpaczliwym gestem odrzuciła głowę do tyłu i złapała zębami prawe ucho Moniki. Mocno zacisnęła szczęki i poczuła że usta ma pełne krwi.

Monika rozluźniła uścisk i z niedowierzaniem dotknęła krwawiącej rany.

– Moje ucho! Ty suko! Co zrobiłaś z moim uchem?

Dalia czuła, że krew spływa jej do gardła, że coś ją dusi. Zrobiła wysiłek, żeby się tego pozbyć. Plunęła prosto w twarz Moniki.

Niemka zachwiała się. Popatrzyła z przerażeniem na swoją zakrwawioną dłoń, a potem na podłogę, gdzie w kałuży krwi leżał kawałek jej ucha.

Dalia, chcąc wykorzystać ten moment, rzuciła się na nią z całą siłą. Ale Monika chwyciła ją znowu. Był to śmiertelny uścisk. Dalia czuła, że za chwilę pękną jej płuca. Czarne płatki latały jej przed oczami. Słabła coraz bardziej.

Rozległy się przytłumione odgłosy wystrzałów. Monika zesztywniała. W jej oczach pojawił się dziwny obraz. Nadal trzymając Dalię osunęła się powoli na kolana. Klęczała tak przez chwilę, po czym przechyliła się na bok i padła twarzą do przodu, na marmurową posadzkę.

Dalia poczuła się wolna. Usiłowała zaczerpnąć powietrza, ale nie mogła. Przed jej oczami wirowały kolorowe płatki. Kiedy odzyskała zdolność widzenia, spostrzegła leżącego na podłodze Suroura z wielką raną w klatce piersiowej. Stało nad nim dwóch mężczyzn z pomalowanymi na czarno twarzami.

Jeden z nich ruszył w jej kierunku. Chciała krzyknąć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Mężczyzna podszedł bliżej.

– Dzięki Bogu, Dalia. To była ostatnia chwila. Jeszcze minuta i...

Wpatrywała się w niego w milczeniu. Ogarnęło ją przemożne uczucie ulgi.

– Nadżib? – spytała drżącym głosem.

Spojrzała mu w oczy, zarzuciła ręce na szyję i ukryła twarz na jego piersi.

Całym jej ciałem wstrząsały dreszcze. Łkała rozpaczliwie.

– Och, Nadżib. Wiedziałam, że przyjdziesz!

Drugi mężczyzna zbliżył się do nich.

– Twój ojciec chyba też zasłużył na pocałunek? – spytał z szerokim uśmiechem.

Dalia oderwała się od Nadżiba.

– Ojcze! – zawołała płacząc i śmiejąc się jednocześnie.– Nie poznałam cię!

– Nie wiem dlaczego – zaśmiał się Dani. – Pocałuj mnie i wynośmy się stąd jak najszybciej.

Helikopter czekał na nich na terenie należącym do pałacu. Tumany kurzu wzniecane przez jego śmigła widoczne były już z daleka. Noc była chłodna. Dalia drżała mimo koca okrywającego jej ramiona.

– Podać stan! – kapitan usiłował przekrzyczeć warkot helikoptera.

– Tylko dwóch rannych. Zostali już odtransportowani do samolotu – odkrzyknął sierżant. – Pięciu ludzi pilnuje terrorystów w pałacu. Reszta jest tutaj. Wszystko się zgadza.

Kapitan skinął głową. Straty były niewielkie. Biorąc pod uwagę szaleńcze ryzyko tej akcji, wszystko poszło nadspodziewanie dobrze.

– Ilu terrorystów może być w pałacu? – zwrócił się z pytaniem do Szmarii.

– Trzydziestu? Czterdziestu? Coś koło tego. – Szmaria wzruszył ramionami.

– I Abdullah – dodał kapitan. – To znaczy, że musimy wziąć pałac szturmem. Mamy wyraźny rozkaz, żeby unieszkodliwić Abdullaha.

– To nie będzie takie łatwe – powiedział Szmaria. – Początkowo wykorzystaliśmy moment zaskoczenia, ale będzie gorzej, kiedy znajdziemy się w środku.

– Wysadzimy pałac w powietrze – powiedział kapitan.

– Czy to możliwe? – spytał Szmaria z powątpiewaniem.

– Oczywiście. Wszystko jest już przygotowane. Trzeba tylko nastawić czujniki na odpowiednią godzinę.

– Nie!

Głos Nadżiba zaskoczył wszystkich. Spojrzeli na niego zdumieni.

– To jest najbezpieczniejszy sposób – powiedział kapitan.– Jeśli wejdziemy do środka, stracimy wielu ludzi. Terroryści zdążyli się już przegrupować.

– Nie! – Nadżib potrząsnął przecząco głową, patrząc zimno na kapitana: – W pałacu jest dwóch naszych przyjaciół. Bez ich pomocy nie udałoby się nam. To nasz obowiązek. Musimy ich stamtąd wyciągnąć.

– Tak – skinął głową Szmaria. – To prawda. – Zwrócił się do kapitana. – Niech pan przegrupuje swoich ludzi. Za pięć minut wchodzimy.

Nadżib złapał go za rękę.

– Pan nie musi tam iść.

– Czy ma pan dla mnie lepszą propozycję? – spytał Szmaria..

– Tak – powiedział Nadżib. – Niech pan wysyła kolejno swoich ludzi do samolotu. Pójdę tam sam. Mnie będzie łatwiej znaleźć Abdullaha. Tylko ja wiem, jak wyglądają Kalid i Hamid, wasi ludzie mogą ich przypadkowo zastrzelić.

– A jeśli się panu nie uda? – spytał Szmaria.

– Zostawcie materiały wybuchowe na miejscu – powiedział spokojnie Nadżib. – Nastawcie czujniki. Jeśli nie wrócę za piętnaście minut, wysadźcie pałac w powietrze.

Przerażona Dalia nie wierzyła własnym uszom. Złapała Nadżiba za ramię.

– To szaleństwo! Czy nie możemy zapomnieć o Abdullahu? Nie wysadzajcie pałacu! Wtedy tamci dwaj ujdą z życiem.

– A razem z nimi Abdullah – powiedział Nadżib. – Kapitan otrzymał wyraźny rozkaz.

Dalia wytrzymała jego spojrzenie.

– Zapomnijcie o nim! On nie jest wart życia żadnego z was! – krzyknęła.

– Zrozum – tłumaczył jej Nadżib. – Abdullah ma setki, a nawet tysiące zwolenników. Trzeba z nim skończyć. Taka szansa może się już nigdy nie powtórzyć.

– Powiedz mu coś, dziadku – Dalia popatrzyła prosząco na Szmarię.

– Pan al-Ameer ma rację – powiedział poważnie Szmaria. – Musimy mieć pewność, że Abdullah nie żyje.

Dalia milczała.

– Kapitanie – rozległ się głos Nadżiba. – Proszę tylko o piętnaście minut. Jeśli go przez ten czas nie znajdę, wysadźcie pałac w powietrze.

– To się stanie i bez naszej pomocy – powiedział kapitan. – Niech pan spojrzy.

Apartament Dalii i sala, w której Abdullah założył swoją główną kwaterę, płonęły.

– Wygląda na to – mówił dalej kapitan – że ogień dotrze niedługo do rur z paliwem.

– To nie takie proste – powiedział Nadżib. – Dobrze znam Abdullaha. Zdąży uciec przed wybuchem.

– Ja też pójdę – odezwał się nagle Dani.

Nadżib potrząsnął przecząco głową.

– Pójdę sam, przyjacielu. Znam pałac i znam ludzi. Helikopter wysadzi mnie na dachu i czternaście minut zaczeka na mój powrót.

Dalia zrzuciła koc z ramion.

– Chcę być z tobą w helikopterze.

– Nie.

– Nie wejdę do pałacu. Chcę tylko być w helikopterze.

– To zbyt ryzykowne – Nadżib zmarszczył brwi. – Gdyby coś ci się stało, cała ta akcja okazałaby się fiaskiem.

– Idę z tobą – powiedziała. – Spróbuj mnie tylko powstrzymać.

Helikopter był tuż nad dachem pałacu, a Nadżib udzielał pilotowi ostatnich instrukcji.

– Nasze zegarki są zsynchronizowane. Jeśli nie będzie mnie na dachu w trzynastej minucie, startuj natychmiast. Nie czekaj ani

chwili dłużej. Będziesz miał tylko sześćdziesiąt sekund, potem wybuchną ładunki.

– Ale jeśli pana nie będzie...

– To zapomnij o mnie! – powiedział ostrym tonem Nadżib.

– Tak, proszę pana – odpowiedział pilot.

Nadżib pocałował Dalię i wyskoczył z helikoptera.

Dowódca komandosów obserwował sierżanta, zakładającego ładunki wybuchowe przy rurach doprowadzających paliwo do pałacu.

– Wybuch ma nastąpić za piętnaście minut – powiedział.

– Tak, kapitanie.

– Wynośmy się stąd.

Biegli szybko przez ogród. Nagle znaleźli się pod ostrzałem. Zanim zdążyli dobiec do jakiegoś schronienia, kula trafiła kapitana w prawe ramię.

– Niech to szlag! – zaklął i padł na ziemię. Ostrożnie uniósł głowę. W oknie na pierwszym piętrze widział poruszające się postacie. Opróżnił cały magazynek swojego pistoletu maszynowego i patrzył na rozpryskujące się szyby. Przez moment zapanowała cisza, po której wybuchła strzelanina.

Ilu terrorystów może być w tym pomieszczeniu? – pomyślał. Sięgnął do pasa, odbezpieczył granat i rzucił go z całej siły w okno. Padł z powrotem na ziemię. Siła wybuchu wyrwała ramy okienne, które wyleciały na zewnątrz razem z kawałkami muru. W pokoju rozprzestrzenił się ogień.

– Teraz – szepnął do siebie kapitan – szanse będą bardziej wyrównane.

Nadżib nie mógł metodycznie przeszukać budynku. Miał mniej niż piętnaście minut, a czas mijał szybko. Jeśli nie zdarzy się jakiś cud, to zostanie pogrzebany w gruzach tego pałacu.

Postanowił zejść na parter. Najwięcej strzałów dochodziło z dołu. Mógł tam znaleźć Kalida i Hamida, a może i Abdullaha.

Szybko zbiegł schodami i przemierzył długie korytarze. Wreszcie znalazł się na schodach prowadzących do holu.

Wszędzie widać było ślady zniszczenia: rozbite szkło, dziury w ścianach, kawałki mebli i odłamki na podłodze.

Ogień rozprzestrzeniał się bardzo szybko. Bracia Tammam zastaną swój pałac w ruinie, pomyślał.

Zbiegł ze schodów i wszedł do biblioteki, osłaniając twarz przed bijącym zewsząd żarem. Cała biblioteka płonęła. Na podłodze leżały spalone zwłoki.

Następne pomieszczenie pozostało nietknięte. Pokryte zielonym welurem fotele stały na swoim miejscu przed dużym filmowym ekranem. Nadżib obrócił się w stronę biblioteki, czuł instynktownie, że powinien tam wrócić. Szedł wolno, trzymając się blisko ściany. Odskoczył przed płonącą półką, która upadła tuż przed nim. Nie. Nic tam nie było.

Zły, że stracił kilka cennych sekund, chciał wrócić do Sali kinowej, ale usłyszał znajomy dźwięk. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Ktoś odbezpieczył pistolet.

– Odłóż broń – usłyszał, czując jednocześnie dotyk metalu na plecach.

Schylił się i położył swój automatyczny pistolet na podłodze.

– Kopnij go dalej.

Zastosował się do polecenia.

– Podnieś ręce do góry i obróć się powoli.

Nadżib zobaczył dwóch mężczyzn.

– Kalid! – wykrzyknął z ulgą. – Hamid!

Kalid opuścił karabin.

– Musicie się stąd szybko wydostać – mówił Nadżib.– Helikopter czeka na dachu. Za chwilę cały pałac wyleci w powietrze. Nie wiecie, gdzie jest Abdullah?

– Aha, zdradziecki triumwirat – usłyszeli nagle znajomy głos.

Abdullah i Gazi wyłonili się z ukrytej za półkami czytelni. Obaj trzymali broń.

Czujniki wskazywały 7.56.

Tyle zostało jeszcze czasu.

Nadżib usłyszał trzask. Patrzył zafascynowany, jak półki biblioteczne odrywają się od ściany i opadają na podłogę. Ale Abdullah nie zwrócił na to żadnej uwagi. Szaleństwo płonęło w jego oczach. Wydawało się, że nic do niego nie dociera. Był władcą, który przyszedł, aby wydać wyrok.

– Od początku przypuszczałem, że to wy jesteście odpowiedzialni za ten atak – powiedział. – Teraz to jasne. Dobrze, że jesteście tu razem. Wszyscy trzej złamaliście przysięgę i będziecie za to ukarani. Czeka was śmierć!

To ostatni kurs – krzyknął Dani. – Wsiadaj, Dalia!

Rozejrzała się dokoła. Ostatni komandos czekał na odlot helikoptera, inni byli już na pasie startowym. Nikt nie osłaniał pałacu. Helikopter miał zabrać Dalię, Daniego, Szmarię, jednego komandosa i kapitana.

– Co będzie z Nadżibem? – krzyknęła do ojca.

– Jeśli się nie pośpieszysz, nie starczy czasu, żeby po niego wrócić – odkrzyknął Dani.

Dalia wsiadła bez słowa. Helikopter wystartował natychmiast. Wydawało się, że już cały pałac stoi w płomieniach. Dalia zobaczyła ścianę ognia, zbliżającą się do miejsca, gdzie założone zostały ładunki wybuchowe.

Zamknęła oczy. Wróć, Nadżib. Wróć!

Helikopter stanął na pasie startowym. Wszyscy wysiedli. Dalia zajęła miejsce obok pilota. Wznieśli się w górę.

Według wskazań czujnika pozostało jeszcze cztery i pół minuty.

Nadżib wiedział, że nie mogą tak stać bez końca. Patrzył na Abdullaha i Gaziego, którzy znajdowali się dwadzieścia stóp przed nim. Spojrzał porozumiewawczo na Kalida. Musiał wiedzieć, kiedy ma paść na podłogę. Zbyt prędki ruch byłby równie fatalny jak chwila opóźnienia.

Kalid prawie niedostrzegalnie skinął głową i Nadżib rzucił się na podłogę. Cztery karabiny automatyczne otworzyły jednocześnie ogień. Gazi zatoczył się i po chwili bezwładnie runął.

Karabin wypadł z rąk Abdullaha, z jego brzucha tryskała krew. Patrzył wokoło nieprzytomnie.

Zapanowała nagła cisza. Słychać było jedynie trzaskanie ognia. Za plecami Nadżiba rozległ się nagle głuchy łoskot i szczęk karabinów na marmurowej posadzce.

Obrócił głowę.

Kalid i Hamid. Obaj byli martwi. Nic już nie mógł dla nich zrobić. Podniósł się wolno.

– Nadżib! – krzyknął przeraźliwie Abdullah. – To niemożliwe, że żyjesz! Miałeś umrzeć!

– To ty umrzesz! – krzyknął Nadżib.

Abdullah spojrzał z przerażeniem na swój krwawiący brzuch i przyłożył do niego rękę. Podniósł zakrwawioną dłoń do oczu i wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

– Trafili mnie! – jęknął. – Umrę!

– Powinieneś umrzeć już dawno.

– Nadżib! – krzyknął Abdullah przenikliwym głosem. – Możesz mnie stąd wywieźć samolotem. Do Ar-Rijad...

– Nie! Nigdy! Najwyższy czas, żebyś znalazł się w piekle. Tam właśnie jest twoje miejsce!

– Pomóż mi – prosił Abdullah. – Jestem twoim wujem. Jesteśmy rodziną. Musisz...

– Nic nie muszę. Bez ciebie świat będzie bardziej bezpieczny.

– Ty głupcze! – szaleństwo zamigotało w oczach Abdullaha. – Inni pójdą w moje ślady. Mam swoich ludzi w każdym kraju Środkowego Wschodu. Wybrałem ich spośród najlepszych.

– Ale nie będziesz mógł sprawdzić, jacy są dobrzy – drwił Nadżib.

Płonąca półka spadła z łoskotem na podłogę. Abdullah znalazł się po jej drugiej stronie. Poprzez płomienie Nadżib widział jego słaniający się cień.

– Umrzesz, Nadżib! – wrzeszczał Abdullah. – Wszyscy umrzecie! Ta dziewczyna! Jej rodzina! Wszyscy! Wydałem już rozkazy! Moi ludzie się tym zajmą!

– Kłamiesz! – krzyknął Nadżib. – Umierasz, a jeszcze kłamiesz.

– Nigdy nie będziesz miał pewności – Abdullah zaśmiał się szaleńczo. – Nie wiedziałeś przecież, że to ja zastrzeliłem Iffat, prawda?

– Ty?

– Oskarżyłem o to Żydów, żeby cię ze sobą związać.

W porywie wściekłości Nadżib chciał przedrzeć się przez płomienie i zadusić Abdullaha własnymi rękami.

Szybko jednak ochłonął. Abdullah był już właściwie martwy, a jeśli on nie wydostanie się natychmiast z pałacu, to i jego los będzie przesądzony.

Biegł po schodach, przeskakując po kilka stopni naraz, przez nie kończące się korytarze, szybko na dach!

1.04... 1.03... 1.02... 1.01...

Została tylko minuta! – krzyknął pilot helikoptera.

Dalia wychyliła się na zewnątrz kabiny. Helikopter wisiał w powietrzu, nad dachem płonącego pałacu.

– Widać coś? – krzyknął pilot ponownie.

Dalia nie odpowiedziała. Rozglądała się uważnie, ale nigdzie nie widziała Nadżiba.

– Przykro mi – usłyszała głos pilota. – Musimy się oddalić. Silnik nie wytrzyma dłużej tego żaru.

– Nie – krzyknęła. – On żyje! Wiem, że żyje! Prędzej umrę niż go tu zostawię!

– A ja? Zapomniała pani o mnie! Wracamy. Natychmiast!

– Jest! – krzyknęła Dalia. – Widzę go.

– Gdzie?

– Tam! Na dole. Zakrył go dym!

– Panienko...

– Tam! Widzisz go?

Pilot spojrzał w dół. Zobaczył samotną sylwetkę z uniesionymi do góry rękami.

– Na co czekasz? – krzyczała Dalia. – Siadaj na dachu.

– Nie mogę. Dach nie wytrzyma.

– To co zrobimy?

– Rzuć mu linę.

– Trzymaj się mocno! – krzyknął pilot kierując się do miejsca, gdzie stał Nadżib.

Dalia wychyliła się znowu. Gdzie on jest? Przecież dym nie jest aż tak gęsty. Musi tam być...

Jest! Rzuciła linę. W tym momencie zobaczyła z przerażeniem, że dach powoli zapada się pod jego stopami.

– Nadżib! – krzyknęła przeraźliwie.

Usłyszała potworny trzask. Helikopter natychmiast uniósł się w górę.

Za późno! Och, Nadżib, Nadżib...

Spod zaciśniętych powiek łzy spływały na jej policzki.

Kiedy wylądowali na pasie startowym, Dalia siedziała nieruchomo z zamkniętymi oczami. Dlaczego nie zginęła razem z nim? Tak byłoby lepiej, pomyślała.

– Dalia, Dalia! Wszystko w porządku, kochanie. Dalia! Spójrz na mnie

Serce jej stanęło. To niemożliwe!

Objęły ją silne ramiona. Otworzyła oczy.

To był on! Zdążył się uchwycić liny i uratować.

– Musimy się pośpieszyć – odezwał się głos pilota helikoptera. – Samolot jest gotów do startu.

Zanim dotarli do schodków samolotu, powietrzem targnął huk eksplozji. Nadżib rzucił się na ziemię, osłaniając Dalię swoim ciałem. Noc na chwilę zamieniła się w dzień.

Pałac wyleciał w powietrze.

Samolot zakołysał się pod uderzeniem fali gorącego powietrza. Szczątki pałacu nadal wylatywały w górę. Wśród piasków pustyni widniały ściany ognia. Ropa paliła się w rurach.

Dalia podniosła się powoli. Pałacu już nie było.

Trzynastogodzinny lot z Tel Awiwu dobiegł końca. Samolot zbliżał się do lotniska Newark International, Dalia nigdy nie zapomni tego lotu. Pomyślała z uśmiechem, że bardzo łatwo jest przyzwyczaić się do luksusu. Większość czasu spędziła z Nadżibem w łóżku. Był to najlepszy sposób podróżowania. Kochać się i spać.

Oczekiwała z niecierpliwością momentu, kiedy znajdą się w Nowym Jorku i Nadżib przeniesie ją przez próg ich domu. Cztery piętra w Trump Tower! Zamkną się tam na cały tydzień. Sami!

Ostatnie dni były szalenie wyczerpujące. Prasa, ślub Ariego, przyjęcie zaręczynowe wydane przez rodziców dla niej i Nadżiba. Dalia była bardzo szczęśliwa, że Tamara od razu polubiła swojego przyszłego zięcia.

W Newark czekano na nich na lotnisku.

– Hej, hej, Dalia! – krzyczała Patsy Lipschitz.

Obok niej stał Jerome.

– Och, nie – przeraziła się Dalia.

Rozejrzała się uważnie. Zobaczyła Kleo i podbiegła do niej.

– Panno Kleopatro, kochanie – Dalia rzuciła się jej na szyję. – Ledwie cię poznałam!

Nigdy przedtem Dalia nie widziała, żeby Kleo miała na sobie sukienkę. Ubrana była jak prawdziwa dama. Gdzie podziały się jej szerokie spodnie i podkoszulki?

– Wyglądasz wspaniale – wykrzyknęła Dalia. – Co się stało? Ślub czy pogrzeb?

– Teraz zawsze będę tak wyglądać. Musisz się do tego przyzwyczaić. We wrześniu wychodzę za mąż.

– Ty! Za mąż! Postanowiłaś zostać gospodynią domową? Czyżbyś wróciła do Serge'a?

– Bogata Kobieto! Sama wiesz, że to już przebrzmiała sprawa.

– Bogata Kobieto? – roześmiała się Dalia. – Myślałam, że jestem Białą Kobietą.

– Tak, dopóki nie spotkałaś tego faceta. – Zwróciła się do Nadżiba. – Cześć, przystojniaku.

Dalia objęła ją ramieniem.

– Kleo, to jest Nadżib. A to jest Kleo, moja najlepsza przyjaciółka.

Nadżib wyciągnął rękę, ale Kleo uściskała go i pocałowała w policzek.

– A to jest Jerome St. Tessier, o którym tyle ci opowiadałam – powiedziała sucho Dalia. – To Patsy Lipschitz, która jest moim agentem. A to... – Dalia spojrzała pytająco na Kleo.

– To jest Kojot – Kleo wypchnęła go do przodu.

– To nie ten sam Kojot, który... – zaczęła Dalia.

– Ten sam.

Dalia przyjrzała mu się bliżej. Istniało tylko niewielkie podobieństwo między tym wysokim, przystojnym mężczyzną a tamtym Kojotem.

– Kleo, wytłumacz mi, proszę...

– Po twoim wyjeździe odwiedziła mnie Patsy. Chciała wyciągnąć ode mnie jakieś wiadomości na twój temat. Przy okazji przypomniała sobie, że potrzebują czarnej dziewczyny do filmu kryminalnego.

– I co? – spytała Dalia.

– Nie chcieli mnie – potrząsnęła głową Kleo. – Ale Kojot był tam ze mną i chcieli jego! Do serialu telewizyjnego u tego samego producenta. Dostał tę rolę! Co ty na to?

– Dalia... – Jerome chciał ją odciągnąć na bok. Popatrzyła na niego uważnie. Co ona w nim widziała? Był przystojny, ale to wieczne niezadowolenie na twarzy... Był bardzo utalentowany. Ale przy Nadżibie...

– Musimy porozmawiać – mówił cicho Jerome. – Zanim popełnisz jakieś głupstwo, chciałbym, żebyś wiedziała, że ja... Czy nie możemy gdzieś pójść, żeby spokojnie porozmawiać?

– Przykro mi, Jer. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to powiedz to teraz, w obecności Nadżiba.

– No dobrze – zdecydował się nagle Jerome. – Tęskniłem za tobą. Chcę, żebyś do mnie wróciła. Znalazłem inne źródło pieniędzy. Możemy znowu żyć i pracować razem. Jak za dawnych czasów.

– Przykro mi, Jerome, ale dawne czasy minęły. Wszystko się zmieniło. Poza tym kocham Nadżiba.

– Chyba żartujesz – roześmiał się Jerome. – Odeszłaś ode mnie, ponieważ Arabowie chcieli sfinansować mój film, a teraz nie chcesz

do mnie wrócić, bo zakochałaś się w jednym z nich. Nie jestem taki głupi, jak ci się wydaje.

– Nigdy nie myślałam, że jesteś głupi. Przykro mi, ale sprawy tak wyglądają.

Odwrócił się do niej plecami. Teraz przyszła kolej na Patsy.

– Cudowna byłaś, laleczko! Naprawdę cudowna! To porwanie było wspaniałym chwytem reklamowym.

Dalia patrzyła na nią, nie dowierzając własnym uszom.

– Chcę cię poinformować, Patsy, że przeżyłam piekło! To nie był jakiś pieprzony film przygodowy!

– Oczywiście, że nie – zgodziła się Patsy. – Ale to nie ma nic do rzeczy. Wszyscy o tobie mówią. Mój telefon nie przestaje dzwonić. Paramount proponuje ci sześć milionów za jeden film! Sześć milionów! Jak Brando i Hackman. Oczywiście Jerome powiedział, że on też ci tyle zapłaci. Dalia! – Patsy podniosła głos. – Czy ty mnie słuchasz?

– Pomyślę o tym, Patsy. Jeśli zdecyduję się jeszcze kiedyś zagrać w filmie, to obiecuję ci, że będziesz moim agentem.

– Dalia! – Patsy była bliska omdlenia. – Przecież będziesz grała. Takie pieniądze...

– Patsy – powiedziała spokojnie Dalia. – Za kilka dni stanę się jedną z najbogatszych kobiet świata. Kilka milionów to dla mnie kropla w morzu. Teraz, proszę cię...

Jerome i Patsy zaczęli przekrzykiwać się wzajemnie. Dalia zauważyła zbliżający się tłum fotoreporterów i spojrzała pytająco na Nadżiba.

– Możemy wrócić do samolotu. Za godzinę powinien być gotów do startu, a za trzynaście godzin będziemy już na jachcie...

Trzymając się za ręce, pobiegli ze śmiechem w kierunku wyjścia na płytę lotniska.

RS

Epilog

Trzeciego września 1983 roku Inge obchodziła dziewięćdziesiąte urodziny. Jej fotografia znalazła się na pierwszej stronie lokalnej gazety. Inge nie była zadowolona z tego zdjęcia. Nie mogła przecież wyglądać aż tak staro! Zjawił się nawet burmistrz, żeby złożyć jej życzenia.

– Niech pan przyjdzie znowu, kiedy skończę sto lat – powiedziała Inge, która nie straciła dawnego poczucia humoru.

W motelu nie było żadnych turystów. Inge zarezerwowała cały tydzień wyłącznie dla swoich przyjaciół. Przybyli goście z Tel Awiwu: Tamara, Dani, Szmaria oraz Ari i Sissi z dwójką dzieci. Rodzice Nadżiba przylecieli z Libanu, a Nadżib i Dalia, ze swoją prawie dwuletnią córką Jasminą, z Nowego Jorku.

Miało to być spokojne rodzinne spotkanie.

Nie zaproszono żadnych gości z zewnątrz, z wyjątkiem Othy, której Inge, ze względu na swój wiek, pozwoliła w ostatnich latach prowadzić motel. Przyjęcie odbyło się w największym pomieszczeniu, czyli w kuchni. Papierowe łańcuchy zwisały z sufitu i wszędzie stały ogromne bukiety.

Sissi przygotowała rybę, zupę i czerwoną kapustę według żydowskich przepisów, a matka Nadżiba upiekła jagnięcy udziec. Otha wprowadziła do jadłospisu przysmaki amerykańskiego Południa – pieczonego kurczaka i chleb kukurydziany. Dla dzieci przygotowała hot dogi. Nadżib przywiózł słodycze arabskie, dwie

duże puszki kawioru oraz skrzynkę Dom Perignon, rocznik 1979. Tamara i Dalia upiekły tort urodzinowy.

Przez cały dzień rodzina ucztowała i wymieniała między sobą różne nowiny. Język angielski przerywany był czasami gardłowymi dźwiękami hebrajskiego i arabskiego.

Już trzeci rok z rzędu zbierali się na Cape Cod w dniu urodzin Inge. Trzeci września stał się już datą rodzinnych zjazdów. Inge z radością oczekiwała tego dnia. Nie byli złączeni więzami krwi, ale silną, wzajemną miłością.

Gdyby Senda mogła tu z nami być, pomyślała ze smutkiem Inge. Byłaby tak dumna z rodziny Boralevi. Dwie gwiazdy filmowe, miliarder, archeolog, Dani i Szmaria... Senda i Szmaria byli zbyt młodzi, myślała Inge, kiedy zostali rozdzieleni. W innych warunkach ich miłość na pewno by przetrwała. Popatrzyła na trójkę dzieci – Jasmine, Ruth i Asę. One były przyszłością rodziny.

Na wspomnienie Sendy w oczach Inge pojawiły się łzy.

– Inge! – zawołała Dalia. – Czy ty płaczesz?

Podniosła głowę, a jej niebieskie oczy patrzyły wprost na Dalię.

– Chyba wiesz, że nie – powiedziała z oburzeniem.

Dalia ucałowała ją serdecznie.

– Niedługo będzie zachód słońca. Idziemy wszyscy na spacer po plaży. Pójdziesz z nami?

– Za chwilkę – powiedziała Inge.

Otha została na miejscu. Umówili się, że tuż przed ich powrotem ze spaceru zapali wszystkie świeczki na torcie.

Szli wolno wzdłuż plaży. Happy wybiegał razem z dziećmi do przodu, czasem wpadał z głośnym szczekaniem do wody.

Inge patrzyła na nich – na opaloną na ciemny brąz Sissi, która stale przebywała na wykopaliskach i była już bardzo cenionym

archeologiem, potem na jej przystojnego męża, który robił błyskotliwą karierę polityczną.

Dalia i Nadżib szli z przodu. Nadżib niósł małą Jasminę na ramieniu. Jaka to dobrana para, pomyślała Inge. Tacy są sobie oddani, prawie nigdy się nie rozstają. Przypomniała sobie, że kiedy Dalia kręciła swój ostatni film, Nadżib przeniósł się na dwa miesiące do Londynu, żeby być razem z rodziną.

Inge uśmiechnęła się do siebie. Patrzyła na rozbijające się o brzeg fale, potem przeniosła wzrok na wydmy. Wyglądają jak zwały śniegu, pomyślała. Za nimi mogą kryć się wspaniałe pałace. Piasek... śnieg. Wszystko jest jednym.

Wspomnienia. Przeszłość była w jej życiu stale obecna, ale nie sprawiała już bólu. Wszystkie postacie przewijały się przed jej oczami. Młody Szmaria, Senda, która rzuciła wszystko dla sceny. Niezwykły sukces Tamary, jej bolesna strata i powrót do dziedzictwa i religii, której wyrzekła się jej matka. Dalia, która złamała wszystkie zakazy, aby poślubić ukochanego mężczyznę.

Życie toczyło się dalej.

Niech żyje Inge!

Światło w kuchni było zgaszone, tylko płomyki świeczek jarzyły się wesoło na urodzinowym torcie.

– Zdmuchnij świeczki, Inge – powiedziała Tamara.

Inge pochyliła się i przy pomocy swoich gości zdmuchnęła wszystkie.

Ale płomyki zabłysły znowu, jeszcze jaśniejsze niż przedtem. Pochyliła się, mocno dmuchając. Zgasły, a za chwilę zapaliły się

znowu. Dalia śmiała się serdecznie. Po kilku próbach zorientowali się wreszcie, na czym polegał ten trick.

Nadszedł czas na toasty. Rozlano Dom Perignon do kryształowych kieliszków. Jedynie rodzice Nadżiba, jako prawowierni muzułmanie, zadowolili się sokiem jabłkowym.

Nadżib podniósł się, trzymając kieliszek w ręku.

– Chciałbym wznieść toast – powiedział – na cześć bardzo wyjątkowej damy, adoptowanej babci całej naszej rodziny, której zawdzięczamy dzisiejsze spotkanie. – Podniósł kieliszek do góry. – Za zdrowie Inge Meier, najwspanialszej damy na świecie.

– Dziękuję ci, Nadżib – powiedziała wzruszona Inge. – Chociaż mówiłeś o mnie jak o staruszce – dodała.

Teraz Szmaria podniósł kieliszek do góry.

– Za zdrowie Inge, która była jedyną ostoją rodziny w czasie wojny i rewolucji, w dobrych i złych czasach. Bez ciebie rozproszylibyśmy się na cztery strony świata. Jeśli powiem, że wszystko zawdzięczamy tobie, to będzie za mało.

Uśmiechnął się do niej. Inge patrzyła w dal, zamyślona. Szmaria wiedział, że myślą o tym samym. Senda... Jej obraz mieli teraz oboje przed oczami.

Wszyscy po kolei składali życzenia i próbowali urodzinowego tortu. Potem przyszedł czas na prezenty. Wzruszona Inge zaczęła je od razu rozpakowywać.

– Naprawdę nie powinniście! Ale cieszę się, żeście to zrobili – mówiła przez łzy.

Błyskały flesze aparatów fotograficznych, cicho brzęczała kamera filmowa. Mała Jasmine wystąpiła na środek. Chciała pokazać wszystkim, jak zachowują się jej ulubione Smurfy.

Tamara patrzyła na nią z podziwem. Mała zachowywała się jak prawdziwa aktorka. Spojrzała na Dalię, potem na Inge. Wszystkie trzy wpatrywały się w małą z miłością.

Kiedy Jasmine skończyła swoje przedstawienie, Inge chwyciła ją w ramiona.

– Masz talent rodziny Boralevi – Sendy, Tamary i Dalii, moja panno – powiedziała.

Tamara i Dalia objęły Inge, a Jasmine przytuliła się do niej.

Jesteśmy jak ogniwa jednego łańcucha, pomyślała Inge. Widzisz, Senda? Jednak jesteś tutaj. Żyjesz w każdej z nas. Potem będziesz żyć w pamięci Jasmine i jej dzieci.

– Teraz chodź z ciocią Inge – powiedziała do Jasmine. – Czas spać. Obie pójdziemy spać. Jutro ciocia kupi ci nową sukienkę.

Tamara i Dalia wymieniły uśmiechy. Wiele się zmieniło, ale Inge pozostała taka sama...

KONIEC